k przedtyt.

TANIE

ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI

ELIZY ORZESZKOWÉJ.

Tom XXIV.

Rodzina Brochwiczów.

WARSZAWA.
Własność, nakład i druk S. Lewentala.
Nowy Świat Nr. 41.
1885.

ELIZA ORZESZKOWA.

RODZINA BROCHWICZÓW.

POWIEŚĆ

w dwóch tomach.

Tom drugi.

WARSZAWA.
Własność, nakład i druk S. Lewentala.
Nowy Świat Nr. 41.
1885.

Дозволено цензурою.

Варшава, 31 Октября 1885 года.

TOM II.

I. Chcieć i módz.

Mieszkanie Maryana Brochwicza, a raczéj, jak wyrażali się znajomi jego, kawalerski apartament Marysia, składał się z trzech pokojów, niezbyt obszernych, ale z wielkim komfortem i smakiem urządzonych. Piérwszy z pokojów tych był salonikiem, ostawionym meblami, pokrytemi srebrnawą skórą, z kominkiem ozdobnym i sporém lustrem pomiędzy dwoma oknami, u których wisiały jedwabne firanki. W drugim pokoju, oddzielającym salonik od sypialni, znajdowała się ładna szafa, napełniona książkami, i zgrabne bardzo biurko, przed którém stał fotel miękki i wygodny. Biurko było z różanego drzewa, leciuchne i rzeźbione; fotel wyglądał na miejsce, przeznaczone raczéj dla starca, lub kobiety choréj, niż dla młodego i zdrowego mężczyzny.

Że cieniuchne rzeźbione nóżki różanego biurka nie złamały się już sto razy w czasie ostatnio ubiegłych dwóch tygodni, był to cud prawdziwy; dźwiga-

ły one bowiem ciężar niepomierny, ciężar, do którego nie przyzwyczaiły ich ani wysmukły kałamarzyk z perłowéj konchy, posługujący Maryanowi do pisania, wraz z równie wysmukłą i złoconym czubkiem świecącą piaseczniczką, ani zgrabne małe tomiki, zamykające w wytwornéj oprawie treść lekką, niekiedy nawet i dość poważną, z nauk społecznych, lub znajomości serc ludzkich poczerpniętą, ale zawsze w kształty przystępne i powabne ubraną.

Teraz tomików tych na różaném biureczku nie było wcale, a błyszczące czubki kałamarza i piaseczniczki, zawstydzone i upokorzone niby lekkością swą, wysmukłością i wytwornością, kryły się pomiędzy stosami ksiąg grubych, pękatych, o schlebianiu wzrokowi ani marzyć niemogących, bo pokrytych bibułą sino-błękitną, lub ceglasto-różową, lub ołowiano-szarą, na jakich-to barwach czarno wydrukowane tytuły rzucały się w oczy z całém grubijaństwem nazw, pedantycznych, jak profesorska katedra, twardych, jak ława szkolna, tajemniczych dla niewtajemniczonego umysłu, jak nauki ścisłe. Wiele już razy na horyzoncie miasta Wilna słońce weszło i zaszło od dnia, w którym Maryan z ksiąg tych zbudował na swém biureczku gruby i wysoki mur chiński, i odgrodził się nim od świata innych śmiertelnych. Przestał on zupełnie istniéć dla ludzi. Nie widywano go już ani na ulicy, ani u znajomych, ani nawet w salonie rodziców jego, w czasie wieczornych, lub południowych przyjęć. Pa-

ni Herminia niepokoiła się o zdrowie syna, pan Jan nie pojmował z razu, coby się Marysiowi stać mogło. Tak matka, jak ojciec, wchodzili od czasu do czasu do jego mieszkania, aby na własne oczy zobaczyć, coby go tam tak stale i ciągle zatrzymywać mogło. Maryś przyjmował rodziców ze zwykłém uszanowaniem, ale okazywał się widocznie roztargnionym, i do prowadzenia rozmów mało ochotnym. Pani Herminia zauważyła, że pobladł, schudł trochę i że w oczach jego zjawił się niezwykły blask jakiś, niby gorączkowy trochę, niby z podniecenia tajemnych jakichś uczuć powstały.

— Obawiam się, ażeby to nie były oznaki jakiéj choroby — mówiła troskliwa matka — Maryś nasz taki szczupły, delikatny... spostrzegałam od pewnego czasu, od roku może, lub więcéj, że bywał często smutny, ze wszystkiego, jakby niezadowolony... co myślisz o tém, *Jean*?

— Myślę — wesoło odpowiedział pan Jan — że syn nasz jest niepospolitym w naszych czasach młodym człowiekiem. Wtedy, gdy rówieśnicy jego hulają, grają w karty, tracą majątki, lub, co najmniéj, nic zupełnie nie robią, jego porywa pasya do książek. Cieszę się z tego, Herminio. Jest to pasya szlachetna, która dopomoże mu do ostatecznego polubienia domu i do pozostania na zawsze już człowiekiem statecznym i od zgubnych nałogów wolnym.

W dniu właśnie, w którym rodzice Marysia zamieniali pomiędzy sobą słowa powyższe, Maryś przechadzał się po saloniku swoim, krokiem, zniecierpliwienie i wzburzenie wewnętrzne objawiającym. Od chwili do chwili, rzucał on przez otwarte drzwi na wznoszący się nad biurkiem mur chiński spójrzenie badawcze, niespokojne i milczącym jakby wyrzutem napełnione. Od dnia, w którym z niezmiernym zapałem zbudował on go własnemi rękoma, po raz piérwszy uczuł, że miał do czynienia z materyałem strasznie suchym i twardym. Dotąd przeczytał kilka cienkich broszurek i parę długich wstępów. Broszurki zajmowały go bardzo, wstępy znużyły nieco, ale i zaciekawiły do przedmiotu, który ukazywały z dala i w kształtach ogólnikowych. Teraz po prawéj stronie biurka, po lewéj i pośrodku, leżały trzy grube foliały, z których piérwszy roztwarty był na stronicy dwudziestéj, drugi na dwudziestéj piątéj, trzeci na trzydziestéj.

Maryś, niby z półmisków, napełnionych trzema różnie przyprawionemi potrawami, skosztował z jednego foliału, z drugiego i z trzeciego. Zabrało mu to długie trzy godziny czasu, po których upływie porwał się z miękkiego fotelu i począł biegać raczéj, niż chodzić, po saloniku. Zdawało mu się, że jest nurkiem, skazanym na wyławianie pereł w odmętach wód ciemnych, tajemniczych, huczących tysiącznemi głosy, spadających na mózg ciężkiemi falami. Do-

tąd przechadzał się tylko po wybrzeżu, i wzrok ciekawy przesuwał po powierzchni tajemniczego żywiołu, teraz dał nurka, zatopił się w odmętach po czubek swych złocistych kędziorów, i wyskoczył na powierzchnią, zdziwiony i zmartwiony. Uczuł, że źle mu tam jakoś było, w tych toniach, tak błyszczących i niezmiernie zajmujących, gdy się na nie patrzało z daleka, źle, ciasno, ciemno i przedewszystkiém — nudno.

Spostrzeżenie to zmartwiło go, ale nie zniechęciło; godzina była wczesna jeszcze, Maryś, po dość długiéj przechadzce po pokoju, usiadł znowu przed biurkiem, czytał i na arkuszu papiéru spisywał różne nazwy techniczne, których zapamiętać nie mógł, i wyrażenia naukowe, których nie rozumiał. O północy zabolała go głowa i ręka; wstał, przeciągnął się, stęknął, zsunął brwi z wyrazem głuchéj dolegliwości, i rzucił się na posłanie tak zmęczony, jakby przez cały dzień drzewo rąbał. Téj nocy śniło mu się, że, po ukończonym już kursie nauk, wrócił ze szkoły agronomicznéj i znajdował się w rodzinnym domu. Po Brochowskim salonie, obok matki jego, przechadzała się Anna Siecińska taka, jak ją widywał w izbie staréj kamienicy: zadowolona, spokojna, z uśmiechem na świéżych ustach, z ogniem zdrowia, energii i uczucia w szafirowych oczach, z kluczykami przy pasku. Patrzał na nią ze szczęściem i zachwyceniem, potém spoglądał przez okno. Za oknem Brochów kwitnął:

łany, uprawione w postępowy sposób, zieleniły się bujnie wzrastającemi zbożami i trawami; lasy oczyszczone, pielęgnowane, rosły mu w oczach do bajecznéj wysokości; wkoło dziedzińca powstawały budowy nowe, mocne, obszerne i ozdobne; na łąkach pasły się trzody poprawnych gatunków... Pan Jan uśmiechał się z radością. Pani Herminia trzymała w objęciu Annę, nazywając ją swoją córką. Żancia tańczyła z młodszemi braćmi walca... niebo i ziemia śpiewały hymn pochwalny na cześć młodego pracownika, sprawcy wszystkich tych obfitości i szczęśliwości...

Ze snu tego Maryan powstał rzeźwy znowu i pełen miłości dla trzech ksiąg, które od dnia wczorajszego pozostały rozłożone po dwóch stronach biurka, i pośrodku na stronicach trzydziestéj, trzydziestéj piątéj i czterdziestéj. O, niewdzięcznice! Poskoczył on ku nim śpiesznie i z zapałem, zaledwie wypił parę szklanek herbaty i, nie skosztowawszy nawet towarzyszących jéj przysmaków, pochylił głowę nad jedną z nich, potém nad drugą, potém nad trzecią, jakby je wszystkie przełknąć chciał jednym haustem, niby kieliszek gorzkiego, lecz koniecznego dla zdrowia kordyału. A one jakże go przyjęły? Oto nakształt jeża, który, czując sięgającą po niego rękę, zwija się w kłębek niezgrabny, i cielsko swe nastrzępia ostremi kolcami; zwinęły one przed nim treść swą w zwój tajemniczy, o tysiącach węzłów i zagmatwań, i naje-

żyły ku niemu niezliczone mnóztwo szpilek i haczyków, złożonych z technicznych nazw, naukowych znaków, długich okresów, usianych drobnemi kursywami i licznemi cyframi.

Maryś probował z razu omijać, o ile możności, szpilki te i haczyki, przeskakiwał je oczyma, dążąc ku gładszym i ponętniejszym przestrzeniom; spostrzegł jednak wkrótce, że odkąd tak czynił, przestał najzupełniéj rozumiéć to, co czytał, w omijanych bowiem trudnościach leżał właśnie klucz jedyny, mogący umysłowi jego otworzyć podwoje nauki. Widział to teraz dobrze, i wydawało mu się, że klucz ten niezbędny zakopanym jest pod jakąś olbrzymią górą i że, dla zdobycia go, wypada mu górę tę rozkopać i obalić. Trudna robota, długa, przedewszystkiém—nudna! Maryś podniósł głowę z nad stronicy czterdziestéj, to jest téj saméj, nad którą był zasiadł przed godziną i —westchnął. Spójrzał na szafę, pełną ładnych niewielkich tomików, i wstrząsnął głową na znak żalu i zdziwienia. Jakże inaczéj obchodziły się z nim tomiki te, z któremi zrósł się on niemal od dzieciństwa! Brał on je, kiedy chciał, kiedy chciał, opuszczał, i wracał do nich zawsze z przyjemnością, a one głaskały mu umysł atłasową dłonią, rozbudzały wyobraźnią, zaostrzały dowcip, przelewały w niego pewną miarę wiadomości, nie wymagając w zamian trudów żadnych! Maryś tęsknym wzrokiem przebiegł po tych wesołych i pobłażliwszych przyja-

ciołach swéj młodości, oparł plecy i głowę o miękką poręcz fotelu i przymknął powieki, których delikatna błonka zaróżowioną już nieco była od dwutygodniowych trudów.

W ładném mieszkaniu panowała głęboka cisza, od okien rozchodził się lekki zapach kilku kwitnących roślin, któremi pani Herminia przyozdobiła salonik syna, z ulicy dolatywał tylko od czasu do czasu szmer przesuwających się szybko sanek, albo głuchy, warstwą śniegu stłumiony, turkot ciężkich powozów. Maryś spoczywał... Po chwili uczynił lekkie poruszenie. Pomyślał zapewne, że trzeba mu wyprostować się, oderwać głowę od miękkiéj poduszki, otworzyć oczy i skierować je ku owéj czterdziestéj stronicy, od któréj oderwał był je przed kwadransem, ale... fotel był tak wygodny... woń roślin, kwitnących u okien, tak rozkoszna... cisza tak usypiająca... Maryś uczynił drugie poruszenie, wyciągnął nogi w całéj długości pod różaném biureczkiem i pozostał nieruchomy. Nie usnął jednak. Nie był z natury ospalcem i godzina była nie po temu. Ale uczuł się w żywiole dobrze znanym, z którym zrósł się od dzieciństwa, w żywiole wygodnego spoczynku. Myśl jego, przestawszy raz zajmować się brzydkiemi, jednostajnemi wierszami, usianemi, niby kolcami, mnóztwem kursyw, cyfr i pedantycznych wyrażeń, uleciała w świat i roz pierzchła się po najrozmaitszych punktach szerokiéj przestrzeni.

Tam — najniespodzianiéj w świecie, z powodu długiego przyzwyczajenia zapewne, spotkała się z mnóztwem przedmiotów, które obojętne jéj były dawniéj, częstokroć nawet niemiłe, teraz jednak wzbudziły w niéj niejaką za sobą tęsknotę i przykuły ją do siebie czarem, dawniéj nieznanym. Maryś zobaczył oczyma wyobraźni salon pani Natalskiéj. Nie miał w nim nigdy szczególnego upodobania, a jednak w téj chwili, po dwu tygodniach niewidzenia go, radby się w nim znajdował. Ujrzał bladą twarz pięknéj i smutnéj Heleny. Oddawna już minął czas, w którym zajmował się on młodą tą i, jak się zdawało, niezbyt z losu swego zadowolnioną mężatką, oddawna już przestał znajdować drażniącą przyjemność w wywoływaniu rumieńców wzruszenia na jéj twarz bladą i w zapalaniu błysków radości w melancholijnych jéj oczach; a jednak teraz, gdy od kilkunastu dni jéj nie widział, smukła i tęskna postać jéj przedstawiła mu się z pewnym, dawno zagasłym dla niego, urokiem. Pomyślał też o rówieśnikach swych, którzy daremnie od dwóch tygodni dobijali się do drzwi jego, zawsze przed nimi zamkniętych. Znał całą wartość ich, nudził się był śmiertelnie w ich towarzystwie; a jednak teraz zjęła go pewna dość żywa chęć ujrzenia się znowu pomiędzy nimi.

— Ciekawym, co też to oni myślą sobie o mnie żem się tak zamknął w domu, jak pustelnik? Ignaś Wirski wydaje dziś może jedno ze swoich pocie-

sznych śniadań, na których znajduje się wszystko, prócz ptasiego mléka i — zdrowego rozsądku. Natalscy opowiadają na wyścigi o swych myśliwskich wyprawach, Adam Darzyc skarży się na katar, lub fluxyą... U starego Darzyca w karty grają.

Najdłużéj jednak myśl Marysia zatrzymała się w ubogiéj izbie staréj kamienicy. Uboga izba nie miała wprawdzie sama przez się nic, co-by mu się w szczególności podobało, i owszem, jakkolwiek przepędził już w niéj z dziesięć niedzielnych wieczorów, nie mógł dotąd pogodzić się zupełnie z nagiemi jéj i nieco wilgotnemi ścianami, przedewszystkiém zaś z nieestetyczném wcale wejściem przez kuchnią; ale wśród ścian onych nieponętnych, w saméj nawet kuchni, oświetlonéj jaskrawym płomieniem ogniska, widział on Annę z białym fartuchem, osłaniającym wełnianą suknią, z małą siostrą, uczepioną do jéj ramienia, pośród braci, którym zastępowała matkę. Dziwna rzecz! Biały gospodarski fartuch nie wydawał się Marysiowi strojem zbyt powabnym, widokiem kuchni brzydził się nawet do pewnego stopnia; a jednak czuł to dobrze, że Anna Siecińska nie była-by dla niego może tak powabną i zachwycającą, nie budziła-by w nim czci tak głębokiéj, tkliwości tak rzewnéj, gdyby ukazywała się mu w inném miejscu i w innym stroju... Otworzył oczy, w których jaśniało serdeczne uczucie, połączone z bólem i niecierpliwością. Gorąco, namiętnie, ca-

łém sercem zatęknił do Anny, zapragnął ujrzéć ją przy sobie... Zarazem spójrzał na rozłożone z obu stron biurka i pośrodku foliały i pomyślał, ile trudów ciężkich poniesie, ile długich dni, miesięcy, lat nawet, przeżyć mu wypada, nim wolno mu będzie sięgnąć po to, czego pragnął.

Zbuntował się przeciw przeznaczeniu temu, które przyjął był jednak niedawno z własnego wyboru, przeciw dziełu, które rozpoczął z głową kipiącą zapałem i nadziejami. Przeznaczenie to wydało mu się teraz strasznie twardém i surowém, dzieło ciężkiém do niezniesienia, długiém do nieprzetrwania....

— Trzeba-ż! — zawołał, zrywając się z fotelu— trzeba-ż koniecznie tak bardzo męczyć się, a przedewszystkiém tak długo czekać, aby zostać szczęśliwym?

Dnia tego obiad smutnie zeszedł u państwa Brochwiczów. Chmura smutku, leżąca na czole pierworodnego syna, zasępiała twarz rodziców. Pan Jan był widocznie niespokojny, pani Herminia więcéj sztywna, niż kiedy, Maryś zaś, albo milczący i zamyślony, albo szyderski i zgryźliwy. Przy końcu obiadu patrzał długo na młodszych braci, którzy, mając pomiędzy sobą staruszka cerbera, z wielkiém ożywieniem rozprawiali o wesołym wieczorku, spędzonym w przeddzień u znajomych. Był to tak zwa-

ny wieczorek dziecinny. *Dzieci* opowiadały rodzicom i cerberowi o doznanych wrażeniach, o doskonałości przysmaków, które spożywały, i względnéj zręczności młodziuchnych tancerek, które jaśniały na wczorajszém zebraniu dziesięcio i dwunastoletniemi wdziękami. Siedemnastoletni Roś, z pewnym odcieniem wyższości, żartował z piętnastoletniego brata, którego głowa bolała po wczorajszéj zabawie, wtedy, gdy on gotów-by i dziś jeszcze tańczyć do upadłego walce i kadryle, Loś, odcinając się, przypominał bratu, że daleko więcéj zajmował się dorosłemi pannami, niż małemi panienkami, dla których przeznaczoną była zabawa... Szczebiot ten *dzieci* poczynał rozjaśniać nieco czoła ich rodziców, gdy Maryan ozwał się nagle:

— Mój ojcze! nie wiem doprawdy, dlaczego nie rozkażesz braciom moim, zamiast bywania na wieczorkach, zjadania tam przysmaków i podziwiania zręczności tancerek, odziać się we włosiennice, spać na cegłach i jąć się starożytnego Alwara, wraz ze wszystkiemi jego dawnemi akcesoryami...

Dzieci parsknęły śmiéchem, ale pan Jan z niepokojem spójrzał na syna.

— Co chcesz przez to powiedziéć, Marysiu?—zapytał.

— To — odrzekł Maryś jednostajnym wciąż tonem uszczypliwéj żartobliwości — że żyjemy w szalenie twardych czasach i że, aby z niemi pogodzić się,

potrzebujemy uczynić ciała nasze i duchy również twardemi...

Spoważniał nagle, i łagodniejszym już tonem dodał:

— Zdaje mi się, mój ojcze, że najlepiéj-by było, gdybyś Rosia i Losia wysłał do szkół... Nabierają oni w domu przyzwyczajeń, które im mocno bruździć będą w tém naszém kochaném, przyjemném teraźniejszém życiu...

Pani Herminia zsunęła brwi, i z żywém niezadowoleniem:

— Marysiu! — rzekła — *on ne parle pas des ces choses-là auprès des enfants!*

Mówiąc to, podniosła się z krzesła, dając przez to wszystkim znak wstawania od stołu. Pan Jan, zamyślony i niespokojny, z salonu, gdzie roznoszono czarną kawę, obejrzał się za najstarszym synem. Myślał może, iż przyjdzie on pomówić z nim na osobności i wytłómaczyć mu zagadkowe swe słowa. Ale Maryan wprost od stołu udał się do swoich pokojów, w godzinę zaś potém siedział już tak ukryty za zbudowanym z bibuły murem chińskim, że ktoś, wchodzący do gabinetu, mógł-by dojrzéć zaledwie kilka złocistych kędziorów jego włosów, wystających nad szaremi okładkami zwierzchniego piętra książek, i wąziuchną krętą niteczkę błękitnego dymku, ulatującą z palonego przezeń cygara pod ozdobny sufit pokoju. Dym wybornego cygara, lekki i wonny, tworzył atmosferę

niesłychanie sprzeczną z tą, jaką młody człowiek uczuł się w wyobraźni swéj ogarniętym, przebiegając oczyma piérwszą stronicę drugiego rozdziału czytanego dzieła. Rozdział ten traktował o przedmiocie, do wysokiego stopnia nieponętnym, trywialnym, nieestetycznym: o stosunku różnych rodzajów gruntu do różnych gatunków nawozu. Maryanowi zdawało się, że z prozaicznych tych i wcale nieceremonialnych kartek ulatuje ostry i silny zapach świeżo poruszonéj gleby, i bardziéj jeszcze niesalonowa woń rozsianych po glebie téj i użyzniających ją materyi. Im daléj posuwał się w czytaniu, tém silniéj podlegał niepożądanéj téj i niemiłéj złudzie wyobraźni. Otaczająca go, rodzinna dlań niejako atmosfera, złożona z delikatnych woni, napełniających zazwyczaj wytworne mieszkanie, znikała przed wyziewami, ulatniającemi się z książki, która z grubijaństwem realizmu, i nieubłagannością naukowych faktów, wyprowadzała na jaw coraz nowsze, liczniejsze szczegóły, próby, sposoby gatunkowania, mieszania, sztucznego wyrabiania rzeczy niezmiernie pożytecznéj, ale najmniéj pod słońcem poetycznéj.

Z wolna i z wyrazem niesmaku na twarzy, Maryś podniósł się z siedzenia, zapalił drugie cygaro i zbliżył się do okna. Siedziéć dłużéj w cieniu chińskiego muru, pod wpływem nieprzyjemnych uczuć, wzbudzonych w nim rozdziałem o nawozach, było mu już dnia tego zupełnie niepodobném. Za oknem słońce

świeciło, śnieg, pokrywający ulice białą powłoką, nadawał miastu pozór wesoły. Raźna jakaś szlichtada, złożona z kilku sanek, z dźwiękiem i brzękiem przemknęła przez plac obszerny i widny, gwarzący znaczną ilością przechodniów, oświetlony błękitném niebem, roziskrzony promieniami pogodnego słońca. Niecierpliwe, nieprzezwyciężone uczucie, pociągnęło Marysia ku widokowi, który miał przed oczyma. Gwar, śmiéchy, wesołość, swoboda, przemówiły do niego językiem żywiołu, w którym wzrósł, z którym zjednoczył się wszystkiemi przyzwyczajeniami swego życia... Zadzwonił na lokaja i kazał sobie podać pallot i kapelusz. Miał zamiar odbyć długą przechadzkę, a potém wrócić do przerwanych zatrudnień, jakkolwiek w téj chwili czuł już do nich wstręt nieledwie. Ale któż zdoła przewidziéć najbliższą nawet przyszłość? Zaledwie Maryan znalazł się w bramie domu, usłyszał w blizkości dobrze sobie znane głosy młodych panów Natalskich. Z razu uczyniły one na nim niemiłe wrażenie. Wszak postanowił był unikać znajomości, które z natury swéj musiały koniecznie przeszkadzać mu w pracy. Po kilku sekundach jednak uczucie jego uległo zmianie. Głosy, dolatujące go, były bardzo wesołe i ożywione; im więcéj zbliżały się, tém wyraźniéj słychać było jakąś gwarną naradę nad czémś wielce zapewno miłém i zabawném.

Wśród gwaru głosów tych przebrzmiewały od

chwili do chwili raźne dzwoneczki i niecierpliwe rżenie koni, zaprzężonych do stojących przed bramą sanek. Maryś postąpił kilka kroków, i oko w oko spotkał się z wchodzącém w bramę dość liczném gronem rówieśników. Głośne, żartobliwe, trochę złośliwe, bardziéj przyjazne powitania rozległy się dokoła.

— Przecież złapaliśmy cię, dziwaku!

— Myślałem, żeś wyjechał do Ameryki!

— Albo, żeś został Bernardynem!

— Słuchaj-no, Maryś! co ty sobie myślisz? uciekać od nas, chować się przed nami? oskarżyłem cię przed moją matką, która poleciła mi, abym ci powiedział, żeś niegrzeczny!

— No! chodź! siadaj na sanki! urządzamy dziś pyszną szlichtadę! śniegu za parę dni nie będzie już ani krzty, trzeba korzystać z ostatków...

— Pomiędzy paniami i pannami jeden tylko od dwóch tygodni rozlega się okrzyk: gdzie jest pan Maryan? Daliśmy słowo honoru naszym ciociom, siostrom i boginiom, że cię dziś do szlichtady dostawimy!

— Ależ ja się nie bronię! ja się wcale od tego nie bronię! — wołał Maryś ze śmiechem, rozdzielając pomiędzy kolegów swych uściśnienia ręki — zkąd wyjeżdża szlichtada?

— Naturalnie od nas!—zawołali Natalscy.— Ma-

ma-to właśnie urządziła ją, najbardziéj, jak myślę, dla zabawy Helki i Tośki...

— Ciągnęliśmy na losy, kto z kim pojedzie, bo wszystkie sanie są na dwie osoby...

— Komuż mnie los przysądził na towarzysza? — zapytał Maryś

— Pani Helenie Darzycowéj — odparł jeden z młodych ludzi.

— Los był bardzo sprawiedliwy — dodał jeden z braci Natalskich — Helka nie miała-by wcale z kim jechać. Jako mężatka, nie ma starającego się, a mąż jéj chory na chrypkę i katar...

— Zdaje się, że Helka niebardzo niezadowolona z dzisiejszych wyroków losu — szepnął Marysiowi na ucho młody Natalski.

— Wstydź się mówić podobne rzeczy — odszepnął Maryś, ale zarazem mimo woli może pokręcił wąsika.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się młody Nemrod — wolał-byś może jechać z Tośką... jeżeli chcesz, można tę rzecz urządzić...

Ostatnie słowa zamieniali, siadając na jedne z sań, których czworo stało przed bramą domu.

Cztery raźne okrzyki woźniców, połączone z czterema rozgłośnemi klaśnięciami z batów, zabrzmiały w powietrzu, ośm dzielnych koni, niecierpliwie parskając, zerwało się z miejsca. Z chórem wesołych dzwonków, pomknął szereg sań po gładkiéj powierz-

chni śniegu, śród ciekawych spójrzeń przechodniów, w blaskach promieni słonecznych, z migotaniem jaskrawych kobierców, z odgłosami śmiéchów młodzieńczych, dobywających się z ciepłych zwojów puszystych futer, mknął daleko od miejsc ciszy, samotności, surowych rozmyślań, i twardych pasowań się z oporną pracą, daleko od obrazów niepewnéj przyszłości, od niepokojów rachującego się z sobą sumienia, od walk rąk budujących, lub umysłu, przygotowującego budowniczy materyał, ku swobodzie, zabawie, pięknym oczom kobiecym, ku upajającéj grze słów swawolnych i miękkiéj rozkoszy, zażywanéj w objęciach dawnych, od kolébki powziętych, z naturą zrosłych przyzwyczajeń...

Od dnia owéj szlichtady minęło znowu dwa tygodnie. W popołudniowéj nadwieczornéj godzinie, Maryś leżał, wygodnie rozciągnięty na elastycznéj, srebrnawą skórą wybitéj sofie swego saloniku. Przez drzwi otwarte widać było stojące w głębi gabinetu różane biureczko, a na niém mur chiński, przedstawiający widok, w ruinę upadłego gmachu. Pękate, czworogranne i podługowate foliały, nie leżały już tam jedne na drugich, ułożone w porządku, nakazanym zawartą w nich treścią, ale zaściełały biurko, a nawet część znajdującéj się wkoło biurka podłogi, bezładném nagromadzeniem tomów, rozwartych na najrozmaitszych stronicach i rozdziałach, z odkładkami porozdzieranemi w różne kierunki. Gdzie nie-

gdzie z pomiędzy kart, zgniecionych niecierpliwą jakby i rozgniewaną ręką, wysuwały się zakładki z kanwy, lub kolorowych wstążek, bardzo wdzięcznie i delikatnie wyrobione, świecące z dala wyszytemi na nich, pełnemi znaczenia godłami, jak: *souvenez-vous! amitié et fidelité! à jamais!* i t. d. Śliczne te cacka, wyroby i arcydzieła drobnych rąk niewieścich, a zarazem dowody łask, jakich Maryś doświadczał od płci nadobnéj, smętnie wyglądały z pomiędzy stosów bibuły, któremi je przygnieciono, stosy bibuły zaś ze swéj strony, położeniem swém dowodziły opuszczenia i zaniedbania. Widoczném było, że właściciel cacek i ksiąg, rzucił na poniewierkę jedne i drugie; ani jedne, ani drugie, nie zwracały teraz na siebie jego uwagi.

Kilka ubiegłych tygodni zostawiło na powierzchowności Marysia widoczne ślady. Pobladł on trochę i zmizerniał. Znać było, że po młodzieńczéj twarzy téj przesuwały się były z kolei zapał i zniechęcenie, usilność i zmęczenie, żądza i bezwładność, gniew i żal, walka z samym sobą i tajemne zawstydzenie. Oczy jego zmęczone były nieco, powieki zaczerwienione, włosy mniéj starannie, niż dawniéj, w kędziory pokręcone, i wąsik nie tak wytwornie wymuskany i zaostrzony. W téj chwili jednak nieruchoma postawa jego i zamyślona twarz, nie znamionowały żadnych uczuć przykrych, i owszem, rozlewał się na nich wyraz uspokojenia, wypływającego z powziętych wi-

docznie postanowień jakichś, połączonego z błogiem niemal wpatrzeniem się w przedmiot niewidzialny, lecz w wyraźnych zarysach przed wyobraźnią jego stojący. Jedno baczne spójrzenie mogło-by odkryć, że proces myślowy, odbywający się w téj chwili we wnętrzu młodego człowieka, nie był czém innéni, tylko jakiémś wielce ponętném i długą miękką nicią w głowie jego snującém się marzeniem. Znać było także, że nie bronił się on wcale różowemu prądowi, który go pochwycił, ale przeciwnie, poddawał się mu z zupełną samowiedzą i dobrą wolą. Zmrok zapadał, do saloniku wszedł służący i, stąpając na palcach, zapalił lampkę, któréj blask przytłumił ażurową zasłoną; wśród ciszy, napełniającéj pokoje, słychać było tylko miarowy tętent zégara, lub téż krótki metaliczny dźwięk ogłaszanych przezeń kwadransów, a Maryan siedział, raczéj leżał, wciąż nieruchomy, z czołem, na dłoni wspartém, mglącemi się i płonącemi naprzemian oczyma wpatrzony w krainę własnych marzeń. Wieczór był już dość późny, gdy w przedpokoju ozwały się szybkie męzkie stąpania,—do saloniku wszedł Stefan Sieciński.

Na widok wchodzącego, Maryś obudził się z zadumy, i szybko poskoczył z miękkiego siedzenia; po twarzy jego przemknął się odcień zakłopotania, tajemnego jakby zmieszania, czy niepokoju. Męzka postać Stefana i strój jego prosty, z pospolitego szarego materyału sporządzony, rażącém niemal sprzeciwień-

stwem odbiły się na tle wytwornego pokoju. Rozmarzający, do księżycowych promieni podobny blask lampy, łagodnemi strugami płynąc z pod kolorowéj zasłony, oświecił twarze obu młodych ludzi, gdy podawali sobie ręce na powitanie.

— Źle mi coś wyglądasz, Stefanie — rzekł Maryś takim głosem, jakby niepewnym był, od czego wypada mu zacząć rozmowę. W postawie jego i powitaniu malowało się wciąż niezwykłe mu wcale zmieszanie.

— W istocie — odparł Stefan, siadając — miałem w tych czasach niezwykle wiele zajęcia i kłopotów, trochę niepowodzeń; czuję się dziś nieco zmęczonym, i po zamknięciu sklepu przyszedłem do ciebie, bo duszno mi było jakoś i smutno w mojéj izbie...

— A! — wyrzekł Maryan z pewnym odcieniem zadowolenia w głosie — i tobie więc także bywa niekiedy duszno i smutno w sferze, w któréj się zamknąłeś? i ty także, po spełnieniu dziennego zadania, czujesz się czasem zmęczonym?

— Czy myślałeś, że jest inaczéj? — z uśmiechem zapytał Sieciński.

— Miałem cię za człowieka żelaznego, za opuklerzonego ze wszech stron rycerza pracy...

— Omyliłeś się; nie jestem z żelaza, ale z krwi i kości, a praca ciągła, nudna, męczy nieraz najżarliwszych nawet swych rycerzy...

— A jednak... zmęczony dziś, jutro do niéj powrócisz?

— Naturalnie — odparł krótko Stefan — czyliż może być inaczéj?

— Szczęśliwy! — zawołał Maryan, i zaśmiał się z cicha; zarazem powstał z krzesła i powolnym krokiem przeszedł się parę razy po pokoju.

Stefan, który wyglądał w istocie zmęczonym trochę i smutnym, siedział z czołem opartém na dłoni, a wykrzyknik towarzysza nie zdawał się zwracać szczególnéj jego uwagi. Zmieszanie Marysia i tajemne rozdrażnienie, z jakiém zamieniał on z młodym kupcem poprzedzające słowa, minęły. Czoło jego było wypogodzone znowu i postawa pewną siebie, gdy, stanąwszy przed towarzyszem, zaczął mówić:

— Powinien-bym raczéj powiedziéć o tobie: nieszczęśliwy! Jesteś dobrowolnym niewolnikiem, Stefanie; wprzęgłeś się w jarzmo, którego doprawdy nie zazdroszczę ci wcale, a którego mógł-byś uniknąć, gdybyś spójrzał na życie z innego jeszcze punktu, niż ten, z jakiego na nie patrzysz...

Stefan podniósł głowę i zdziwionemi oczyma spójrzał na towarzysza.

— Jarzmo? — zapytał — jakie jarzmo?

— Jarzmo cyfry, miary i wagi — ciągnął Maryś — jarzmo interesu i prozy życiowéj...

Stefan wydawał się coraz więcéj zdziwionym.

— Jakim-że to językiem przemawiasz dziś do mnie, Maryanie? — zapytał, na-pół jeszcze z zamyśleniem, na-pół ze śmiechem.

— Językiem prawdy— odparł Maryś z powagą— prawdy, którą odkryłem w rozmyślaniach dni ostatnich. Piérwszy raz w życiu byłem długo samotny, zastanawiałem się, myślałem i odkryłem, że, gdy przed kilku tygodniami zamienialiśmy ze sobą poglądy nasze na życie, myliliśmy się obaj...

— Doprawdy? — przeciągle i tonem wątpliwości wymówił Stefan.

— Tak — pewnym głosem i z wyrazem przekonania na twarzy odpowiedział Maryś — bo powiedz sam, Stefanie, słusznémże jest uważać świat za olbrzymi jakiś zakład karny, w którym ludzie skazani są na dożywotnią ciężką pracę, a życie za jeden ciąg starań i zachodów, starań i zachodów o co? o materyalne dobro, o wzbogacenie się, lub przechowanie posiadanego bogactwa? Nie mówię tu zresztą o ludziach całkiém ubogich, ci bowiem, chcąc nie chcąc, muszą do czasu przynajmniéj zaprzęgać się w niewolę prozaicznych potrzeb i robót; ale każdy, kto, zrządzeniem losu, posiada takie przynajmniéj środki, jakie niezbędnie potrzebnemi są do podtrzymania fizycznéj jego exystencyi, czy nie lepiéj uczyni, jeśli, zamiast męczyć się, tracić najżywotniejsze siły i najpiękniejsze dni młodości, nad zdobywaniem rzeczy niekoniecznie już mu potrzebnych, odda się cały in-

teresom wyższym nad wszelkie materyalne dobra, swobodnemu rozwojowi myśli, czystym i bezinteresownym uczuciom serca? Aby posiadać umysł oświecony, i nie być obcym wszystkiemu, co jest ludzkie, potrzebaż koniecznie posiąść specyalną jakąś gałęź wiedzy, spamiętać seciny suchych formuł i nazw, skąpać się po uszy w ciężkich i nudnych odmętach tak zwanéj nauki ścisłéj? aby spędzić życie uczciwie i bez plamy, nie dość-że jest rządzić się zawsze zasadami moralności i honoru? aby zostać szczęśliwym, trzebaż czegoś więcéj, jak kochać, być kochanym i posiadać pod słońcem jakiś cichy kątek, który-by pomieścił nas i ukochaną przez nas istotę? Życie człowieka na ziemi nie jest tak długie, ani tak ubezpieczone, aby mógł on bez żalu i niebezpieczeństwa święcić lata całe męczarniom, nudom, tęsknocie i wyczekiwaniu przyszłości. Przyszłość! któż ją nam zapewni? Kto zaręczy, że, po upływie tak długich dni i miesięcy, któremi odgrodziliśmy się od naszego szczęścia, żyć jeszcze będziemy, lub, że szczęście to, dziś możebne do osiągnienia, po upływie tych dni i miesięcy nie ucieknie od nas? Samo szczęście zresztą jest niezmiernie względném i zależy zupełnie od osobistych poglądów i usposobień jednostek. Są ludzie, którzy widzą je w ciągłym gorączkowym ruchu, w gonitwie za zyskiem, wpływami, wzrastaniem w bogactwo i potęgę; tacy zapewne nie mają nic innego do czynienia, jak ślęczeć nad nauką, mogącą dostarczyć potrzeb-

nych im narzędzi zdobywczych, jak męczyć się przez lata całe, aby potém, jeśli traf, lub śmierć, nie staną im na drodze, używać ciężko zapracowanych rozkoszy. Ale wzajemnie, jeśli ktokolwiek szczęście swe ujrzy w spokoju umysłu i zadowoleniu serca, nie wolnoż mu pod względem materyalnym ograniczyć się tém, co już posiada, nie odkładając spełnienia swych nadziei do niepewnego jutra? posiąść to, co dziś już bez żadnéj przeszkody objąć może w swe posiadanie? Zdaje mi się, Stefanie, że świat dzisiejszy, stawiając za główny cel dążeń swych i pragnień zarobek i dorobek, na miejscu, kędy dawniéj panowały obyczaje proste i czyste uczucia serca, wznosząc ołtarz złotego Baala, błędną nieco postępuje drogą, błędną i niestosowną dla pewnéj przynajmniéj części jednostek ludzkich. Do tych jednostek i ja także należę. Uczułem to wyraźnie, i tą razą jestem pewny, że dokładnie zrozumiałem samego siebie.

Przestał mówić i, siadając naprzeciw w milczeniu go słuchającego towarzysza, przesunął białą rękę pomiędzy gęstwiną złotych kędziorów. Głowę podniósł dumnie, a oczy jego to, rozpromienione, to znowu omglone wzruszeniem, posiadały wyraz najgłębszego przekonania, gorącego nawet zapału, takiego samego zapału, z jakim przed kilku tygodniami, w ubogiéj izbie kupca, toczył on całkiem innéj treści rozmowę. Porwał go teraz wręcz przeciwny tamtemu krąg pojęć i zapalił go do zupełnie z tamte-

mi różnych postanowień. Być może, iż nowy zapał ten i nowe postanowienia nie posiadały w sobie większych, niż poprzednie, zadatków trwałości, niemniéj przecież zupełna dobra wiara, a nawet wielce energiczne przejęcie się własnemi słowami, przebijały się w spójrzeniu, postawie, dźwięku głosu, w całéj, słowem, powierzchowności młodego człowieka.

Stefan wysłuchał słów przyjaciela w zupełném milczeniu. Z razu wlepiał w niego wzrok zdziwiony, potém przestał na niego nawet patrzéć i, spuściwszy oczy, siedział zamyślony i nieruchomy.

— I cóż, Stefanie? co myślisz o wszystkiém, com ci powiedział?

Pytanie to Maryan zadał tonem, który usiłował uczynić żartobliwym, przebijała się w nim jednak żywa niecierpliwość. Jakkolwiek pewnym był słuszności tego, co wygłosił, to jednak z niepokojem oczekiwał odpowiedzi towarzysza.

— Myślę o tém — odpowiedział Sieciński—iż w twojéj postawie uosobione stoi w téj chwili przede mną wielce osobliwe zjawisko moralne. Jakto! kilka więc zaledwie tygodni pracy trudnéj i niemiłéj wystarczyło, abyś tak dalece zmienił swój sposób zapatrywania się, i w ogólności na życie ludzkie, i wyłącznie na twe własne położenie! Gdybyś powiedział mi po prostu: „nie podołam zadaniu, które przyjąłem na siebie w chwili zapału i uniesienia, nie wy-

trwam w trudach, które innemi wcale wydały się mi z blizka, niż wyglądały z daleka”, rzekł-bym, że przewidywałem to potrosze, że stało się to, czego lękałem się dla ciebie od początku próby, którą przebywałeś, i przez całe jéj trwanie. Ale zakładać na krzyż ręce niby z zasady, w skutek umyślnie powziętego postanowienia, z przekonaniem, że, czyniąc to, do czego kilka tygodni temu wstręt uczuwałeś, czynisz dobrze, słusznie i dla siebie pożytecznie, jest że to podobném? Miał-że byś być obłudnym, Marysiu, obłudnym względem mnie, albo i względem siebie samego?

— Nie! — z uniesieniem zawołał Maryś — na Boga, Stefanie, nie posądzaj mnie o rzecz tak brzydką i nieuczciwą, jak udawanie i obłuda! Ot widzisz, poznałem tylko w przeciągu tych kilku tygodni samego siebie, zrozumiałem jasno zdolności moje i skłonności. Nie jestem zdolnym do łamania i suszenia sobie głowy nad przedmiotami, które nie budzą we mnie zajęcia i zamiłowania. Cóż chcesz, snadź umysł mój z natury swéj potrzebuje nieograniczonéj swobody w wyborze przedmiotów, które nasuwają się jego badaniom, nie może na jednym z nich zatrzymywać się długo i wyłącznie. Jakże zresztą dowiedziesz mi, że dla umysłowego i moralnego rozwoju i udoskonalenia człowieka, lepiéj jest zasklepić się w badaniu jednego zakresu zjawisk i pojęć, niż dowolnie według natchnień chwili, obejmować różne ich działy, prze-

chodzić od jednego przedmiotu do innego, na wszystko patrzéć, wszystko oglądać, niczemu nie oddając się na wyłączną własność. Swoboda, mój drogi, swoboda myśli, wolność wyboru, posłuszeństwo nie przymuszonym natchnieniom wewnętrznym, zadawalanie ciekawości wtedy, gdy ona sama przez się w nas powstaje: oto są żywioły, z których jedynie powstać mogą umysły wszechstronnie oświecone, wolne od pedantyzmu, oschłości, przyjemne i bezinteresowne. Co do mnie przynajmniéj, uczułem dobrze, że nie posiadam najmniejszego pociągu do zajęć umysłowych, które mają na celu zdobycie, lub powiększenie dobra materyalnego. Nie mogę wprządz się we wstrętną mi niewolę dlatego tylko, aby w przyszłości powiększyć moje majątkowe dochody. Swobodę myśli i zadowolenie serca przekładam nad wszelkie bogactwa, i całą duszą zgadzam się na owe powiedzenie mędrca-poety: „ten pan zdaniem mojém, kto przestał na swojém".

Tą razą pomiędzy dwoma młodymi ludźmi panowała dość długa chwila milczenia.

Piérwszy przerwał ją Stefan.

— Tak — rzekł — wszystko, coś powiedział, Marysiu, brzmi pięknie, wzniośle, wspaniałomyślnie; zdaje mi się, że odgadłem już, zkąd wynikły w tobie myśli te, i ku czemu cię wiodą. Co do mnie, różnię się z dzisiejszemi twemi zdaniami najzupełniéj, mimo to, nie myślę wcale stawać przed tobą w roli aposto-

ła i kaznodziei, ani przędsiębrać przekonywania człowieka, który, nim sam siebie w podobnie piękny sposób przekonał, musiał długi i zawzięty spór stoczyć z rozumem swym i sumieniem. Zadam ci jedno tylko bardzo proste i prozaiczne pytanie: w jaki sposób pogodzić potrafisz to, co nazywasz swobodą umysłu, z gwałtowną potrzebą, w jakiéj zostajesz, ratowania i podniesienia własną usilnością majątkowego bytu swego i swéj rodziny?

— Zadałeś mi w istocie pytanie proste i krótkie — odpowiedział Maryś — odpowiem ci téż również prosto i krótko: nie myślę wcale dokładać usilności żadnych ku podnoszeniu i ratowaniu naszego bytu majątkowego.

— Ślubujesz tedy dobrowolne ubóztwo. Zapewne, wspaniałe śluby te łatwe są do wykonania, gdy się zostaje w takiém, jak to, mieszkaniu, o kilka kroków od zasobnéj śpiżarni, kucharza, sporządzającego pasztety, i stajni, w któréj rżą konie cugowe. Ale uważ, mój drogi! za ścianami temi zimne wichry szumią, pasztety i surduty nie wyrastają z ziemi pod stopami ludzi, chléb łaskawy trudny do otrzymania, a otrzymany gorzko smakować musi.

Maryś zaśmiał się na-pół wesoło, na-pół niechętnie.

— Bierzesz rzeczy te z tragicznéj strony. Nie ślubuję bynajmniéj dobrowolnego ubóztwa, i nie spo-

dziewam się wcale, abym kiedykolwiek potrzebował łaskawego chleba.

— W takim razie — podchwycił Sieciński — nieubłagana rzeczywistość stawia cię w sprzeczności z innėm znowu twėm założeniem. Postanawiasz być uczciwym i obiecujesz sobie zadowolenie serca, które, jak powiedziałeś, przekładasz nad wszelkie bogactwa. Tymczasem, ażeby, zachowując swobodę umysłu, i dowolne, a tak, według ciebie, uszlachetniające rozporządzanie się czasem i własnemi myślami, nie popaść w ubóztwo, na które nie rezygnujesz się wcale, musisz z konieczności położenia, w jakiém zostajesz, zacząć od ożenienia się z bogatą kobietą, któréj nie lubisz, i wyrzeczenia się téj, którą kochasz. Zostaniesz-że uczciwym, posiłkując się w kłopotach cudzém mieniem? Zyskasz-że zadowolenie serca, wyrzekając się téj cudownéj, niepospolitéj, zachwycającéj i t. d.

— Stefanie! — uroczystym nieledwie głosem wyrzekł Maryan — nie żartuj z przedmiotu, który dla sumienia mego jest świętością, a dla serca źródłem najdroższéj nadziei. Jakiemikolwiek były-by postanowienia moje w innych względach, nigdy, nigdy nie popełnię tego, co we własnych oczach okrywało-by mnie wstydem, co jest w krzyczącém sprzeciwieństwie z zasadami uczciwości i pojęciami męzkiego honoru. Jakto! ja miał-bym podtrzymywać i ulepszać byt swój mieniem kobiety, względem któréj nie żywię

żadnych innych uczuć, prócz zwyczajnéj towarzyskiéj życzliwości? miał-bym, według trywialnego, lecz dosadnie rzecz malującego wyrażenia: osiadać na fartuszku niekochanéj przeze mnie żony! Nie znasz mnie jeszcze, Stefanie, jeśli mogłeś choć na chwilę przypuścić, że jestem zdolnym do popełnienia podobnéj nikczemności, do przyjęcia na siebie podobnie poniżającéj roli. Nigdy nie uczynię tego, tak, jak nie odstąpię dobrowolnie szczęścia, które widzę przy boku kobiety, wzbudzającéj we mnie najżywsze uczucia miłości i czci. Odepchnięty chyba przez nią, odejdę, aby otrzymaną ranę serca ponieść w przyszłość, kończącą się tylko nad grobem; ale jeśli ona mnie przyjmie, wtedy, Stefanie, bez tych ksiąg, nad któremi siedząc dnie i noce, marzyłem tylko o niéj, i bez bogactw, które dać-by mi mogła wiedza, w tych księgach zawarta — będę szczęśliwym!

Wymawiając ostatnie wyrazy, Maryś powstał. Na twarzy jego malowało się znowu silne wzruszenie, policzki mu zapałały, czoło rozpromieniło się, w oczach zaświeciły łzy. Ale Stefan nie wydawał się wcale rozczulonym, tylko wyraz twarzy jego, smutny już trochę wprzódy, stał się nieco smutniejszym jeszcze i więcéj zamyślonym.

— A! — rzekł — w takim razie, przyszłość twoja, drogi Marysiu, wydaje mi się zagadnieniem wielce trudném do rozwiązania. Nie pojmuję jeszcze, w jaki sposób zdołasz pogodzić tak sprzeczne ze sobą oko-

liczności i wymagania, jakim sposobem wymożesz od twardéj rzeczywistości, aby praw swych ustąpiła błogim twym marzeniom.

— Poprzestanę na tém, co mam — krótko odpowiedział Maryan.

— Co znaczy?... — tonem pytania wymówił Stefan.

— Co znaczy — ciągnął młody Brochwicz — że z pomocą jakiéjkolwiek finansowéj ewolucyi, otrzymam od ojca mego przypadającą na mnie część dziedzictwa, lub choć-by tymczasem część tylko téj części, i środkami, tym sposobem nabytemi, urządzę sobie w jakiéj cichéj i pięknéj okolicy, exystencyą spokojną i szczęśliwą.

— Czy exystencyą tę oprawiłeś już w wyobraźni swéj w jakie ramki, z rzeczywistości wykrojone? W jakiéj formie, pod jaką nazwą urządzoną będzie ta exystencya? Rozumiem, że trudno ci nazwę tę wymienić... prozaiczną być musi...

— I owszem — odparł Maryś — prozą, która wiedzie do celów zgodnych z poezyą życia, nie brzydzę się wcale. Nabędę małą jaką posiadłość ziemską, albo wezmę w dzierżawę folwark niewielki, lecz przedstawiający warunki spokojnego i miłego życia.

— Rozumiem — rzekł z wolna Stefan — chatka w lesie...

— Nie żartuj z chatek w lesie, Stefanie! któż bowiem zaręczy, czy nie w tych jedynie, śnionych przez

wszystkie piękne dusze, a gardzonych przez świat dzisiejszy, obrazach ciszy, prostoty i poezyi, mieści się cała suma szlachetnego i niezmąconego szczęścia, daremnie poszukiwanego śród gwarnych i burzliwych przestrzeni! Nie będę wynurzał przed tobą wszyskich marzeń i nadziei, któro powstały we mnie, bo, zostając jeszcze pod wpływem całkiem innych usposobień, nie pojął-byś, ile przywiązuję do nich wagi. Powiem ci tylko, że jeżeli piękna i szlachetna istota, ku któréj zwróciły się najlepsze i najgorętsze pragnienia mego serca, podzieli uczucia moje i marzenia, ta przyszłość, wyśniona przeze mnie, ta, jak nazwałeś ją, chatka w lesie, będzie przystanią, w któréj ukoją się wszystkie dotychczasowe niepewności moje i troski, w któréj *ja* i *ona* znajdziemy to, czego wy nigdy może gorączkową pogonią waszą nie dościgniecie: szczęście niewinne i gorące jak łono natury, na którém żyć ono i rozwijać się będzie.

Stefan milczał chwilę, potém westchnął i, przesuwając dłoń po schmurzoném czole, powstał z miejsca i rzekł:

— *Ja* i *ona*, i... nikt więcéj! Sielanka, snująca się na łonie natury... Na świecie burze huczą, wspaniałe gmachy w gruzy padają, pod ruinami giną ciał i dusz tysiące, jęki napełniają przestrzeń, nad którą niedola rozpościera czarną chorągiew zniszczenia i żałoby, światu gmachów nowych, myśli, serc, rąk działających trzeba — cóż ztąd?... *ja* i *ona* mieszkamy

w chatce leśnéj... cicho nam, ciepło, wygodnie i rozkosznie, a choć czasem i nudno trochę, to jednak pięknie bardzo, cnotliwie i błogo, gdy: pod gęstym krzaczkiem w miłéj siedząc parze, czuły pastuszek nuci na fujarze!" Śliczny obraz doprawdy i zupełnie niepodobny do tego, jaki przedstawia gorączkowa prozaiczna gonitwa, odbywana śród burzliwych przestrzeni przez nizkie dusze i małe umysły, które wyobrażają sobie, że, oprócz rozkosznego łona natury, jest jeszcze zbolałe i zakrwawione łono społeczności, że, oprócz poezyi kwiatów i słowików, istnieje na ziemi wielka poezya prozy, poezya pracy, obowiązku, cierpienia i tworzenia...

Słowa te młody kupiec wymówił z niezwykłém sobie uniesieniem, z oddźwiękiem żalu i goryczy w głosie. Maryan słuchał go ze schyloną głową. Nie znać było, aby słowa towarzysza wzbudzały w nim gniew, lub obrazę, i owszem, pewne tajone zmieszanie przesunęło się po rozpromienionéj i tryumfującéj przed chwilą jego twarzy. Stefan milczał chwilę, potém rzekł spokojniejszym już głosem:

— Przebacz mi, Marysiu, otwartość, z jaką zdanie moje wyrażam, a zbyteczną może szorstkość słów moich przypisz temu, że odwykłem od pięknych form mówienia, i że, sprzyjając ci szczerze, czuję się w téj chwili głęboko zasmuconym. Tak tedy dawne pragnienia twe i postanowienia do szczętu zniknęły przed nowemi. Ale... pozwól, abym ci zadał jeszcze

jedno pytanie. Gdy tak, jak marzysz o tém, usuniesz się od świata walczących i działających, co stanie się z rodziną twoją, a raczéj z majątkowym jéj bytem, który w znacznéj mierze warunkuje zacność i szczęście jéj przyszłości, a którego poprawie i zapewnieniu podołać nie może, jak to sam wyznał przed tobą, twój ojciec?

Maryś uczynił widoczne wysilenie, aby ukryć ogarniające go, większe jeszcze niż wprzódy, zmieszanie.

— No, — rzekł — nie jest z tém jeszcze tak źle, jak wyobraża sobie mój ojciec, jak ja sam wyobrażałem niedawno. Bądź co bądź, jesteśmy jeszcze dość majętni... zawikłane dziś stosunki uregulują się jakoś... ludzie oswoją się z nowemi urządzeniami i wymaganiami. Mój ojciec może znaleźć biegłego agronoma, energiczniejszego rządzcę, który podniesie z upadku gospodarstwó brochowskie... powinni zaprowadzić u siebie większą oszczędność... siostra moja wkrótce, jak mniemam, wyjdzie za mąż, a więc zmniejszą się i wydatki, jakie pociąga za sobą pobyt w domu panny na wydaniu... zresztą jeden z młodszych braci moich dorasta, za parę lat będzie już prawie dojrzałym mężczyzną, i bardzo być może, iż okaże się zdolniejszym ode mnie do zastąpienia ojca w czynnościach gospodarskich i w interesach. W każdym razie stanie się to, co stać się ma... czém-że jest wola pojedynczego człowieka wobec wyższych wyro-

ków, rządzących losem społeczeństw i jednostek? Wprawdzie sam kiedyś uważałem walkę i męztwo, jako siły możne przeciwko nieprzyjaznym wypadkom życiowym, ale po dłuższém zastanowieniu się pomyślałem, że kto wie? czy rezygnacya i pokora nie są stosowniejszemi cnotami dla człowieka, który, bądź co bądź, jest istotą słabą, wyrokom panującym w górze i plątaninom dziejącym się na ziemi poddaną?...

Uśmiech mimowolny, nie dający się ukryć, ani powstrzymać, przewinął się po ustach Stefana.

— Wielki Boże! — zawołał — cóż to za niesłychane nagromadzenie sofizmatów! Do wszystkich tych, które słyszałem już wprzódy, przybył jeszcze jeden w postaci fatalistycznéj teoryi spuszczania się na wyroki, panujące w górze; z wielkim argumentem sielanki o dwóch sercach połączyło się wychwalanie dwóch cnót, w takiém zastosowaniu milion razy od wszystkich na świecie grzechów niebezpieczniejszych: rezygnacyi i pokory. O, mój Marysiu! jakąż zręczną i przebiegłą komedyą własny twój rozum odegrał przed tobą...

— Dosyć Stefanie — z uniesieniem przerwał Maryś — wiem dobrze wszystko, co myślisz i cobyś mi chciał powiedziéć w téj chwili. Leniwstwo, samolubstwo, apatya: oto wyrazy potępienia, któremi wy, ludzie dzisiejsi, okrywacie wszystkich, niechcących razem z wami oddawać się w poddaństwo cyfrze i interesowi, szukających szczęścia w samych sobie, nie

w zewnętrznym świecie, a cnoty w pokorném wyznaniu własnéj słabości, nie w pyszném przebijaniu murów głowami. A! cóż robić? żałuję, że nie mogę stanąć przed tobą w postaci bohatera nowego kroju, ale nie czuję się dość mądrym, ani dość silnym, aby sięgać po wydatne jakieś miejsce w społeczeństwie, i obiecywać sobie, że wywrę na nie dobroczynne jakieś wpływy. Nie jestem ani tak wielkim panem, ani tak ubogim nędzarzem, abym mógł darowywać losowi najpiękniejsze dni swego życia, lub ciężkiemi taczkami, od których krwawią się ręce, ściągać kamienie pod budowę przyszłości. Niech inni uganiają się za rolą zbawców społeczeństwa, lub reformatorów ludzkości. Odstępuję im wszelkie zaszczyty, wawrzyny, wojenne zdobycze i pyszne zadowolenia. Dla mego sumienia i serca dość będzie, gdy zostanę uczciwym i szczęśliwym.

— Tak — z cicha i w zamyśleniu wymówił Stefan — odwieczna historya umywających sobie ręce Piłatów, kasztanów wyciąganych z popiołu cudzemi rękoma, fatalizmów, stawianych jako parawany do zasłonięcia sennéj postawy ludzi...

Umilkł i długą chwilę milczeli oba. Maryan przechadzał się po pokoju powolnym krokiem, z czołem lekko schmurzoném. Kiedy niekiedy jednak uśmiechał się nieznacznie, jakby prowadził z samym sobą tajemną rozmowę, któréj wyniki pocieszały go, uspokajały, i nawet napełniały uczuciem

pewnego tajemnego tryumfu. Po chwili stanął przed Stefanem i, patrząc na zamyśloną twarz towarzysza, pełnym swobody głosem wymówił:

— I cóż, kochany Stefanie, przyszedłeś do mnie, jakeś sam wyznał, zmęczony trochę i smutny, a ja rozmową swoją zasmuciłem cię bardziéj jeszcze; nie prawdaż? Cóż robić? mój drogi, nikt na świecie nieomylnym nie jest. Nie powinno cię tedy tak bardzo zasmucać, że omyliłeś się w sądzie twym o mnie...

— Bynajmniéj nie myślę o własnéj swéj omylności, lub nieomylności — odparł Stefan — ale... takiém już jest usposobienie moje, że wobec pewnych wypadków i widoków obojętnym pozostać nie mogę. Odłogiem leżące grunta, przedwcześnie zeschłe drzewa, zmarnowane godziny, niedokształcone charaktery, zaniedbane zdolności i spełzłe na niczém dobre chęci budzą we mnie zawsze smutek głęboki.

W czasie gdy Stefan mówił, Maryś chodził znowu po pokoju, ale daleko szybszym i mniéj równym krokiem, niż wprzódy; uprzedni uśmiech zniknął téż bez śladu z jego twarzy. Był on znowu niespokojnym i wzburzonym, chwiejny umysł jego uginał się pod surowemi słowami przyjaciela, w najdalszéj głębi istoty jego poczynały znowu odzywać się głosy niedawno jeszcze do milczenia zmuszone, wstrząsały spokojem, który wyrobił w sobie, i przywodziły mu do głowy myśli, które był od siebie odegnał. Niepewność ta przecież i wewnętrzne zachwianie się

trwały krótką tylko chwilę. Promienie lampy, wnikając przez drzwi otwarte do gabinetu, oświetlały tę część pokoju, w któréj znajdowało się biurko z rozrzuconemi na niém i wkoło niego stosami ksiąg zmiętych, w szarą bibułę oprawnych, z dala już bijących w oczy wielkiemi, czarno wydrukowanemi tytułami, obok których, jakby na urągowisko, połyskiwały i migotały romantyczne godła, paciórkami i jedwabiami wyszytych zakładek. Maryś patrzał chwilę na smutne ruiny chińskiego muru, upstrzone pamiątkami wesołéj przeszłości, potém przeniósł wzrok na inną część pokoju, zanurzoną w głębokim cieniu, i tam śród dwóch smug srebrnych, utworzonych na ścianie melancholijném światłem lampy, zobaczyć musiał owe piękne obrazy, które od kilku dni i nocy napełniały sny jego i czuwania. W obrazach tych figurowała ustroń, oddalona od gorączkowéj pogoni za zarobkiem i dorobkiem, i całym urokiem swym jaśniała twarz kobiety, ku któréj pociągały go niecierpliwe pragnienia i tęsknoty... Odwrócił się od na-pół ciemnego gabinetu, w którym twarda rzeczywistość pod postacią brzydkich, pękatych, szarych i ciężkich ksiąg, ścierała się przed jego oczyma z błogiém marzeniem, przemienioném siłą wyobraźni w obraz ponętny; postąpił kilka kroków ku Stefanowi, który patrzał na niego z niepokojem i oczekiwaniem; rzucił się na najbliżéj stojący fotel i, obie ręce przesu-

suwając pomiędzy gęstwiną włosów, zawołał, jakby w odpowiedzi na wewnętrzne jakieś pytanie:

— Nie! inaczéj już być nie może!

II. Sielanka Marysia.

Dzień miał się ku końcowi. Była to pora, w któréj mieszkanie Siecińskich, napełnione głosami dzieci i krzątaniem się ubogich ludzi około potrzeb życia codziennego, stawało się cichém i prawie pustém. W porze téj Katarzyna, powróciwszy ze swych obowiązkowych na miasto wycieczek, wychodziła z małą siostrą na krótką przechadzkę; Stefan przebywał w sklepie; młodsi bracia, zamknięci w ustronnéj izbie, przygotowywali się do jutrzejszych lekcyi; Anna pozostawała samą. Szare światło chmurnego popołudnia, półzmrokiem okrywając wysokie ściany skromnéj bawialni, zasłaniało nagość ich i szpecące je plamy wilgoci, ale w zamian rzucało na nie tu i ówdzie smugi cieniów, które napełniały kąty izby i obejmowały ubogie sprzęty smutną pomroką.

Anna wyszła z kuchenki, gdzie ukończyła porządkowanie naczyń kuchennych i przygotowywanie wieczornego posiłku rodziny; zdjęła z komody spory koszyk, napełniony białém płótnem, i usiadła z nim

przy oknie. Było tam jeszcze dość światła, aby módz szyć przez pół godziny, lub dłużéj i to téż siostra Stefana, nie chcąc, lub nie mogąc poświęcić spoczynkowi tego krótkiego nawet przeciągu czasu, pilnie zajęła się szyciem. Kształtna kibić jéj, objęta gładkim wełnianym stanikiem, i schylona nad robotą, uplotem ciemnych włosów zwieńczona głowa, rysowały się na tle szyb czystych, lecz grubych i od starości zamroczonych, wdzięcznemi i smutnemi trochę zarysy. Widać tu było młodość, pełną energii i powabów, w zupełności rozdzieloną ze wszystkiém, co stanowi rozkoszne ozdoby i uroki życia. Jakże daleko od niéj były miejsca zabawy, wesela, bezchmurnych radości i miękkich spoczynków! Otaczał ją smutny zmrok murów wilgotnych i szyb mętnych; cisza, która na chwilę tylko zastąpiła gwar codziennych zachodów, nie przynosiła jéj uchu żadnego ze swobodnych i miłych odgłosów świata, ani echa dalekiéj choćby pieśni, ani szmeru liścia, lub świergotu ptaszka, którego po pracy dziennéj słucha najuboższy nawet rolnik w chacie swéj, stojącéj pod niebem odkrytém, śród pól szerokich, owianych falami czystego powietrza i szelestami wiatru, przelatującego nad zielonym sadem. Tu było miasto, i uboga do tego dzielnica miasta; tu za oknami leżał pas ulicy wązkiéj brudnéj, nierównemi kamieniami zabrukowanéj, brzydkiém śmieciem przysypanéj; wysokie, chropowate, popękane od starości mury, stały pomiędzy

niebem a oczyma ludzkiemi; oko i ucho nic więcéj spotkać nie mogło, prócz niczém nieosłonionéj brutalnéj prozy; tu czoło młodéj dziewczyny, tak pysznie zwieńczone bogactwem warkoczy, pochylało się nizko nad zmudną, mechaniczną robotą, piękne oczy jéj wpatrywały się w rzędy drobnych ściegów, z pod ręki jéj występujących na płótno; serce jéj...

Co działo się z sercem i w sercu Anny, w czasie, gdy przez długie szeregi dni, tygodni i miesięcy, zewnętrzne życie jéj płynęło jednostajnym torem, ujęte w karby codziennych potrzeb i obowiązków, nakształt strumienia, płynącego pomiędzy ściskającemi go skalistemi ścianami? Czy wtedy, gdy czynna ciągle, nieustannie popychana wymaganiami bytu licznéj rodziny, chodziła ona o wczesnym poranku na rynek miasta, wracała ztamtąd do domu, dźwigając kosz ciężki, napełniony kupionemi przedmiotami; trzy razy na dzień przygotowywała posiłek rodzinny, troskliwém okiem przeglądała odzież sióstr i braci, naprawiała ją, lub sporządzała na nowo zręcznemi i oszczędnemi rękoma; gdy w pewnych godzinach zastępowała brata w sklepie, ważąc i sprzedając towary, a w innych jeszcze, w późnych przedpółnocnych godzinach, wstępowała na poddasze, gdzie przebywał najstarszy brat, opiekun i dobroczyńca rodziny, aby dopomódz mu do załatwiania rachunków, lub choćby do przebycia któréj z tych chwil ciężkich, w których troska i zmęczenie spędzały mu sen z powieki; czy wtedy, gdy

czyniła to wszystko z dobrą wolą i wesołą twarzą, w sercu jéj nie ozwały się nigdy, wychodzące z karbów codziennych, uczucia, wrażenia i pragnienia? czy do głowy jéj nie zawitały nigdy obrazy, wzbudzające tęsknotę, przysłaniające choćby na chwilę jaskrawy blask kuchennego ogniska, szare ściany sklepu, jednostajną powierzchnią pilnie zszywanego płótna? Na pytania te odpowiedziéć mógłby ten tylko, kto zajrzał w święte i głębokie misterye rozkwitłéj młodości, połączonéj z twardym, nękającym bytem ubóztwa, znoszonego z cichą odwagą. Teraz twarz Anny, schylona nad robotą, biała śród skąpego światła, tworzącego dla niéj tło szare i smutne, posiadała wyraz ciszy i spokoju. Ręka jéj, zgrubiała nieco od trzyletniéj pracy, z wyraźnemi znakami igły i twardych naczyń kuchennych, podnosiła się szybko i błyskała stalą igły, w takt niby podnoszącéj się zdrowym i szerokim oddechem młodéj piersi; po kilku minutach pracy, na świeże usta, okrążone dotąd wyrazem zamyślenia, wybiegła cicha nuta jakiéjś dawno słyszanéj pieśni, téj pieśni może, którą w szczęśliwych latach dzieciństwa słyszała wypływającą z piersi, lub z pod palców swéj matki, lub którą przyniosło jéj oddalone echo przeszłości, przybywające ku niéj z zielonych pól rodzinnych, nad któremi leciały dźwięki skowronkowych śpiewów i fujarek pastuszych. Dawna piosnka jednak, piosnka swobodnych dni dziecięcych, i bezchmurnych, krótkich dni piérwszéj młodości, krótko bawiła na

ustach dziewczyny; głos jéj nieśmiały, odwykły jakby od śpiewów wesołych, obił się o stare mury mieszkania, o grube szyby, zapłakane mętnym deszczem wiosennym, drżał chwilę na wiśniowych wargach i umilkł, pochłonięty cichém westchnieniem. Igła wypadła z palców Anny, głowa jéj podniosła się, oczy utkwiły w kapryśnych wzorach obłoków, szarym pasem rozdzielających dwa przeciwległe rzędy bezkształtnych dachów i okopconych brzydkich kominów. Czy o przeszłości myślała, lub o przyszłości? O jednéj może i o drugiéj zarazem. Była taką, jaką nigdy ani na mgnienie oka nie widział jéj nikt z otaczających. Była smutną. A jednak w oczach jéj, szeroko teraz otwartych, jaśniało zarazem światło tajemnéj jakiéjś nadziei, gorąca iskra marzenia, czy żądzy, ogniem wybuchającéj z młodego serca, rozpalała szafirowe źrenice, ciemne rzęsy zadrżały, dotknięte wilgocią łzy, spuszczającéj się z za powieki; zarazem wstrząsnęła z lekka głową, powiodła dłoń po czole, szybkim ruchem pochwyciła igłę i znowu szyć zaczęła. Szyła tylko prędzéj i pochylała głowę niżéj, niż wprzódy. Pierś jéj wszakże szerzéj i głębiéj oddychała. Była to snadź dla niéj jedna z chwil ciężkich i rozkosznych razem, w których nie naglona koniecznością do rachowania dziennych zarobków, rachowała się ona z samą sobą, z tém, co w niéj było. Wtedy w piersi i głowie swéj, obok miłości dla rodziny, obok myśli o niéj, obok siły

i męztwa, znajdowała inne jeszcze uczucia, które rozkazywały jéj zamarzyć chwilę, zapragnąć, zatęsknić, tak, jak marzy, pragnie i tęskni każdy, w czyjéj piersi uderza serce ludzkie — młode, gorące i zdrowe.

Wśród ciszy, panującéj w mieszkaniu, ozwało się lekkie skrzypnięcie drzwi, prowadzących z podwórza do kuchni. Ten jednak, kto wschodził, musiał miéć krok, wahający się przez nieśmiałość, lub wzruszenie, musiał zatrzymać się przy drzwiach dla nabrania śmiałości, lub oddechu, bo, prócz skrzypnięcia drzwi, przez parę sekund nic więcéj słychać nie było. Anna podniosła głowę z wyrazem oczekiwania.

— Czy to ty, Kasiu? — zapytała.

Odpowiedzi nie było żadnéj, ale w kuchence ozwały się kroki męzkie, i we drzwiach bawialni stanął Maryan Brochwicz.

Po policzkach Anny przemknął szybki rumieniec, ale usta jéj roztworzyły się swobodnym, uprzejmym uśmiechem. Zgarnęła z kolan kilka drobnych kawałków płótna, które zszywać zaczęła, i składając jedną ręką, drugą wyciągnęła do gościa.

— Nie spodziewałam się widziéć dziś pana — rzekła.

— Tak — odpowiedział Maryan, zatrzymując przez chwilę w dłoni swéj podaną rękę — przychodzę w istocie niespodzianie, i winienem nawet przeprosić panią za tę extraordynaryjną wizytę, ale... niepodobna mi było czekać niedzielnego wieczoru.

Anna uśmiechnęła się wesoło.

— O mój Boże! — rzekła — nie żyjemy przecie pod ustawami ściśle określonéj klauzury. Za chwilę zresztą zmrok zupełny zapadnie, i zabierałam się już do składania roboty.

— Dlatego zapewne, aby zaraz rozpocząć inną...

— Niezawodnie — żartobliwie odparła Anna, — za kilka minut trzeba mi będzie zapalić lampę... Daremnie jednak, zamieniając żartobliwe wyrazy, uśmiechali się oboje z pozorną swobodą i wesołością. Twarz Maryana była bladą i poważną; po uśmiechniętém licu Anny przesuwał się ten niewysłowiony wyraz nieśmiałości i zamyślenia, z jakim ludzie, odzwyczajeni od radości życia, spotykają miłą dla siebie chwilę. Piérwszy to raz znajdowali się sam-na-sam; Maryan od dawna dniami i nocami widywał przed sobą te jasne szafirowe źrenice, które teraz, nieśmiałe trochę i zamyślone, płonęły śród zmroku iskrą gorącą; twarz jego, o miękkich, ale pięknych rysach, o czole kobieco białém, lecz szlachetném, stała może przed wzrokiem Anny, gdy, przed kilku minutami, podniósłszy głowę z nad roboty, spójrzała na szary pas obłoków, westchnęła i zamarzyła... Maryan postawił krzesło przy tém samém oknie, przy którém siedziała Anna, i siadając, powolném spójrzeniem powiódł dokoła cichéj, w szarém świetle wieczoru tonącéj izby.

— Jak tu dziś cicho i samotnie... — wymówił.

— Przywykłeś pan słyszéć u nas gwar dzieci i widziéć całą naszę rodzinę, zebraną razem...

— Przywykłem widziéć panią śród jéj rodziny, jak dobrą i czynną wieszczkę, czuwającą nad spokojem i dostatkiem domowego ogniska. Przebyliście państwo wszyscy smutne koleje, ale nieszczęście nie może iść w parze z tymi, z którymi pani jesteś...

Anna pochyliła nieco głowę i słuchała w milczeniu słów, których zapewne nikomu innemu wymówić-by nie pozwoliła. On przesuwał wciąż spójrzenia po szaréj głębi izby i, opierając czoło na dłoni, z łagodném i marzącém zamyśleniem mówił daléj:

— Tak niedaleką jest jeszcze ta chwila, w któréj po raz piérwszy przestąpiłem próg tego mieszkania, a ileż mam już w niém wspomnień drogich, niezapomnianych nigdy... Pamiętam, kiedym piérwszy raz tu przyszedł, stałaś pani na progu tego pokoju zajęta gospodarską czynnością...

Wspomnienie to przywołało uśmiech na usta Anny.

— Zmieszałeś się pan wtedy mocno na widok naszéj kuchni — rzekła z cichą wesołością — pamiętam, że nie chciałeś pan wejść wprzódy, nim najuroczyściéj nie zapewniłam pana, że innéj drogi do mieszkania naszego niéma.

— Jakże dobrze znajomą stała mi się wkrótce ta droga! Od tego czasu dopiéro uczułem, że Niedziela

jest istotnie uroczystém świętem. W dnie powszednie otaczała mię nudna i smutna powszedniość życia. Odtąd przez siedm długich dni oczekiwałem zwykle z najżywszą niecierpliwością tych kilku krótkich godzin, w których znaléźć miałem to, czego daremnie szukałem gdzieindziéj...

Umilkł na chwilę, potém dokończył ciszéj:

— W których znajdowałem zachwycenie serca, mogącego nakoniec uwielbiać i... kochać!

Po raz to piérwszy w życiu Anna słyszała słowo to, dochodzące ku niéj z ust innych, niż z ust jéj sióstr i braci.

— Wdzięczną byłam panu zawsze za przyjaźń, okazywaną bratu memu — wymówiła z wolna — wśród mozolnéj pracy swéj, któréj oddaje się bez wytchnienia, Stefan tak mało ma radości serca...

Wyrazy te, któremi odbijała niejako od siebie wyraz przez Maryana wymówiony, nie były podyktowane przez obłudną skromność, ale przez istotne i głębokie zmieszanie duszy dziewiczéj, a także przez zrosłe z nią przyzwyczajenie myślenia o innych.

Ale Maryan mówił daléj:

— Dla brata pani mam prawdziwy szacunek, łączą mię z nim także dawne, w dziecięcych jeszcze latach zawiązane, stosunki; nie o nim przecież myślałem w téj chwili, gdym mówił, że odkąd wstąpiłem w te progi, poznałem co to uwielbiać i... kochać!... Mówiąc to, pani... Anno! myślałem o tobie...

Uczyniła nagłe poruszenie, jakby chciała zerwać się, powstać, odejść... Oczy jéj jaśniały śród zmroku iskrami i łzami, twarz płonęła rumieńcem zawstydzenia, wzruszenia. Ale w jedném oka mgnieniu, obie ręce jéj znalazły się uwięzione silnym uściskiem w białych gorących dłoniach Maryana.

— Nie odchodź pani! nie uciekaj! dziś muszę powiedziéć ci wszystko, i zapytać cię o słowo, rozwiązujące zagadkę szczęścia, lub nieszczęścia mojéj przyszłości! Kocham cię, Anno... więcéj niż kocham... czuję wobec ciebie uwielbienie głębokie... cześć, która obudziła się we mnie, odkąd zacząłem patrzéć w twą czystą, a tak silną duszę! Czyliż słów, które wymawiam teraz ustami, nie odgadłaś w oczach moich wtedy, gdy, przychodząc tu, stęsknionym wzrokiem szukałem twojego spójrzenia? Czy nigdy nic nie powiedział ci uścisk mojéj ręki wtedy, gdy, podając ci ją z obojętném na pozór powitaniem, nie mogłem poskromić drżenia, wstrząsającego całą istotę moję? Czy nie odgadłaś nigdy uczuć moich wtedy, gdy śród zgromadzonéj rodziny twéj szukałem zawsze miejsca najbliższego ciebie, gdyśmy oboje, obcy sobie jednak na pozór, zapominali o upływie długich kwadransów wśród ponętnéj rozmowy, z któréj uczyliśmy się wzajem poznawać siebie? powiedz! powiedz!... umiész kochać tak gorąco, tak niezmordowanie czuwać nad ukochanemi przez cię istotami... niepodobna, abyś nie miała jasnowidzenia serca, przenikającego

inne serce, które zresztą nie chciało osłaniać przed tobą swéj głębi... Anno, czy nie odgadłaś?... czy nie widziałaś?...

Siedziała wciąż nieruchoma, z jedną dłonią, uwięzioną w dłoni młodego mężczyzny, z drugą przysłaniającą zrumienione czoło i oczy, któremi teraz ze zwykłym spokojem spójrzéć na świat nie mogła. Ale natarczywe pytanie Maryana na drżące usta jéj wywołały ledwie dosłyszalną odpowiedź:

— Odgadłam... widziałam...

Wyraz niewymownéj radości rozlał się po twarzy młodego człowieka.

— Odgadłaś!.. widziałaś!.. a więc musiałaś téż przewidziéć chwilę, w któréj z nadzieją i trwogą przyjdę do ciebie i powiem ci: Anno! dobry i przeczysty aniele mój! bądź moją! bądź moją na zawsze! żoną, towarzyszką moją! szczęściem mojém na szczęśliwéj, jasnéj, łatwéj i wzniosłéj drodze, którą, wśród różnych poziomych, ciernistych pospolitych dróg życia, wybrałem dla siebie i dla ciebie!

W gorących słowach Maryana zabłąkał się snadź fałsz jakiś i ochłodził wzruszenie młodéj dziewczyny. Odjęła z wolna rękę od oczu i, nie śmiąc jeszcze, nie mogąc spójrzéć w rozpłomienioną twarz młodego mężczyzny, wyrzekła z cicha:

— Jest że na ziemi droga wzniosła, która-by zarazem nie była ciernistą?...

Pytanie to przykro uderzyło Maryana.

— Nie odpowiadasz mi, Anno — rzekł z żalem, z gwałtowną niemal natarczywością; — pozwalasz mi mówić do siebie, a więc... słowa moje nie budzą snadź w tobie gniewu, ni urazy, a jednak nie odpowiadasz mi... powiedz... zadaję ci pytanie to z czcią i miłością... zadając ci pytanie to, składam w ręku twoich najlepsze, jedyne nadzieje moje... powiédz... czy chcesz zostać żoną moją?... Pozwól, abym dziś jeszcze poprosił brata twego o oddanie mi skarbu, którym on sam cieszył się dotąd... Rodzice moi dobrzy są i kochają mię nad wszystko... jacyż zresztą rodzice nie byli-by dumni i szczęśliwi pozyskaniem córki takiéj, jak ty, Anno... przeszkód nie spotkamy żadnych... jeżeli tylko serce twoje przemawia do ciebie za mojém błaganiem, jeżeli tylko zechcesz, za miesiąc będziemy już połączeni na zawsze.

Umilkł, pochylił głowę i rozpalonemi ustami przylgnął do jéj ręki. Ale ręka ta nie drżała już teraz, oczy Anny nie przysłaniały się powiekami, i głowa jéj nie schylała się na piersi, w poddaniu niezwyciężonemu wzruszeniu. Siedziała blada, ze spójrzeniem wzniesioném wysoko, jakby nieustannie i całą siłą woli swéj przywoływała ku sobie myśl jakąś, obraz jakiś, o którym czuła, że zapomniéć nie była powinna. Usta jéj otworzyły się i wymówiła cichym, lecz pewnym głosem:

— Nie mogę...

— Nie możesz, pani?

— Nie mogę teraz jeszcze opuszczać braci i sióstr, oni mię potrzebują...

Maryan usunął się lekko.

— Pani! — rzekł z bólem i urazą, — Anno! ja mówię ci o sobie!!. o nas... a ty myślisz o innych...

Wyraz cierpienia wybił się na bladą w téj chwili twarz Anny.

— Panie Maryanie — rzekła z bólem w głosie, — teraźniejszość nie należy do mnie... Przyrzekłam bratu, że pozostanę przy nim, dopóki pomocy mojéj potrzebować on będzie... wiem, że odejście moje zostawiło-by tu pustkę i wyrządziło szkody, nienagrodzone może... odejść nie powinnam i... nie chcę...

Maryan uśmiechnął się gorzko.

— O! — rzekł — poznaję tu spartańskie zasady Stefana... poświęcenie, zaparcie się... Wielki Boże! na toż tylko żyjemy wszyscy, abyśmy męczennikami być mieli...

Pochylił się znowu ku Annie i z namiętnym wyrzutem dodał:

— Możesz-że pani wyrzekać się prawa do wszystkiego, co daje radość i szczęście życia? czyliż nie będzie to samobójstwem? mówisz, że potrzebną jesteś swojéj rodzinie! Anno! najdroższa moja! a ja czy nic w twych oczach nie znaczę? Czy mnie do szczęścia i spokoju, kto wié? do cnoty i zacności życia, nie jesteś potrzebną także? A jeśli i w twojém sercu uczucie dla mnie zapaliło się choćby drobną iskierką,

posiadasz-że prawo tłumić ją i gasić w imię wyexaltowanéj i zbytecznéj przyjaźni rodzinnéj... pomyśl... powiedz...

Anna siedziała wciąż blada i nieruchoma. Oddech jéj nawet stał się zaledwie widzialnym, a ręka sztywnie i martwo leżała w gorącéj dłoni Maryana. Zdawało-by się, że wzruszenie, którego doznała, uczucia szczęścia i bólu, które nagle i jednocześnie zbiegły się w jéj piersi, zwolniły ruch krwi w jéj żyłach, przytłumiły bicie serca, całą istotę jéj wtrąciły w bolesne naprężenie. Tylko oczy jéj jaśniały wśród zmroku blaskiem smutnym i gorącym, a na wzniesionóm czole osiadła myśl poważna, niemal surowa.

— Wyrzec się na zawsze radości i szczęścia życia nie mogę... gasić i zabijać uczucia, zrodzonego w méj piersi, nie mam prawa... nie mogę...

— A więc! — z błyskiem radości w oczach zawołał Maryan i chciał rękę jéj ponieść znowu do ust, ale ona łagodnym giestem usunęła ją z jego dłoni.

— Ale teraźniejszość, — powtórzyła — nie należy do mnie. Byliśmy bardzo nieszczęśliwi — ciągnęła daléj z cicha i powoli, ale pewnym głosem — cios po ciosie uderzał w rodzinę naszę, a z każdego z nich wytryskało nowe światło, które uczyło nas życia, prawd jego, cierpień, szlachetnych nadziei i ciężkich trudów! Ja i Stefan byliśmy najstarsi, jeżeli nie latami, to charakterem i zrozumieniem położenia naszego... ja i on powiedzieliśmy sobie, że uratujemy

resztę rodzeństwa naszego od mąk nędzy i niebezpieczeństwa ciemnoty... rozpoczęliśmy w tym celu wspólną, trudną, lecz konieczną, pracę... Beze mnie, jak bez niego, zadanie rozpoczęte dopiéro, nie było-by skończoném nigdy. Panie Maryanie! nie jest to już tylko przyjaźń rodzinna, ale jest to interes rodziny, który spoczywa na wytrwaniu naszém i męztwie, na woli naszéj i zapobiegliwości... Czy jest to tylko i wyłącznie interes jednéj, naszéj rodziny? Nie wiem; sądzę jednak, że wszystko wiąże się w tym świecie związkami nierozerwalnemi, że jeden człowiek, czy jedna rodzina, wywierają i na ogół wpływy nie obliczone... A więc jest to jeszcze coś więcéj, niż przyjaźń i interes, jest to obowiązek... Mogęż odbiedz do szczęścia mego teraz, gdy nic jeszcze skończoném, nic upewnioném nie jest? Gdy byt materyalny braci i sióstr moich chwieje się śród niepewności różnych, a moralne wzrastanie ich zaledwie się rozpoczyna... Kto mię tu zastąpi? czy płatna ręka jaka zdoła uczynić dla nich to, co czyni kochająca dłoń najstarszéj siostry? czy obce usta jakie będą mocne przynosić zachętę i pociechę, przynoszone im przez usta istoty, która wspólnie z nimi cierpiała, płakała, walczyła i spodziewała się... Nie, nie! ja odejść ich teraz nie mogę... potém... kiedyś... po latach kilku, gdy jedni z nich dorośli będą, drudzy uspokojeni, odzyskam prawo rozrządzania sama sobą... Wtedy, jeżeli szczęście, które dziś obok siebie ujrzałam, pozo-

stanie przy mni rzyjmę je z radością... z wdzięcznością...

Maryan słuchał słów tych z zachwyceniem, i zarazem z szyderstwem, z rozkochaniem i bólem. Mówiąc je, Anna była piękniejszą niż kiedy. Odzyskała już zwyczajny swój zewnętrzny spokój, a tylko na świadectwo jakby ciężkiéj walki, którą staczała ze sobą, i jednostajnie silnych uczuć, które w dwie przeciwne strony rozrywały jéj serce, głos jéj drżał od chwili do chwili, blade wprzódy policzki zapłonęły purpurą, a pierś podniosła się kilku krótkiemi, bo szybko stłumionemi, westchnieniami zapału i żalu.

— A więc czekać! — po chwili ciężkiego milczenia zawołał młody człowiek, i gwałtownym giestem odrzucił złote kędziory włosów, opadające w nieładzie wzruszenia na schmurzone czoło; — czekać i cierpieć! wieczna piosnka ludzi, którym się zdaje, że los tak jest cierpliwym, jak oni, a życie tak długie, jak chcą tego nieubłagane ich zasady! O Anno! Anno! jakaś ty zimna, obojętna, w dziewiczym spokoju swym, nieświadomym, gorączek i niecierpliwości serc męzkich i młodych! jakaś ty surowa dla mnie i dla siebie! Mam czekać! w tęsknocie i niepokojach trawić najpiękniejsze dni swéj młodości?... Mam czekać i patrzéć, jak ty więdniesz, pogrążona w mroku ubóztwa, uciśniona ciężarem prac grubych i poziomych! O nie! życie takie niegodném jest ciebie... nie mogę znieść dłużéj, aby śliczna głowa twa trudziła

się nędzą groszowych rachunków... aby drogie ręce twe kłuła igła i poniewierały obrzydłe naczynia kuchenne... Anno!...

Chciał mówić daléj, ale przerwało mu żywe poruszenie Anny.

— Maryanie! — zawołała po raz piérwszy, wśród nagłego wzburzenia uczuć, nazywając go po imieniu— nie rozumiem cię! Wstrętną ci jest i bolesną myśl o mojéj pracy... pragniesz co prędzéj oderwać mię od niéj... A sam czyliż, z pełném zapału i męztwa postanowieniem, nie podjąłeś trudów nauki, całkiem ci nowéj i bardzo trudnéj? czy nie zamierzyłeś ponosić trudów tych długo jeszcze, nim uznasz się dość silnym i umiejętnym do podjęcia zadania, wkładanego na ciebie przez uczucia rodzinne i obywatelskie obowiązki? czy nie pracujesz, słowem, i nie myślisz o długiéj, trudnéj pracy przyszłości?...

Mówiła to z uniesieniem, z zachwyceniem nieledwie, lecz, nagle spostrzegając jakby zbyteczną może śmiałość swéj mowy, dodała ciszéj i z wejrzeniem pełném daremnie tłumionéj tkliwości:

— Panie Maryanie! Stefan powiedział mi o panu wszystko... wszystko...

W téj chwili z wyrazu twarzy jéj i z dźwięku jéj głosu odgadnąć można było, że to „wszystko" o czém dowiedziała się z ust brata, szerokie, bardzo szerokie miejsce zajmowało w myślach jéj i uczuciach, i wiele, bardzo wiele przyczyniło się do tego, iż, przed kwa-

dransem oczyma wyobraźni, widziała na tle szyb mętnych i mrocznych obraz Maryana, a gdy wszedł, powitała go rumieńcem, pozwoliła mu mówić o miłości i wspólnéj przyszłości, i przyszłości téj zapragnęła sama. Ale słowa jéj, tryskajace z duszy pełnéj zapału, szacunku, zachwycenia nieledwie, wywołały tą razą na usta Maryana uśmiech wpół smutny, wpół szyderski.

— Było to dawno... — wymówił z wolna — bardzo dawno... gdym tworzył szalone postanowienia te i roił fałszywe obrazy życia, o których mówił ci brat twój, Anno! Odtąd myślałem wiele, spójrzałem w siebie z rozwagą i, bez uprzedzeń, bez przesądów, starałem się rozwiązać zagadkę życia. Rozwiązania tego nie znalazłem ani w suchéj treści ksiąg, któremi otoczyłem się z razu, ani w brutalnéj surowości zasad, które z razu przyjąłem był za swoje...

Umilkł na chwilę, nie dlatego przecież, aby wahał się z dokończeniem swéj myśli; walka wszelka skończoną w nim była, a wczoraj jeszcze istniejące tajemne zawstydzenie znikło bez śladu. Ale Anna podniosła głowę i utopiła w nim wzrok zdziwiony.

— W czém-że więc rozwiązanie to znalazłeś?

— W swobodnym polocie ducha, Anno! w niekrępowaném niczém zadowoleniu serca, w poezyi, ciszy, miłości... w szczęściu.

Pochyliła głowę i znowu dłonią zasłoniła czoło i oczy. Można-by rzec, że wzrok jéj uderzony został

światłem rażącém i przykrém, a na głowę spadł niewidzialny ciężar i w dół ją pochylił. Maryan ruch młodéj dziewczyny przypisał zapewne miłemu wrażeniu, słowami jego sprawionemu, bo, pochylony nieco nad nią, ujmując znowu w dłoń swą rękę jéj, któréj mu nieruchoma i zamyślona nie wzbraniała, mówił daléj głosem coraz cichszym i miększym, z twarzą okrywającą się coraz gorętszym i rzewniejszym wyrazem marzenia:

— Nie o takiém życiu marzę dziś, Anno, nie takiego życia pragnę dla ciebie i siebie, jakie dać-by nam mogły twarde trudy i znoje, szalone wysilenia, dokonywane dla celów poziomych i błahych. Posłuchaj! wysnułem w myśli swéj poemat cały i składam go u stóp twych, dobry i piękny mój aniele! Nie wśród świata gwarnego, nie wśród pospolitego motłochu, nie w trudach poziomych, ani w gorączkowéj gonitwie za ziemskiemi dobrami i zaszczytami żyć będziemy, jeśli podać mi zechcesz drogą rękę swą na wspólne życie i szczęście. Anno! jasteś tak młodą i piękną, i dobrą, że dusza twa koniecznie poetyczną być musi! Wszak kochasz ciszę, naturę i poezyą? W codziennym świecie, pośród zachodów i hałasów powszedniości, znaléźć ich nie można; ale są jeszcze na ziemi ustronia ciche i piękne, błogosławione przystanie dla dusz wyższych, dla serc, które, rozkochane w sobie, nie chcą, aby je widział kto, oprócz Boga, odwracają się od wszystkiego, co nie jest

nimi... Jedna z ustroni takich stanie się domem naszym, Anno, całym światem naszym... W ciche państwo samotnéj natury, wniesiemy uroki cywilizacyi, opuszczając wszystko, co brzydkiém w niéj jest i prozaiczném. W koło ścian naszych kwitnąć będą wonne róże i jaśminy, i swobodne wiatry niebios szumiéć w gęstwinie drzew zielonych; co wiosna chóry słowików zlecą do przybytku ludzkiego szczęścia, aby mu śpiewać pieśni miłosne; co jesień echa pól nieść nam będą odgłosy smętnych śpiewów żniwiarzy. W utworach poetów, w arcydziełach ludzkiéj myśli, nie srogiéj i ciernistéj, lecz pouczającéj i wznoszącéj, w dźwiękach i kształtach kilku wybornych dzieł malarskich i snycerskich, które uniesiemy ze sobą w ustroń swoję, duchy nasze odżywiać będą palącą się w nich iskrę zachwycenia i umiłowania piękna. Być może, iż obok szczęścia własnego ujrzymy kiedy niedolę czyją i nędzę, wtedy wesprzemy ją chętnie, żądni, aby błogosławieństwo ust nakarmionych i przyodzianéj przez nas ręki dobrą wróżbą spłynęło na nasze głowy... być może, iż wśród złotego pasma naszego życia zaplącze się nić jakaś ciemna i zawikłana, wtedy popracujemy trochę, aby ją rozwikłać, i zniesiemy chwilę cierpienia, aby na nowo używać lat rozkoszy... Tak, Anno, jeżeli tylko podzielisz me uczucia i pragnienia, życie nam zejdzie na łonie natury,

miłości i piękna, bez trosk poziomych i trudów daremnych, cicho, niewinnie, prosto i szczęśliwie!...

Przestał mówić i głębokie milczenie zapanowało w izbie, którą już teraz napełnił całkiem szary zmrok wieczoru. Anna siedziała wciąż nieruchoma i milcząca, z pochyloną nieco głową i dłonią przy oczach. Czy myślała lub marzyła? czy dłoń jéj, pokrywająca źrenice, zakryła palący się w nich ogień radości, lub łzę wielkiego bólu?.. Obraz, wysnuty przez rozmarzoną wyobraźnią młodego człowieka, tak sprzeczny był z tém, co ją otaczało oddawna! Można by rzec, że promienistość zjawiła się tu obok głębokich mroków, kwiaty rozwinęły wonne swe kielichy wobec spróchniałych ścian, poplamionych nieczystemi odbryzgami ulicznego błota, że powiew pól szerokich zawiał śród miejskiéj zaduchy, ton pieśni pastuszéj zmieszał się z hałasem kupczącego rynku, słowik zaśpiewał nad dachami, okrytemi duszącą kurzawą bruków... Czy obraz ten, odmalowany przed nią gorącemi słowy, czy ta nić złocista, wysnuta rozkochanemi młodzieńczemi usty, zabłysła przed wzrokiem dziewczyny ubogiéj, oddawna żyjącéj w miejskim zgiełku i zmroku, znużonéj pracą powszednią i nieustanną, światłem tych uroków życia, za któremi tęskni każde serce młode? czy może, pomimo wdzięku ich i świetności, było w nich coś, co napełniało ją żalem i zdumieniem, smutném rozczarowaniem i gorzkiém uczuciem zawodu? Było tam może i jedno,

i drugie. Była może w piersi jéj i żądza, i walka, w sercu iskra marzenia, a w głowie myśl nagany. Milczała długo. Po kilku dopiéro minutach, pierś jéj podniosła się wysoko, po zbladłych policzkach popłynęły dwie łzy grube i upadły pomiędzy fałdy wełnianéj sukni. Powoli ręka jéj osunęła się z czoła i oczu. Można-by w ruchu tym wyczytać uczucie głębokiego zniechęcenia. Zarazem z wolna i przecząco wstrząsnęła głową.

— Nie, panie Maryanie — rzekła — ja w pięknéj ustroni téj żyć z panem nie będę... ja takiego życia przyjąć, ani wieść nie mogę...

— Anno! — zawołał Maryan — co mówisz? jestże podobném, aby...

Przerwała mu giestem łagodnym, lecz stanowczym.

— Nie mogę — powtórzyła — nie powinnam... Nie mogła-bym nigdy spokojnie i szczęśliwie przeżyć godziny jednéj, wiedząc, że za ścianami raju mego *oni* cierpią i pracują beze mnie...

— *Oni!* znowu *oni!* więc bracia i siostry...

— I wszyscy ludzie biedni, mężni, walczący o jutro... — dokończyła cicho.

— Ludzie! i zawsze ludzie! Anno moja! czyliż serce, oddane tobie w zupełności, nie wystarczy ci? Dlaczegoż o innych zapomnieć nie możesz?

— Kocham ich... zjednoczyłam się z nimi w pracy i cierpieniach...

Młody człowiek gwałtownie załamał ręce i przycisnął je do rozgorzałego czoła.

— Nie zrozumiałaś mnie, Anno! — szepnął rozpacznie — o! jakżem się zawiódł!...

— Zawiedliśmy się oboje... — cicho wymówiła dziewczyna.

— Pocóż śniłem tak pięknie, tak czarownie marzyłem, skoro głos serca mego w kobiecéj nawet, w dziewiczéj piersi echa znaléźć nie może? skoro poezya czczém już tylko na świecie jest słowem, a miłość... o! gdzież znajdę miłość bez warunków, bez słabych wahań się i chłodnych obliczeń, jeśli jéj w tobie nawet, Anno, nie znalazłem?

Mówił to z bólem, z goryczą, z obrazą i nieledwie rozpaczą; błękitne oczy jego wezbrały łzami, zakrył twarz chustką i siedział nieruchomy. Płakał, Anna patrzała na niego z razu ze zdziwieniem. Snadź młody człowiek, który siedział teraz przed nią, rozmarzony i rozkwilony, inaczéj wcale przedstawiał się dotąd myśli jéj i wyobraźni. Patrzała i myślała. Powiodła dłonią po czole, jakby pragnęła rozwidnić i wzmocnić myśl swą ku odgadnięciu i zrozumieniu nowego dla niéj zjawiska. Zrozumiała je nakoniec i w znękanéj postawie, w schylonéj głowie Marysia, utkwiła wzrok, pełny smutnéj litości. Po chwili wyciągnęła rękę i ruchem litującéj się przyjaźni złożyła miękką dłoń swą na ręku płaczącego mężczyzny.

— Panie Maryanie — rzekła— przebacz mi i nie smuć się tak bardzo. Omyliliśmy się oboje; dobrze więc, żeśmy omyłkę naszę dość wcześnie spostrzegli. Myślałeś pan, iż jestem naiwną, poetyczną dziewczyną, zdolną długie lata jeszcze śnić o kwiatach i gwiazdach, kochać bezwarunkowo i ślepo poddawać się żądaniom serca. Omyliłeś się pan. Jestem kobietą, wyuczoną życia w twardéj szkole nieszczęścia i pracy. Nie mogę złamać przyrzeczenia, danego bratu, choćby on sam uwalniał mnie od niego, ani opuścić przed czasem domu, w którym siostra mała, bracia niedorośli, interesa i przyszłość rodziny mojéj, potrzebują współudziału głowy méj, rąk i serca. Przybywając tu, ubodzy i bez zasobów wszelkich, stworzyliśmy stowarzyszenie wspólnéj pomocy. Jestem jednym z członków stowarzyszenia tego i wycofać się z niego nie mogę bez bólu serca i wyrzutów sumienia. Za lat kilka, prędzéj może, będę wolną... ale i wtedy jeszcze nie zgodziła-bym się żyć z dala od świata ciężkich wprawdzie trudów, ale téż i wzniosłych radości. Przywykłam już do niego, i pomimo gwaru i ścisku, który go napełnia, mimo brzydkich żywiołów, jakie go szpecą, dojrzałam w nim poezyą, która mnie zachwyca i któréj nie wyrzeknę się nigdy dla poezyi róż i strumieni... Zdaje mi się zresztą, że jestem za młoda jeszcze, aby mieć prawo spoczywać, że za mało uczyniłam dla innych, aby módz bez samolubstwa żyć tylko dla siebie. Taką jestem,

panie Maryanie, i wyznaję to panu szczerze... nie ukrywałam się zresztą nigdy z pojęciami swemi o życiu i szczęściu, a jeżeli omyliłeś się pan... przebacz .. nie moja w tém wina...

Umilkła, odetchnęła głęboko, jakby pragnęła z piersi swéj zrzucić ciężar bolący i dodała ciszéj:

— Ja także omyliłam się...

Maryan odsłonił twarz, na któréj łzy oschły w ogniu wstydu i gniewu, jakim zapłonęły policzki. Nagle jednak, porwany znowu rzewném, namiętném uniesieniem, pochwycił ręce Anny i pochylił się nad niemi.

— Nie kochasz mnie więc, Anno? Myliły mnie więc oczy twe, patrzące na mnie inaczéj, niż na innych ludzi? Myliły mnie twe rumieńce, które spostrzegałem na licu twém, gdym zbliżał się do ciebie? Nie kochasz mnie więc, Anno?

Patrzał w jéj twarz spragnionemi oczyma i z wytężeniem czekał odpowiedzi. Anna milczała. Źrenice jéj okryte były powiekami, twarz zesztywniała śród walki tajemnéj.

— Powiedz, Anno, powiedz raz jeszcze... stanowczo... czy nie chcesz żyć ze mną... czy nie chcesz dzielić pięknych marzeń mych i dni szczęśliwych?

Blade usta Anny poruszyły się z trudnością.

— Nie mogę... — wyrzekła cicho, lecz z mocą.

— A więc odmawiasz mi... Anno! powtórz raz je-

szcze, bo nie chcę wierzyć tobie, ani sobie! Odmawiasz mi?...

— Odmawiam!

Maryan powstał wyprostowany, sztywny, roznamiętniony żalem i obrazą.

— Tak — rzekł, podnosząc głowę — omyliłem się ciężko, okrutnie... Wyobrażałem sobie anioła, pełnego nadludzkiéj dobroci i przeczystéj poezyi, zapominając, że owiało go suche tchnienie cyfry, że skrzydła jego przylgnąć już mogły do ziemi... Omyliłem się, myśląc, że są jeszcze na ziemi istoty rachować niezdolne i że jedną z istot tych ty jesteś, pani!...

Usta jego i ręce drżały, gdy mówił te słowa, w głosie przebrzmiewały ostre dźwięki szyderstwa i srodze zranionéj miłości własnéj.

W kilka minut potém Anna była znów samą. Drzwi kuchenki zamknęły się za wychodzącym młodym człowiekiem, i po chwili otworzyły się znowu, zarazem zabrzmiał w kuchence srebrny śmiéch dziecinny i poważniejszy, ale swobodny i wesoły, głos kobiécy. Katarzyna wracała z małą siostrą z przechadzki.

— Anusiu! gdzie Anusia? — zaszczebiotała mała dzieweczka.

— Aniu moja! gdzie jesteś? — zawołała młoda panna.

Zdziwiły się obie, że piérwszy raz, odkąd zamie-

szkały w tych ścianach, nie spotkała ich w progu pogodna twarz „najstarszéj siostry”, że o zmroku nie było jeszcze światła w ich mieszkaniu.

W bawialnéj izbie panowała cisza zupełna, przerywana tylko dochodzącemi od czasu do czasu z głębi mieszkania głosami chłopców, którzy snadź przed chwilą dopiéro uczyć się przestali.

— Czyż-by Anusia wyszła dokąd?... w téj porze nie wychodzi ona nigdy — wymówiła Katarzyna, rozglądając się w zmroku.

Nagle spostrzegła siedzącą przy oknie i nieruchomo na tle szyb rysującą się postać siostry.

— A! — zawołała — jesteś tu! czemu-żeś taka milcząca? Chciałaś nas przestraszyć nieobecnością niby swoją, a potém rozśmieszyć! O! ty figlarko nasza!

Zdjęła okrycie i kapelusz, przysunęła krzesło ku miejscu, na którém siedziała Anna i zarzuciła ramię na jéj szyję.

— No, dość już tego, Anusiu! — mówiła, śmiejąc się i pieszcząc dłonią jedwabiste warkocze siostry — przestraszysz mnie naprawdę, jeśli dłużéj tak milczéć będziesz! Słuchaj! gdybyś wiedziała, jaką dziś miałam biédę z tą małą Klemensią... Musisz dać jéj dziś dobre napomnienie, bo ona ciebie najchętniéj słucha...

— Nie słuchaj jéj, Anusiu! — zaszczebiotała dziewczynka, siadając na ziemi u nóg Anny i dro-

bnemi ramionami oplatając jéj kolana — Kasia skarżyć mnie będzie przed tobą o to, że zatrzymywałam się przed sklepami, gdzie są takie śliczne lalki i inne zabawki...

— A bo téż pannie Klementynie pora-by już przestać bawić się lalkami! — wymówił za Anną młodzieńczy głos Edmunda.

Wysmukły chłopak ze śmiejącą się twarzą wyszedł z sąsiedniéj izby, stanął za krzesłem siostry, i poufałym giestem składając rękę na jéj ramieniu, drugą żartobliwie groził tulącéj się do kolan Anny małéj siostrzyczce. Młodszy brat przybył téż zaraz za starszym.

— Cóż znowu? — zawołał—otoczyliście tak Anusię, że dla mnie już niéma miejsca koło niéj. Usuń się trochę, Klemensiu, to i ja się tu zmieszczę pomiędzy tobą a ścianą...

Ukląkł w istocie pomiędzy małą siostrą i ścianą, i ramieniem opasał kibić Anny.

— Cożeś ty taka milcząca, Anusiu? pochwal-że mnie, proszę! Namęczyłem się dziś z łaciną, aż mi włosy na głowie zabolały.

— A ja się tam nigdy z tém nie męczę! — wesoło zawołał Edmund — lubię języki umarłe...

— A ja wolę żyjące! — zaśmiała się Klemensia— Anusiu, nauczyłam się dziś od Kasi jednego bardzo pięknego francuzkiego słowa, które od rana już mam ci powiedziéć: Anusiu! *je t'aime*!

— Królewno nasza! — zawołał Edmund, zwracając się do Katarzyny — od jakich-że romantycznych wyrazów rozpoczynasz francuzką edukacyą téj małéj?

Katarzyna, weselsza dnia tego, niż zwykle, żartobliwie pytać braci zaczęła o łacińskie i greckie wyrazy, które Klemensia znowu powtarzała i przekręcała, śmiejąc się głośnym, dziecięcym śmiechem. Wesoła pogadanka toczyła się pomiędzy zebranem w wolnéj od pracy chwili rodzeństwem, ale śród tych głosów dziecięcych i młodzieńczych, nie było tą razą jednego głosu, którego jednak nigdy dotąd nie zabrakło w smutnym, czy wesołym chórze rodzinnych zwierzań się i rozmów. Zapalona świéca, postawiona przez młodych chłopców w sąsiednim pokoju, rzucała przez drzwi otwarte smugę żółtego światła na podłogę izby i półświatłem oblewała ściśle zwarte kółko osób, zgromadzonych przy oknie, ciemném teraz zupełnie. Niepewne błyski żółtego promyka ślizgały się po kruczych włosach Katarzyny, i czarnym stanikiem objętéj smukłéj jéj kibici, prostym promieniem padały na iskrzącą się śmiechem twarzyczkę Klemensi, i migotały w metalowych guzikach szkolnych mundurów dwóch dorastających studentów...

Wśród grona tego, opleciona ramionami sióstr i braci, otoczona ich głowami, ściągająca ku sobie wszystkie ich spójrzenia i głosy, Anna siedziała nieruchoma, z głową pochyloną na dłoń, którą przykry-

wała oczy. Nie wyrzekła dotąd ani jednego słowa, nie uczyniła żadnego poruszenia. Można-by rzec, że nie słyszała i nie widziała nic z tego co się wkoło niéj działo; zmysły jéj i uczucia, pogrążone były w przepaścistych toniach rozmyślań, lub skamieniałe w objęciu nieprzezwyciężonego bólu.

— Musi być dziś bardzo zmęczoną — wskazując spójrzeniem Annę, szepnęła Katarzyna starszemu z braci.

— Może chora? — z nagłą trwogą odszepnął Edmund.

W téj saméj chwili skrzypnęły drzwi od podwórza, męzkie kroki dały się słyszéć w kuchence, do izby wszedł Stefan.

— Cóż wy dziś tu tak w ciemności siedzicie? — rzekł, zatrzymując się w progu — czy Anny niéma w domu?

— Anusi jest dziś coś nadzwyczajnego — szepnął Edmund, zbliżając się do wchodzącego brata.

— Obawiam się, czy nie jest słabą — również z cicha dodała Katarzyna — nie przywitała się z nami, gdyśmy z miasta wróciły, nie mówi nic do nas... jeszczem jéj nigdy taką nie widziała...

— A mnie się już jeść chce bardzo! — zawołała Klemensia.

— To prawda — potwierdził brat najmłodszy — wszakże w téj porze jadamy zwykle, a dziś niéma jeszcze nawet ognia w kuchni...

Stefan słuchał słów rodzeństwa, potém zbliżył się ku oknu i stanął przed Anną. Czoło jego chmurne było, surowe, ale po ustach przewijał się wyraz głębokiego żalu, nieskończonéj miłości. Domyślał się snadź wszystkiego, co przed godziną zaszło w téj izbie. Przez chwilę w smutném zamyśleniu patrzał na pochyloną i nieruchomą głowę siostry, potém z wolna i łagodnie ujął rękę jéj, zwisającą bezwładnie pomiędzy fałdami sukni i cicho wymówił:

— Anno!

Głos jego posiadał snadź nad młodą dziewczyną moc potężną; przywykła słuchać go we wszystkich niepewnościach i boleściach życia, przywykła całą siłą piersi swéj snuć z nim razem trudny duet—pracy, cierpienia i obowiązku. Głos ten wniknął i teraz we wzburzoną toń jéj uczuć i przywołał ją ku zewnętrznemu światu. Odjęła rękę od oczu i wzrok mętny jeszcze utkwiła w twarzy brata.

— To ty, Stefanie! — wymówiła z cicha.

Obejrzała się dokoła, a widząc zmrok, panujący w mieszkaniu, pogrążone w ciemnościach ognisko kuchenne i zgromadzone koło niéj pełne troski i obawy twarze rodzeństwa, wstała szybko z siedzenia i zawołała:

— Przepraszam was, o! przepraszam!

W głosie jéj była w istocie pełna żalu i pokory prośba o przebaczenie. Żałowała chwili, spędzonéj śród jéj saméj tylko dotyczących myśli i smutków,

korzyła się przed tymi, o których przez chwilę, myśląc o saméj sobie, zapomniała...

Obu dłońmi powiodła po czole, uśmiéchnęła się do Katarzyny, pocałowała małą Klemensię, i szybkim krokiem przystąpiła do stołu, na którym stała lampa. Kilka minut zaledwie upłynęło, a bawialna izba oświetloną była białym płomieniem lampy, z pod małéj płyty kuchennéj buchał jaskrawy blask ognia, przy oknie, zasłoniętém płócienną roletą, szumiał gotujący się samowar.

— Nasza siostra obudziła się! — wesoło zawołał jeden z młodszych braci.

— O czém śniłaś, Anusiu, gdyś tak długo drzémała tam przy oknie? — zapytał brat drugi.

Anna wniosła do bawialni kilka talerzy i koszyk z bułkami. Twarz jéj była bladą, ale ożywiał ją uśmiéch przyjazny, na dnie źrenic płonęły smutne iskry, ale powierzchnia ich odzyskała zwykłą swą przezroczystość. Postawiła talerze na stole, umieściła pośrodku koszyk, i odwracając się do brata, który zadał jéj żartobliwe pytanie, rzekła:

— Śniło mi się, że byłam daleko od was i miałam piękny domek, pełen kwiatów, obrazów, książek i śpiewających słowików... ale z daleka zobaczyłam, że wy płaczecie po siostrze waszéj, że wam źle bez niéj... Nie chciałam więc słuchać słowików, ani cieszyć się kwiatami i—wróciłam do was!...

* * *

Maryan Brochwicz długo gorączkowym krokiem przebiegał najsamotniejsze ulice miasta. Gniewny, rozbolały, okrutnie zawiedziony w nadziejach serca, zraniony w miłości własnéj, wątpiący o wszystkiém, a najbardziéj o sobie, wrócił nakoniec po dwóch godzinach błądzenia śród ciemności do domu, i lokaja, który mu drzwi otworzył, zapytał o swego ojca.

— Pan jest w gabinecie swoim, z nieznajomymi jakimiś ludźmi.

Maryan ani przez jednę minutę nie zatrzymał się w ładnym swym saloniku. Rzucił tylko na ręce lokaja ciepły paltot, i szybkim krokiem, jakby lękając się samemu sobie czas do namysłu zostawić, przebył kilka pokojów, dzielących kawalerski apartament jego od sypialni i gabinetu ojca. Drzwi od gabinetu szczelnie były zamknięte, z-za nich dawały się słyszéć z ożywieniem rozmawiające, ale grube i nieznane mu głosy. Maryan zasztukał do drzwi.

— Kto tam? — zapytał z wnętrza pokoju głos pana Jana, niezwykłém mu zniecierpliwieniem brzmiący.

— To ja, mój ojcze!

— A, to ty, Marysiu! wejdź, proszę!

W gabinecie przed biurem, zapełnionêm papierami, siedział Jan Brochwicz, a naprzeciw niego stało dwóch ludzi, z których ubrania na-pół chłopskiego jeszcze, na-pół już pańskiego, barczystych postaci i ogorzałych twarzy, poznać można było zamożnych i pracowitych zagrodowych szlachciców. Ludzie ci uśmiechali się rubasznie, lecz życzliwie, a w grubych rękach trzymali szare, baraniém futrem obszyte, czapki. Jeden z nich z wyraźną przyjemnością zérkał z pod rudéj rzęsy na złożony we czworo i w głębi czapki umieszczony arkusz stemplowanego papieru, drugi zasuwał takiż arkusz w zanadrze surduta, który krojem swym i barwą przypominał jeszcze sierminę. Mieli się snadź ku odejściu, a odchodzili widocznie zadowoleni. Jan Brochwicz za to nie wydawał się wcale zadowolonym. Z przymuszoną wesołością i serdecznością, ale z chmurą na czole i niepokojem w oczach, pożegnał szlachciców, a gdy odeszli, osunął się na fotel, stojący przed biurem, westchnął i przesunął dłoń po twarzy giestem zmęczenia, stroskania i znudzenia.

Maryan obojętnie patrzał na obcych ludzi, którzy z nizkiemi ukłonami rozminęli się z nim w progu, ukłonił się im wprawdzie machinalnie i z przyzwyczajenia, ale można-by mniemać, że wcale ich nawet nie widział. Zatopiony w myślach, z gorącemi rumieńcami na policzkach, ze zmarszczonêm czołem i zaciśniętemi usty, usiadł naprzeciw ojca i podparł skroń

dłonią. Pan Jan milczał także, nie patrząc na syna. Po chwili dopiéro oderwał wzrok od ziemi i, przenosząc go na twarz Maryana, rzekł ze smutkiem i goryczą w głosie:

— Zaciągnąłem nowy dług, Marysiu. Ludzie, którzy wyszli ztąd przed chwilą, są od dziś naszymi wierzycielami...

Maryś nie zmienił wyrazu twarzy i uczynił tylko ręką giest taki, jakby wiadomość, zawarta w słowach ojca, była mu najzupełniéj obojętną. Spójrzenie pana Jana rozwidniło się czułością.

— Wiem, wiem — rzekł pośpiesznie — że nie będziesz mi czynił wyrzutów żadnych, że udajesz obojętność dla złego stanu interesów naszych, aby nie zmartwić mnie i nie urazić. Jesteś dobrym synem, Marysiu, jesteś poczciwym i nad wiek swój statecznym młodzieńcem! tém więcéj boli mnie to, że w skutek okoliczności, w skutek szczególniéj mojéj własnéj nieradności, przyszłość twoja, przyszłość wszystkich dzieci moich, staje się coraz bardziéj groźną i zagadkową. Źle z nami, Marysiu, bardzo źle z nami! Dochodów ubywa, długów przybywa. Jedno za drugiém musi iść naturalnie. Wkrótce może nie będę mógł udzielać braciom twoim tak starannego wychowania, jakie ty otrzymałeś; trzeba będzie chyba wyprawić ich z domu i kierować na profesyonistów jakich, albo rzemieślników...

— Uczyń tak, mój ojcze — powoli i przytłumio-

nym głosem wymówił Maryan — przebacz mi, ojcze, że śmiem dawać ci radę, ale oddawna myślałem, że najlepiéj-by było, abyś uczynił z braćmi moimi tak, jak przed chwilą powiedziałeś... Świat przewrócił się do góry nogami, mój ojcze; dawne cnoty ustępują przed nowemi, do których zawczasu gotować się trzeba... Co do mnie...

Uśmiechnął się dziwnie i umilkł na chwilę.

— Co do mnie... — mówił daléj ze wzrokiem utkwionym w ziemię... — niepewności moje i wahania dziś się skończyły. Jestem takim, jakim jestem i innym być już nie mogę... Pragnę zabezpieczyć exystencyą moję od wszelkich burz, zmian i niepokojów, które zmęczyły mnie już... których nie chcę miéć na méj przyszłości... Dlatego postanowiłem ożenić się, osiąść w Brochowie i rozpocząć takie życie, jakie ty, mój ojcze, wiodłeś zawsze. Byt spokojny i dostatni powinien mi wystarczyć, skoro za czémś więcéj ubiegać się było-by dla mnie próżném, bo do doścignienia niepodobném marzeniem...

Przeciągnął dłoń po oczach, które nagle nabiegły wilgocią, szybko jednak podniósł głowę i dokończył:

— Przyszedłem dziś do ciebie, mój ojcze, z prośbą, abyś w mojém imieniu prosił jutro panią Natalską o rękę jéj córki... Wprawdzie dotąd jeszcze nie mówiłem nic o tém z panną Teofilą, zdaje mi się

przecież, że taki już jest zwyczaj, aby rodzice porozumiewali się w tym względzie ze sobą w zastępstwie swych dzieci... Wszystko mi zresztą jedno...

W głosie młodego człowieka, gdy mówił te słowa, brzmiała cała przepaść zwątpienia, upokorzenia i zniechęcenia, w oczach jego palił się gniew głuchy, a pierś drżała nieposkromionym bólem. Ale podniesione czoło jego i wyraz ust, zaciśniętych, pobladłych, świadczyły, że mówił z namysłem i silnie powziętém, wyraźnie w myśli swojéj sformułowaném, postanowieniem. Jan Brochwicz spostrzegł wprawdzie, że, jak na młodego człowieka, mającego jutro oświadczyć się o rękę młodéj i ślicznéj panny, Maryś dziwnie trochę wyglądał; ale, uradowany, że najmilsze mu nadzieje spełnić się nakoniec miały, wzruszenie syna, niepokojące rozognienie twarzy jego, drżenie głosu i zagadkowość uśmiechu, przypisał uroczystości chwili, żalowi po młodzieńczéj, tak zwanéj złotéj swobodzie, ostatniemu może wahaniu się serca, które dotąd uczuć swych pewném nie było. Przyszła mu też na pamięć owa scena zalotności, odegrana kilka tygodni temu przez Maryana i Teofilę, w salonie pani Natalskiéj, a którą on poczytał za scenę wybuchającéj, pomimo woli dwojga młodych ludzi, wzajemnéj ich miłości. Przypomniał sobie zresztą nie jednę scenę podobną, w któréj młoda ta para przedstawiała śród licznych zebrań widok dwóch gwiazd jednostajnéj wielkości i świetności, przyciąganych

ku sobie migotliwą grą światowych blasków i zabaw...

— A więc — rzekł pan Jan z radością — stanie się nakoniec to, czego od tak dawna i tak gorąco pragnąłem...

Wyciągnął dłoń otwartą, i z uczuciem ojcowskiém, połączoném z poufałością przyjaciela, ściskając rękę syna, wymówił ze łzami rozrzewnienia w oczach:

— Winszuję ci, Marysiu, i... dziękuję!

Maryan wstał w milczeniu, dotknął ustami ręki ojca i wyszedł z gabinetu. Po chwili znajdował się w saloniku swym, sam jeden, otoczony marzącém światłem lampy, całym wytworem i komfortem ładnego swego mieszkania. Dokonał już więc stanowczego wyboru, zadowolnił pracującą w nim głuchą chęć odwetu nad kobietą, która go odepchnęła. Wrażenia doznane znużyły go głęboko, czuł się wyczerpanym fizycznie i moralnie, położył się na długiéj, elastycznéj sofie, przymknął oczy i, jak dziecko, zmordowane długim płaczem, oddychał z wolna i głęboko. Spoczywał. Po chwili uczuł dobroczynny wpływ ciepłéj, a zarazem świeżéj atmosfery pokoju i miękką pieszczotę jedwabnych poduszek. Stawało mu się lepiéj, ciszéj i spokojniéj, niż bywało oddawna, i tylko czuł jakby kamień jakiś ciężki, który zapadał mu w pierś głęboko i pozostał na dnie jéj, tłoczący, choć nieruchomy. Miał-że podnieść się kiedy z łożyska swego

głaz ten wewnętrzny, ze wstydu, żalu, z nienasyconych pragnień szlachetnych i umilkłych do czasu wyrzutów sumienia utworzony? miałże się on podnieść kiedyś, aby z zatamowanego na czas jakiś źródła, jak z otwierającego się krateru, wybuchnęły palące ognie bezsilnéj rozpaczy i popłynęła niszcząca lawa gorzkiego zwątpienia? Było to dla Marysia zagadnieniem przyszłości. Teraz nad domami miasta zajaśniało słońce, płynęło zwolna po wiosennym lazurze, aż wzniosło się do tego punktu firmamentu, z którego dobrze wychowani ludzie wyczytują godzinę stosowną do oddawania wizyt. Teraz pan Jan Brochwicz w czarném ubraniu, z twarzą rozpromienioną i zarazem uroczystą, w jasnych rękawiczkach i z kapeluszem w ręku, wchodził do salonu pani Natalskiéj.

Pani Natalska, ubrana jak zwykle ze smakiem i powagą, siedziała na kanapie z książką w ręce, a oczyma utkwionemi w piękna Tośkę, która, w spacerowym stroju stojąc na środku salonu, kończyła nakładać rękawiczki. Obie panie postąpiły naprzeciw wchodzącego pana Jana z giestem i wyrazami uprzejmego powitania.

— Czy nie przeszkadzam paniom? — zatrzymując się w pobliżu drzwi, z galanteryą zapytał Brochwicz — widziałem przed bramą stojący powóz...

— To tylko córka moja ze swoją *miss* wybiera się na przejażdżkę — grzecznie odparła gospodyni

domu, giestem zapraszając gościa do zbliżenia się ku kanapie.

Teofila z niejakiém wahaniem rozwiązywała wstążki od kapelusza i pytająco patrzała na matkę.

— Jedź sobie, moje dziecko! — rzekła pani Natalska — słońce tak pięknie świeci, a ty je tak lubisz... my z szanownym sąsiadem i kochanym kuzynem zostaniemy sami i pogawędzimy o starych dziejach...

Teofila z wdziękiem skłoniła się gościowi, i lekkim, pełnym powabu krokiem wyszła z salonu. Pan Jan ścigał ją wzrokiem aż do drzwi.

— Śliczna istota! — wymówił w zamyśleniu i, zwracając się do gospodyni domu, dodał:

— Jeżeli szanowna kuzyna pozwoli, pomówimy ze sobą tą razą, zamiast o dawnych dziejach, o nowych, a raczéj o tych, które jeszcze przyjść mają...

— Tylko że dla nas, kochany panie Janie — ze smętnym uśmiechem przerwała piękna pani Jadwiga — przeszłość więcéj bodaj ma uroku, niż przyszłość...

— Niezawodnie — odparł pan Jan — to téż, szanowna pani, ośmielę się mówić dziś z nią o przyszłości naszych dzieci...

W czarnych, ognistych jeszcze oczach poważnéj damy błysnął niepokój. Zwróciła się jednak ku gościowi z grzecznością i powagą i odparła:

— Słucham cię, drogi kuzynie.

Pan Jan, w krótkich, lecz pełnych rozrzewnienia wyrazach, oświadczył się w imieniu syna swego o rękę Teofili. W słowach jego przebijało się gorące przywiązanie do Maryana, a także serdeczna życzliwość względem pięknéj panny, któréj wejścia do rodziny swéj szczerze pragnął. Dla pani Natalskiéj oświadczenie się to niespodzianką nie było. Spełniało téż snadź tajemne jéj nadzieje, z czém zresztą nie ukrywała się zbytecznie, i podając rękę panu Janowi, odpowiedziała, iż sama osobiście nic przeciw związkowi temu nie ma, owszem, szczerze go dla córki swéj życzy, a tylko prosi pana Jana o parę dni zwłoki, w celu wybadania usposobień w tym względzie swéj córki. Przymuszać jéj bowiem do zawarcia małżeństwa, któremu sprzeciwiało-by się jéj serce, za nic nie mogła-by i nie chciała; sądzi jednak, spodziewa się, ma powody przypuszczać, że Teofila nie jest panu Maryanowi nieprzychylną.

Pan Jan, wysłuchawszy odpowiedzi téj, która także nie była dla niego niespodzianką, niemniéj jednak utwierdziła go mocniéj jeszcze w miłych nadziejach, ucałował ręce pięknéj sąsiadki, a zabierając się do odejścia, rzekł z powagą i wzruszeniem:

— Ja i pani, i wszyscy równi nam wiekiem i położeniem, przebyliśmy od lat kilku smutne koleje, ciężkie zmiany i niebezpieczeństwa. Cierpieliśmy i cierpimy jeszcze wiele. Poznaliśmy nieznane nam wprzódy obawy i troski, nauczyliśmy się drżéć o byt

nasz dzisiejszy i spokój naszéj starości. Ale mamy dzieci... jest to pociecha nasza i nadzieja. Jeżeli popełniliśmy błędy jakie, oni naprawić je powinni. Jeżeli nie zdołaliśmy pogodzić się z nowemi dla nas okolicznościami, oni się z nimi pogodzą. We wszystkich smutnych przejściach i niepewnościach, jakich doświadczałem ostatniemi czasy, a doświadczałem ich niemało, wzmacniała mię, pocieszała i na duchu podnosiła myśl, że może dzieci nasze...

— Szczęśliwsze od nas będą — uroczyście dokończyła pani Natalska, i raz jeszcze podając rękę panu Janowi, ze smutnym uśmiechem dodała: — i cóżbyśmy poczęli w tych strasznych dla nas czasach, gdyby nam i téj pociechy zabrakło? Tak, kochany sąsiedzie, ja także we wszystkich boleściach, walkach i trwogach życia mego, za jedyną dźwignią, wsparcie i zachętę miałam tę myśl, że może dzieci moje...

Nie dokończyła, bo oczy jéj napełniły się łzami. Odwróciła twarz, aby je ukryć, i tylko pełném przyjaźni skinieniem głowy pożegnała odchodzącego gościa.

W pół godziny po odejściu pana Jana, Tośka wróciła z przejażdżki... Znalazła matkę wzruszoną jeszcze i zamyśloną, a gdy zbliżyła się do niéj ze zwykłą pieszczotą, pani Natalska przyciągnęła ją ku sobie, spójrzała w jéj twarz czułym i badaw-

czym wzrokiem i, głaszcząc dłonią białe jéj czoło, rzekła:

— Mam dziś dla ciebie, Tośko moja, ważną wiadomość... Pan Maryan Brochwicz przez usta ojca swego oświadczył się o twoję rękę...

Niepiérwszy to już raz w swém życiu, piękna, majętna i utalentowana panna otrzymywała podobne oświadczenia. Dotąd jednak odpowiadała na nie zwykle żartobliwym uśmiechem, lub zimną i stanowczą odmową. Tym razem twarz jéj nabiegła szkarłatem, i w mgnieniu oka znów pobladła. Widocznie uczuła się wzruszoną. W oczach matki zajaśniało żywe zadowolenie.

— Nie chcę krępować woli twéj, droga moja, ani rozkazywać twemu sercu — rzekła z czułością i powagą; — nie mogę jednak zamilczéć, że oświadczenie, które dziś otrzymałaś, posiada w mych oczach daleko większą wagę, niż wszystkie uprzednie. Dotąd konkurenci twoi byli po większéj części albo ludźmi niepewnego charakteru i z nieustaloną jeszcze opinią, albo też zbyt wyraźnymi spekulantami, starającymi się więcéj o mniemany posag twój, niźli o ciebie samę. Z panem Maryanem rzecz się ma całkiem inaczéj, Jest to młody człowiek, bardzo starannie wychowany, syn rodziców zacnych i od dawna z domem naszym sprzyjaźnionych, najlepszych zasad, konduity wzorowéj i niepospolitéj wśród młodzieży dzisiejszéj stateczności obyczajów i postępowania.

śmiało powiedziéć mogę, że ze wszystkich partyi, jakie ci się dotąd zdarzały, jest to piérwsza, którą zupełnie na seryo wziąć należy. Lata biegną, najdroższa moja... dwa miesiące temu zączęłaś rok dwudziesty drugi. Nie będąc ubogą, nie jesteś téż dość majętną, abyś zbyt liczny szereg starających się ściągać ku sobie mogła... Wdzięki częstokroć szybko mijają. Są to wszystko przyczyny, dla których proszę cię, abyś poważnie, bardzo poważnie zastanowiła się nad uczynioną ci propozycyą. Co do mnie, w ofiarowanym ci związku widzę wyraźnie szczęście twe i bolała-bym bardzo, jeśli-byś go odrzucić musiała...

Teofila w milczeniu i ze spuszczonemi oczyma wysłuchała słów matki, potém powolnym ruchem uwolniła się z jéj objęcia i, głęboko zamyślona, sztywniejsza nieco, niż zwykłe, powstała.

— Pozwól mi, mamo, przez dziś pomyśléć i zastanowić się — rzekła cichym głosem — nie spodziewałam się, aby *to* już tak prędko nastąpić miało, i nie wiem dobrze, co mam uczynić...

Teraz łzy nabiegły do jéj oczu, przycisnęła do ust obie ręce matki i szybko odeszła. Pani Natalska przesunęła też chustkę po oczach.

— Myśl o rozstaniu się ze mną sprawiła jéj boleść — szepnęła — ale spodziewam się... mam nadzieję, że uczucie dla tego młodego człowieka przezwycięży wszystkie inne względy... zresztą Brochów

siąsiaduje z Natalinem, więc nie rozłączały-byśmy się prawie... Ostatni ten wzgląd był jednym z powodów, dla których pani Natalska pragnęła żywo małżeństwa Teofili z Maryanem. Serce jéj ściskało się jednak na myśl, że, bądź co bądź, ukochane dziecię odejdzie od jéj boku, rozdzieli uczucia swe pomiędzy nią a kimś drugim jeszcze. Z zapomnieniem przecież o sobie, z zaparciem się namiętnie kochającéj matki, złożyła dłonie i, wznosząc w górę piękne oczy, które tyle łez z powodu nieszczęśliwego małżeńskiego związku wylały, wymówiła gorącym, błagalnym szeptem: — O mój Boże! oddal od niéj cierpienia i walki, które ja przebyłam... niech będzie szczęśliwą, niech tylko będzie szczęśliwą!...

Gdy tak działo się w salonie, w głębi mieszkania, w ustronnym i samotnym pokoju, z łokciami opartemi o stół i twarzą ukrytą w dłoniach, siedziała Teofila. Myślała głęboko nad zdarzeniem, przyniesioném jéj przez dzień dzisiejszy, zdarzeniem, które nie było dla niéj wprawdzie niespodzianką zupełną, ale o którém myśl starała się zawsze oddalać od siebie, i zatapiać w mgle oddalonéj jeszcze przyszłości.

Ile razy postępowanie z nią Maryana, przyjaźń zachodząca pomiędzy jéj i jego rodzicami, wszelkie zresztą zdające się ich łączyć względy wieku, urodzenia, wychowania, majątku, czyniły w jéj oczach prawdopodobném, a może już i niedalekiém oświadczenie się o nią młodego Brochwicza, odwracała oczy

od tego przewidywanego wypadku i, dla uspokojenia ogarniających ją niepokojów, mówiła sobie:

— Jak przyjdzie... pomyślę o tém! Teraz przewidywanie stało się rzeczywistością, trzeba było o niéj myśléć, stanowczo już wybierać pomiędzy *tak* lub *nie*, mającém wyrokować o całém jéj życiu. To téż z rozwagą i wprawą kobiety, młodéj wprawdzie, nienaiwnéj przecież wcale, ani dziecinnéj, lecz przeciwnie do gruntu znającéj wszelkie właściwości, ustawy i obyczaje téj sfery światowéj, w któréj wzrosła i żyła, Teofila zastanawiała się nad położeniem, stworzoném dla niéj przez dzień dzisiejszy. Zgadzała się w zupełności ze zdaniem matki, że ze wszystkich propozycyi małżeńskich, jakie jéj dotąd czyniono, propozycya Maryana Brochwicza była piérwszą, którą zupełnie na seryo brać należało. Pomimo piękności, świetnych salonowych powabów i sporego posagu, nie miała dotąd ani jednego konkurenta, który-by pod jakimkolwiek względem mógł znieść porównanie z dorodnym, oświeconym, świetnie przedstawiającym się w salonach i wzorowo prowadzącym się synem Jana Brochwicza. Było to zresztą bardzo naturalnym wynikiem ciasnoty i wyosobnienia tego towarzyskiego koła, w którém upływało jéj życie i w którém wyłącznie wybierać i wybieraną być mogła. Z tém wszystkiém przeszłość ta źle wróżyła o przyszłości... kto wié? czy kiedykolwiek spotka sposobność zawarcia związku tak stosownego, tak dla większéj części

jéj rówieśnic ponętnego, tak spokojną, bezpieczną, świetną nawet poniekąd przyszłość zaręczającego? W ten sposób myślała Teofila Natalska, światowa panna, przywykła do ważenia różnych wag, miar i barw konwenansów, wypieszczone dziecko matki, kochającéj ją z namiętném wylaniem, pozwalającéj jéj z zupełną swobodą rozglądać się w pewnéj sferze świata, pojęć i uczuć. Ale po-za tą sferą były inne jeszcze, o których ukrywaniu przed córką pani Natalska nie myślała nigdy, bo nie przypuszczała wcale, aby widoki ich lub wpływy dosięgnąć jéj kiedy mogły. Salon ze wszystkiemi właściwościami swojemi był dla niéj saméj jedynym światem, który znała i dokładnie zbadała; nigdy jéj więc na myśl nie przyszło, aby która z córek jéj mogła okiem, uchem lub sercem dojrzéć, dosłyszéć lub odczuć cokolwiek, co po-za obręb żywiołu tego wychodziło. A jednak rzecz ta, całkiem nieprzewidywana, stała się; oko, ucho, serce i myśl Teofili wybiegły po-za granicę zjawisk, na które dozwoloném jéj było patrzéć bez przeszkody, których wyrozumiewać i badać nikt jéj nie wzbraniał, i wstąpiły w sferę nieznaną sobie, wpółpromienistą, współciemną, przedewszystkiém zaś niezrozumiałą dla niéj.

Wstrząśniona do głębi ważnością chwili, a jednak usiłująca z zimną krwią rozważać swe położenie, Teofila zapytywała siebie: coby miała do zarzucenia młodemu człowiekowi, który ofiarował się jéj na dozgonnego towarzysza życia? Nie mogła uczynić mu

żadnego zarzutu, który-by mógł rozsądnie figurować pomiędzy powodami odmówienia mu ręki. A jednak były w nim rzeczy, które jéj się nie podobały. Nie lubiła téj ustawicznéj wesołości, jaką okazywał w salonach, pustych i pozbawionych wszelkiego znaczenia rozmów, które często prowadził, grzecznych słówek, które rad był przy każdéj sposobności wymawiać, wytwornego nawet stroju, którym się odznaczał, miękkości jego układu, kobiecéj białości jego twarzy. Nie lubiła w nim słowem wszystkiego tego, czém przecież bawiła się, gdy była z nim razem, co stanowiło ogólnie w jéj sferze cenione i za dodatnie poczytywane przymioty młodych mężczyzn, co zresztą w wielkiéj części i w wysokim stopniu posiadała sama; światowości, zalotności i miękkości. Nie zdając sobie saméj jasnego rachunku z własnych uczuć, tak natura ich była dla niéj ciemną, nieznaną, pragnęła czegoś innego, niż to, co dostrzedz mogła w ładnym, grzecznym, wykwintnym i salonowo oświeconym Marysiu, pragnęła czegoś więcéj, dojrzała już nawet w życiu swém coś więcéj, i dlatego, że dojrzała, pragnąć zaczęła.

Podniosła głowę i zapytała siebie głośno prawie.

— Bo i cóż nakoniec on uczynił, aby przed całym światem za tak wzorowego uchodzić? jaką jest jego tak bardzo wielka zasługa i wartość?

Tak myślała o człowieku, którego konwenans wskazywał jéj jako bardzo odpowiedniego dla niéj męża, który jednak przedstawiał najwyższą sumę

przymiotów, jaką wśród otaczających ją mężczyzn znaleźć mogła... Wsród otaczających ją!... nie byłoż innych na świecie? Pamiętała, o! pamiętała o tém dobrze, że byli inni.., jednego z tych innych, oddalonych, wykluczonych i wykluczających się z jéj świata, znała... pamiętała... Jakże wyraźnie stanęła teraz przed nią postać jego, prosta, niewytworna, okryta ubraniem z taniego i niepokaźnego materyału, a jednak dziwnie dla niéj pociągająca, szlachetna! postać całkiem nowa pośród znanych jéj dotąd postaci i samą tą nowością może zajmująca, siłą jakąś, niewidzianą przez nią u innych, nacechowana, siłą męzką, która wywierała na nią urok taki, że wobec niéj ona, świetna zawsze, królująca, tryumfująca i radośna, uczuwała się nieśmiałą, rozrzewnioną, i w tajemnéj głębi serca wieczném a łatwém tryumfowaniem swém upokorzoną...

Pokój, w którym siedziała teraz, był tym samym, w którym przed kilku tygodniami pożegnała *go* po raz ostatni. Wodziła wkoło siebie zamyślonemi oczyma, i w jednéj minucie tysiąc razy zobaczyła portret jego, odmalowany przed nią wzrokiem jéj wyobraźni. Stał tu, siedział tam, zbliżał się, odchodził, patrzał na nią... Ukryła znowu twarz w dłoniach, ale nie myślała już ani o Maryanie, ani o prawdopodobném blizkiém swém zamążpójściu. Cofnęła się myślą o lat kilka i ujrzała się młodziuchną siedmnastoletnią dzieweczką, po raz piérwszy w roli dorosłéj już pan

ny przybywającą z rodzicami do miasta. Wtedy zobaczyła go po raz piérwszy. Przynosił ojcu jéj, a raczéj jéj matce (bo ona-to zajmowała się sprawami rodziny) mnóztwo brzydkich stemplowanych papierów, nad których przepisywaniem spędził kilka dni i nocy. Opowiedziano jéj jego historyą. Historye podobne były podówczas zbyt częste, aby mogła nigdy nie słyszéć o nich, ale przedstawiciela jednéj z nich widziała po raz piérwszy. Patrzała na niego z ciekawością, zajął ją. Wróciła nazajutrz do wiejskiego domu swego nieokreślenie wzruszona, z obrazem młodego wyrobnika w pamięci! Potém zapomniała o nim, aż po upływie lat kilku usłyszała dalszy ciąg jego historyi. Był on zawsze w tém mieście, do którego przybywała, ale wkoło niego zgromadziła się teraz sieroca rodzina, a on zastępował jéj ojca. Z obrazu rodziny Siecińskich, odmalowanego jéj ustami starego prawnika i przyjaciela domu jéj matki, tchnęło ku niéj coś niewysłowienie pięknego, coś niezrozumiale, ale ponętnie niepospolitego. Przez ciekawość, przez pustotę, przez niejasny dla niéj saméj, ale wznowiony czar piérwszego wzruszenia serca, zapragnęła poznać go z blizka. Z całą przebiegłością kobiety, wprawnéj w światowe kunszta, i z całym uporem dziecka rozpieszczonego, którego woli stawało się zadość zawsze, szukała dróg, któreby mogły zbliżyć ją ku niemu. Nad zdobyciem sobie drogi takiéj popracowała chwilę tylko. Przy-

szedł... o! jakże pamiętała tę chwilę, gdy po raz piérwszy usiedli oboje przy tym samym stole, przy którym siedziała ona teraz! Mogłaż się mylić, gdy zdawało się jéj, że go olśniła blaskiem swéj piękności, że czar jéj spójrzenia szybkim rumieńcem powlókł na chwilę surowe czoło pracownika?... Czy i on także pamiętał może o piérwszém spotkaniu? Czy to niewytłómaczone drżenie serca, z którém go witała, oblokło ją tak wzruszającą ponętą, że i jego także serce, ściśnięte żelazną obręczą trudnych wymagań bytu, zadrżało tajemnie? A jednak, po kilkunastu spotkaniach, po kilku błyskawicznie szybkich chwilach, w których oczy ich spotkały się ze sobą, lica zapłonęły, usta zadrżały i nie dokończyły zaczętego wyrazu, on piérwszy przyszedł ku niéj ze słowem pożegnania... Nie była jednak, na wzór innych rówieśnic swych, wychowaną w klauzuralnéj nieświadomości tajemnic serca; kierująca ją więcéj namiętna niż surowa ręka matki, nie wyanieliła jéj tak, aby uczucia ludzkie przedstawiały dla niéj zagadki, na których znaczeniu co chwila mylić-by się mogła... poznała więc, że słowo pożegnania, które wymawiał z obojętną twarzą, zadawało mu ból przeszywający, że walczył i, dobrowolnie rozstając się z nią, zwyciężał coś w sobie... Ona także zadrżała wtedy do głębi, po raz piérwszy w życiu uczuwaném cierpieniem, i powiedziała sobie, że to coś, co pracowało w jéj piersi niewymownym żalem

i tęsknotą, zwyciężyć w sobie musi, *bo nie prowadzi jéj ono do niczego...* Odtąd nie widziała go, nie dojrzała go nawet z daleka ani razu. Cóż dziwnego? na całéj kuli ziemskiéj jedynym punktem, na którym spotykała się z ludźmi, był salon. On na tym punkciku, błyszczącym lecz drobnym, nie znajdował się nigdy. A jednak nie zapomniała o nim! nie! nie! nie zapomniała o nim! ani jeden z rysów jego twarzy, ani jedno z poruszeń, właściwych postaci jego lub fizyognomii, nie zamgliły się w jéj pamięci. Widywała go nieraz w snach niespokojnych i budziła się z sercem wezbraném, z piersią przytłoczoną ciężarem tęsknoty, i przez cały dzień już po śnie tym, nie żądanym, lecz wracającym uparcie, wśród ożywionych gwarów czuła się niepojętém rozmarzeniem senną i, śmiejąc się, bawiąc gości, swobodnym głosem, z niezmąconą twarzą igrając pustemi, błyszczącemi słowy, mocowała się z sobą, aby tłumić wilgoć łez, które z dna piersi jéj podnosiły się do oczu! Widywała go w każdéj samotnéj godzinie, gdy z głową, opartą na ramieniu matki, lub bezczynnie złożoną na miękkiéj poduszce sofy, szklistemi oczyma wpatrywała się w zmrok pustego salonu, oczekującego na wieczornych gości!

I teraz także, gdy usłyszała imię człowieka, który żądał jéj ręki, zobaczyła przed sobą obraz *jego*, i uczuła, wyraźniéj, niż kiedy, uczuła, że wraz z ręką swą nie może już oddać serca...

Podniosła twarz, po któréj kilka łez płynęło, i obie ręce przycisnęła do piersi, wezbranéj wysoko żalem, tęsknotą, buntem przeciwko tym przeszkodom i różnicom, które, jak się jéj zdawało, dzieliły ją z nim nieodzownie.

— Czyliż nie można zwyciężyć przeszkód tych i zatrzéć różnic?

Pytanie to zakipiało w jéj myśli płomienistém kołem pragnienia i nadziei. Ze splecionemi i złożonemi na stole dłońmi, z kibicią wyprostowaną i oczyma szklisto utkwionemi w jeden punkt przestrzeni, Teofila siedziała przez czas jakiś, nieruchoma jak posąg...

Gdy powstała, na twarzy jéj malował się wyraz niezwykłéj jéj wcale powagi i silnie powziętego postanowienia.

Powolnym krokiem, z głębokiém zamyśleniem w pięknych oczach, weszła do salonu, w którym znalazła matkę swą samę jednę, siedzącą na uprzedniém miejscu z książką w ręku, któréj jednak, niespokojna wzruszona, nie czytała. Ujrzawszy wchodzącą córkę, spójrzała na nią badawczo i wymówiła z pieszczotą w głosie:

— Jakaś ty zamyślona, Tośko moja! pójdź do mnie, pomówimy...

— Pomówimy... — powtórzyła piękna panna, i osunąwszy się na nizki taburet, stojący u stóp

matki, ramionami oplotła jéj kolana i śliczną twarz swą podniosła ku jéj twarzy.

— Matko moja najlepsza! kocham cię nad wszystko! — wymówiła głosem, w którego zniżonych tonach dźwięczała czułość głęboka, połączona z taką samą powagą, jakiéj wyraz tkwił w zamyślonych, ku matczynéj twarzy wzniesionych, jéj oczach.

— Wiem o tém, dziecko jedyne! wiem o tém! — gorącym szeptem odparła matka, i długi, cichy pocałunek złożyła na czole dziewczyny.

— Za nic, za nic w świecie nie chciała-bym, abyś cierpiała przeze mnie, ty, matko moja, która, odkąd zapamiętać mogę, czyniłaś mi z życia niebo spokoju, wesołości, pieszczoty...

— Dlaczego ty to wszystko mówisz, dziecko?

— Bo dziś dla mnie dzień ważny, mamo! dziś muszę wiele myśléć i dobrze o wszystkiém pamiętać... Nie jestem już dzieckiem. Wiem, mamo, że nie byłaś i nie możesz być szczęśliwą inaczéj, jak szczęściem naszém... mojém... Nie chciała-bym za nic uczynić dziś nic takiego, nad czém-byś ty późniéj cierpiéć i płakać mogła...

— Możesz-że coś podobnego uczynić? Cierpiéć z twojéj przyczyny mogła-bym wtedy tylko, jeśli-byś ty cierpiała. Ale pocóż miały-byśmy obie tworzyć dziś podobne przypuszczenia, dziś właśnie, kiedy wszystko zdaje mi się przyrzekać przyszłość szczęśliwą...

— Mamo! powiedz mi, wymień mi wszystko, czego pragniesz dla tego, aby przyszłość moja szczęśliwą była?

— Dziwne pytanie, Tośko! czyliż nie wiész o tém? czyż nie mówiłyśmy ze sobą o tém wiele razy?

— Powtórz... powiedz... — z naleganiem szepnęła dziewczyna.

Pani Natalska uśmiechnęła się teraz do córki tak, jak uśmiecha się matka lub piastuka, gdy pieszczone jéj dziecię napiera się powtórzenia nieraz już opowiedzianéj przez nią bajki.

— Pragnę — zaczęła na-pół z uśmiechem, napół z rozrzewnieniem — abyś kochaną była i kochała, abyś mogła szanować człowieka, który będzie dozgonnym towarzyszem twoim, i nie miała powodu wstydzić się za niego, aby położenie twoje towarzyskie stało zawsze na równi z tém, na jakiém się urodziłaś i wzrosłaś...

— Mamo, co znaczy w oczach twoich położenie towarzyskie?

Tym razem pani Natalska zaśmiała się prawie głośno.

— Dziecko! pytasz tak, jak gdybyś nie znała ludzi, którzy je posiadają!... majątek, naturalnie, urodzenie...

— A zajęcia?...

— No i zajęcia także! Zlituj się! a toż natural-

nie, że wcale nie życzyła-bym sobie, abyś była żoną którego z ludzi, zmuszonych pracować całemi dniami i wyciągać rękę po zarobek...

— A jednak — z zamyśleniem podchwyciła Teofila—pomiędzy ludźmi tymi, mamo, są tacy, których... kochać i szanować można...

— Zapewne, droga moja, kobiety równego im stanu mogą znajdować z nimi szczęście...

— Czyż różne stany ludzi nie równają się z sobą coraz bardziéj? Czyż zawsze, mamo, trwać będą zapory, dzielące ludzi z podobnymi im ludźmi?

Pani Natalska z zadziwieniem spójrzała na córkę.

— Zkąd ci myśli podobne przychodzić mogą do głowy?

— Słyszałam, mamo... czytałam...

— Słyszałaś i czytałaś rzeczy, których na seryo brać nie należy... Są to błędne teorye dzisiejszych nowatorów, powstałe z dumnych marzeń i nieoparte wcale na praktyce i rzeczywistości. Jesteś zbyt rozsądną i zanadto znasz świat, abyś nie miała wiedziéć sama i abym ci powtarzać to potrzebowała, że najpewniejszą rękojmią szczęścia dla dwojga łączących się ludzi jest podobieństwo wychowania ich, przyzwyczajeń, wspólność warunków towarzyskich, śród których zostają.

Umilkła na chwilę i, przypomniawszy snadź sobie

własne swe dzieje, dodała z tłumioném westchnieniem:

— I śród takich warunków wprawdzie mogą zdarzać się niekiedy związki niedobrane i niezupełnie szczęśliwe, ale są to skutki wypadkowéj jakiéjś omyłki, trafem sprowadzonego nieporozumienia. Z tém wszystkiém...

Tu ogniste oko poważnéj damy błysnęło zapałem, a wyniosłe czoło jéj podniosło się z dumą.

— Z tém wszystkiém jednak, niech co chcą mówią i piszą, i jakie chcą prawa stanowią nowatorowie, usiłujący zburzyć budowę, którą stawiały wieki, a na miejscu świętéj nam tradycyi umieścić z pychy i mrzonek wysnute najniepraktyczniejsze teoryę; klasa ludzi, do któréj ja i ty, droga moja, należymy, klasa, w któréj ręku od wieków zostaje największe bogactwo kraju, ziemia, która przez wieki dzierżyła najwyższe dostojeństwa i najwznioślejsze pełniła obowiązki, pozostanie zawsze najszlachetniejszą, najoświeceńszą i nieskończenie wyższą w charakterze swym i przyzwyczajeniach od wszystkich innych. Zapewne, francuzkie przysłowie słusznie powiada, że szlachectwo obowiązuje. Nie powinniśmy być dumni, ani pogardzać tymi, którzy niżéj od nas stoją; powinniśmy téż być szlachetni, uprzejmi, oświeceni, aby świecić dobrym przykładem tym, którym wśród społeczeństwa przewodniczymy; ale...

— Ale — podchwyciła szybko Teofila — jeżeli-

by człowiek, wybrany przeze mnie, będąc równym mi urodzeniem i wychowaniem, był zupełnie... zupełnie ubogim?... co powiedziała-byś o tém, mamo?

Pani Natalska schmurzyła czoło.

— Było-by mi trochę smutno; majątek jest, droga moja, rzeczą bardzo ważną w życiu, i nie należy zbytecznie nim pogardzać...

— Albożnie posiadam go sama?

— Tak, ale nie jest on znacznym. Czasy są ciężkie dla nas, i pomimo wszelkich usilności, nie potrafiłam zapobiedz ogromnemu zmniejszeniu się naszéj fortuny. Masz dwóch braci, Tosiu moja, i siostrę. Posag twój nie może wynosić więcéj, jak skromną sumę, z któréj zaledwie bez niedostatku wyżyć-by można...

— A gdybym, mamo, wraz z wybranym przeze mnie człowiekiem, zgodziła się poprzestać na tém, co sama posiadam?...

— Zkąd ci te myśli, dziecko? zkąd ci te myśli?— zawołała pani Natalska, i chciała widać powiedziéć córce coś bardzo poważnego, coś może trochę surowego; ale spostrzegła, że usta jéj drżały, że w oku jéj migotała łza, i na widok ten zapomniała o wszystkiém, co się jéj w mowie córki nie podobało. Przycisnęła ją do swéj piersi i szepnęła nad jéj głową:

— Byle-byś była szczęśliwą, ukochana moja! byle-byś tylko była szczęśliwą!

Teofila wysunęła się powoli z ramion matki, i z uśmiechem tajemnego zadowolenia na ustach, z niezwykłym blaskiem w oczach, pocisnęła sprężynę, stojącego na stole dzwonka.

— Mój Ignacy — rzekła do wchodzącego lokaja — powiedz, aby mi założono konie do koczyka...

— Dokąd chcesz jechać? przed godziną dopiéro wróciłaś z przejażdżki...

Teofila zbliżyła się do matki zamyślona wciąż i rozpromieniona zarazem, poważna i pieszczotliwa.

— Muszę dziś raz jeszcze być na mieście, mamo! — rzekła, całując rękę matki — muszę koniecznie...

— Jedź, jedź, moje dziecię, weź tylko ze sobą, jak zwykle, miss Luizę... rozumiem dzisiejsze wzruszenie twoje... wiem, co dziać się musi w twém sercu, w dniu tak dla ciebie ważnym. Ruch, świeże powietrze, słońce, wzmocnią cię i uspokoją... Może chcesz zrobić jaki sprawunek i potrzebujesz pieniędzy?...

— Nie, mamo najdroższa! potrzebowałam tylko usłyszéć z ust twoich, że cokolwiek-bym postanowiła, jakikolwiek uczyniła-bym wybór, zgodzisz się na wszystko, byle-byś mnie szczęśliwą widziała..

Rzekłszy to, odeszła, a w kilka minut potém słychać było turkot wyjeżdżającego z bramy powozu.

Za bramą dopiéro, Teofila pochyliła się nieco na przód i rzekła siedzącemu na koźle lokajowi:

— Na ulicę Nadrzeczną, Ignacy. Każesz zatrzymać się przed sklepem pana Siecińskiego.

* * *

Dnia tego w niewielkim sklepie, przy ludnéj i ruchliwéj, lecz wcale niewytwornéj ulicy umieszczonym, panował ruch niezwykły. Tuż przed wązkim chodnikiem, oddzielającym środek ulicy od dwóch wschodków do sklepu prowadzących, stał wielki drabiniasty wóz, słomą napełniony i dwoma końmi zaprzężony. Dwaj ludzie w wyrobniczém ubraniu wyjmowali ze słomy pudła drewniane, mniejsze i większe, gwoździami zabite, powrozami obwiązane, w wielkie czarne cyfry i litery zaopatrzone, i wnosili je do sklepu. Był to transport towarów, koleją żelazną przybyły.

Przybycie to przedstawiało w zawodzie Stefana Siecińskiego fakt bardzo ważny. Dotąd niezamożny i początkujący, zmuszony myśléć nad tém tylko, jakby końce połączyć z końcami i nie wytrącić z równowagi przedsięwzięcia, rozpoczętego w znacznéj części z pomocą kredytu, młody kupiec czerpał materyały sklepowe z większych miejscowych składów i nielicznych fabryk. Manipulacya ta przychodziła mu łatwiéj, ale pozbawiała go większych korzyści,

i w szczupłych bardzo granicach zamykała interesa jego handlowe. Teraz, mocą oszczędności, wysileniem pracy i ścisłą rzetelnością, po raz piérwszy od lat trzech pozyskał możność rozpoczęcia interesów na szerszą skalę, przez porozumienie się z domami handlowemi i zakładami fabrycznemi stron oddalonych. Zawiązał kilka cennych stosunków, otrzymał zaszczytne poręczenia do kilku obfitych źródeł handlowych, tam przesłał trochę pieniędzy, tu uzyskał kredyt i osiągnął to, czego oddawna dla skromnego zakładu swego pragnął: możność wzbogacenia go nowemi a pokupnemi materyałami i stopniowego, coraz szerszego rozwoju działania. Z tém wszystkiém były także, obok szans powodzenia, szansy niebezpieczeństwa. Krok, jakkolwiek dokonany z zastanowieniem, po długiém przygotowaniu i rozważném obliczeniu, mógł omylić, pokazać się przedwczesnym względnie do położenia kupca, lub niepożytecznym względnie do potrzeb publiczności. To téż Stefan na-pół tylko z zadowoleniem, a na-pół z zamyśleniem i niepokojem, przyjmował do sklepu zdejmowane z woza pakunki, i wraz ze swym dwunastoletnim pomocnikiem zajmował się odbijaniem gwoździ, rozwiązywaniem sznurów, przybijaniem do jednéj ze ścian sklepu drewnianych półek, na których świéżo przybyłe towary umieszczonemi być miały, w oczekujących teraz na nie i na podłodze ustawionych słojach, workach i beczułkach. Robota szła żwawo i wóz był

już do połowy opróżnionym, gdy na bruku nierównym rozgłośnie zaturkotał powóz i, nie mogąc podjechać pod drzwi sklepu, z powodu stojącego tam woza, stanął o kilka kroków za nim. Stefan, oddany cały swéj robocie, nie zwracał uwagi na odgłosy, napełniające ulicę. W téj chwili właśnie przykląkł na jedno kolano przed wielkiém, z desek zbitém, pudłem, i z młotkiem w jednéj ręce, drugą z wolna i ostrożnie podnosił, uwolnioną już w części od sznurów i gwoździ, kruchą łubkową pokrywę pakunku.

— Panie Sieciński — wymówił nad nim z cicha wyrostek sklepowy — jakaś pani przyjechała!

Stefan podniósł głowę, spójrzał na drzwi sklepu i pozostał przez chwilę nieruchomy, zdumiony. Zjawisko, które ujrzał, obudziło go nagle z zamyślenia o cyfrach i kombinacyach kupieckich, a przerzuciło w krąg uczuć i myśli całkiem innéj natury.

Parę minut przedtém, z powozu, który zatrzymał się przed brzydkim, żółtym i od starości popękanym murem staréj kamienicy, wysiadła Teofila, blada trochę, ale śmiała, niezwykłą siłą postanowienia ożywiona, natchniona uczuciem jakiémś tajemném, które blask zapału rozniecało w jéj oczach, i tłumioną jakby rzewnością poruszało od chwili do chwili różowe wargi. Zaraz jednak, śród chodnika, na którym postawiła drobne i wytwornie obute swe stopy, uderzył ją widok niespodziany dla niéj i niemiły. Dwaj ludzie, niosący na barkach i ramionach ciężkie podłu-

gowate pudło, zagrodzili jéj wejście do sklepu. Cofnęła się o krok jeden, aby nie być zasypaną słomą, ciągnącą się z woza i opadającą z pudła, zgarnęła w dłonie powłóczyste fałdy jedwabnéj swéj sukni, i dumny łuk brwi zsunęła nieco, z wyrazem uczuwanéj przykrości. Gdy jednak tragarze, umieściwszy w sklepie niesiony przedmiot, wrócili do woza, piękna panna, zgarniając wciąż w dłoniach i unosząc z lekka opływające ją zwoje jedwabiów, wstąpiła po wschodkach, usłanych słomą i przysypanych piaskiem, i stanęła w drzwiach sklepu. Gdyby w miejscu, do ktorego wstępowała, znajdował się poeta jaki, wyrzekł-by niezawodnie, że wraz z pojawieniem się jéj, szara głębia sklepu napłynęła powodzią czarodziejskiego światła, że promień słońca zsunął się w ciemności, anioł zstąpił w głębokości i t. d. „Oczy bohaterki były piękne, bardzo piękne! — czy nie czujesz pani zapachu fijołków?... Głos bohaterki był także piękny! — czy nie słyszysz pani pieśni słowika”. Tak o istocie do niéj podobnéj śpiewał wielki poeta żartu i boleści— Heine.

Stefan nie był poetą. Był on kupcem. I cóż ztąd? był on także człowiekiem, którego pierś wzdymały dziewicze siły niesteranéj młodości, a nikt odgadnąć i obliczyć nie może, w jak brudnéj prozie kąpią się nieraz myśli śpiewaków poezyi, na jak poetyczne i gorące szczyty podnosić się mogą uczucia wyrobników prozy.

Pozostał przez chwilę w téj saméj postawie, w jakiéj znalazło go świetne zjawisko, rękę tylko uzbrojoną w młotek opuścił, jak człowiek, którego ze zdumienia i radości odstępują siły... Przybyła tu! a więc nie zapomniała o nim, zapragnęła go zobaczyć... po gwałtowném uderzeniu serca, które zatrzęsło nim od stóp do głowy, falę krwi rzuciło mu do czoła, wzrok przyćmiło i zatamowało oddech, uczuł silniéj i wyraźniéj, niż kiedy, że i on także o niéj nie zapomniał; pragnął ją widziéć wszystkiemi siłami ducha swego i ciała, chociaż pracujące w nim to pragnienie chował, przed sobą samym nieledwie, w tajemnicy. Teraz, gdy, niewzywana i niespodziewana, stanęła przed nim w miejscu, śród którego przyzwyczaił się pracować tylko i rachować, ogarnęła go wdzięczność dla niéj niewysłowiona i radość namiętna, usuwająca wszystko, co nią nie było, z myśli i pamięci... Podniósł się z wolna, upuścił na ziemię żelazne narzędzie pracy, i zbliżył się ku niéj.

— Nie spodziewałem się ujrzéć pani dziś... tutaj... — wymówił głosem, którego drżeń tłumić nie mógł, lub nie chciał.

Teofila nie odpowiedziała. Stała ona u wejścia, przemieniona zda się w posąg niemy i zimny. W piérwszéj sekundzie, gdy tu stanęła, gdy spójrzała na człowieka, ku któremu przybywała z gorącém słowem, z otwartém i zbyt może śmiałém nawet wezwaniem na ustach, rysy twarzy jéj drgnęły także

radością, czułością, o któréj ukrywaniu zapominała, zajaśniały piękném światłém wzniosłego uczucia. Ale była to tylko jedna sekunda... Nagle zesztywniała, ochłodła; powolném, zdumioném spójrzeniem obiegła przedmioty, stanowiące tło dla postaci i twarzy młodego kupca. Och! jakież to było tło brzydkie, odtrącające, przestraszające niemal! Tu z-za grubego szkła wielkich słojów przeglądały niepewne barwy bakalii i konserw; tam, w papierze brzydko sinego koloru owinięte, piętrzyły się stosy świéc stearynowych, gdzieindziéj leżały jedne na drugich wielkie kawały czarno i sino centkowatego mydła; tam znowu stały rzędem pękate wory, napełnione zapewne mąką i krupami. Nad kontoarem, ciężko i grubo wyrobionym z prostego drzewa, zwisały szale większe i mniejsze; podłoga przysypana była wiórami i otrębami, wysypanemi z otworzonych już pudeł, zasłana słomą, przyciągniętą z woza wraz z ładunkami, nad któremi teraz unosiła się kurzawa, rozpakowywaniem ich wzniecona. A on, do którego świetna panna przybywała z sercem wezbraném i głową wrzącą śmiałemi postanowieniami, klęczał wśród kurzawy, na grubéj desce podłogi, i z młotem w ręku otwierał pudło, z którego wylatywał ostry i przykry zapach ryb wędzonych. Po szarym surducie jego rysowały się tu i owdzie białe ziarna mąki, którą przed chwilą wydobywał snadź z przywiezionych worów, badając

wartość jéj i gatunek. Twarz jego uznojoną była od pochylania się i podnoszenia ciężarów, które dźwigać pomagał; ręce opylone, zaczerwienione od żelaznego młotka, którym uderzał w twarde deski, od grubych powrozów, które rozwiązywał, i upartych gwoździ, z których jeden, oporny i ostry, zarysował mu na ręce głęboką i krwawiącą się szramę.

Jakże inaczéj człowiek, ku któremu przybyła, wyglądał wtedy, gdy widywała go w domu swéj matki! a bardziéj jeszcze, jakże inaczéj wyglądał on w państwie jéj wyobraźni wtedy, gdy, marząc o nim, tęskniąc do niego, stroiła rysy jego w poetyczną bladość wzruszeń miłosnych, a postać jego rzeźbiła w kształty Apollina, o surowém, lecz przeczystém czole! Była to tylko przecież abstrakcya, był to obraz człowieka, oderwany od tła, na którém rozwijało się życie jego. Teraz ujrzała go pośród tła tego, a wszystkie zmysły jéj zbuntowały się przeciw miejscu, do którego weszła; przeciw widokowi, który uderzył jéj oczy, i napełniły ją uczuciem nieprzezwyciężonéj odrazy. W piérwszéj sekundzie chciała wyciągnąć ku niemu rękę, i rozmowę z nim, tak ważną dla niéj, tak rozkosznie śpiewającą w jéj myśli, rozpocząć serdecznym uściskiem dłoni. Ale wzrok jéj upadł na zapylone ręce Stefana, i ręka jéj kurczowo zacisnęła się wkoło jedwabnych fałd sukni, tém już tylko zda się zajęta, aby ochronić je od zetknięcia z po-

długą sklepu i okrywającemi ją wstrętnemi przedmiotami. Rysy jéj były sztywne i nic nie mówiące, czoło pochylone, oczy smutne nieco, lecz więcéj jeszcze zimne.

— Czemu przypisać mogę zaszczyt widzenia pani w tém miejscu, które, jak spostrzegam, nie sprawia na pani wcale miłego wrażenia?

Słowa te wymówił Stefan, gdy na piérwszy, drżący wykrzyk serca nie otrzymał odpowiedzi żadnéj, gdy przez chwilę wpatrzył się w twarz pięknéj kobiety, a z wyrazu, jaki pokrył cudowne jéj rysy, zrozumiał wszystko, co się w niéj działo. Głos jego dźwięczał zimno i grzecznie, a tylko przy ostatnich wyrazach ozwały się w nim, mimowoli dobywające się z piersi wzburzonéj, brzmienia niewysłowienie bolącéj goryczy. Teofila podniosła głowę, jakby ze snu obudzona.

— Przepraszam pana —wyrzekła ze zmieszaniem — przerwałam mu, jak widzę, pilne zajęcia...

Teraz i ona także uśmiechnęła się z nietajoną goryczą.

— Przybyłam, aby chwilę porozmawiać z panem, jako z dobrym i dawnym znajomym; ale jesteś pan tak zajęty, że widzę, iż najlepiéj uczynię, jeśli zaraz odjadę...

W piersi Stefana zawrzała walka gwałtowna. Miał-że w téj chwili, któréj ważności domyślił się, któréj stanowczość zrozumiał, powiedziéć kobiecie téj:

„nie odchodź, nie uciekaj! ja ztąd odejdę, opuszczę wszystko, co razi twe oczy, co cię odwraca ode mnie, i pójdę za tobą wszędzie, gdzie mnie powiedziesz, i wyrzeknę się wszystkiego, co nie jest tobą, miłością twoją, cudowną pięknością twoją, niebieskim szafirem twych oczu, łabędzią białością gibkiéj twojéj szyi, królewskim wdziękiem głowy twéj, ozłoconéj jedwabistą koroną warkoczy!" Miał-że jéj to powiedziéć, i za chwilę może ująć ją w ramiona, ukoić tęsknotę piersi, pozbawionéj wszystkich rozkoszy młodości, nasycić pragnienie ust, które, pijąc od tak dawna z gorzkiego kielicha smutków, trudów i wyrzeczeń się, nie dotknęły ni razu upajającéj czary pieszczot i radości życia? Jeżeli teraz, zaraz nie powié jéj tego, odejdzie ona i nigdy nie wróci, i nie zobaczy jéj nigdy, aż chyba kiedyś może przed ołtarzem ślubnym, podającą innemu tę dłoń, na którą patrzał on teraz, płonąc cały żądzą okrycia jéj pocałunkami... Milczał chwilę i tonął oczyma w jéj twarzy, potém giestem wskazując parę prostych siedzeń, w głębi sklepu umieszczonych, wymówił:

— Jeżeli wystarczy pani odwagi do przestąpienia progu tego... proszę!...

Zamiast tedy „pójdę za tobą!" powiedział „pójdź za mną!" Słowa jego, proste na pozór, posiadały tajemne znaczenie, które ona zrozumiała. Szkarłatny rumieniec oblał twarz jéj; nie tego wcale spodziewa-

ła się, gdy, pomijając wszystkie względy, dążyła ku niemu.

— Matka moja czeka na mnie z obiadem — rzekła — muszę więc coprędzéj wracać do domu. Jaką mamy śliczną pogodę wiosenną...

Zwracała się teraz ku wyjściu, i wskazywała ręką szlak niezmąconego błękitu, rozpostarty nad szeregami dachów.

— Tak — odparł Stefan — czas jest w istocie piękny, ale możemy jeszcze lada dzień spodziewać się deszczów i słoty...

— Témbardziéj więc korzystać trzeba ze słońca i ciepła.

Uśmiechnęła się grzecznie i chłodno, skłoniła się z wdziękiem, i świetny jéj obraz zniknął z szaréj i grubéj ramy drzwi sklepowych. W téj saméj prawie chwili zaturkotały na ulicy koła, powóz przesunął się szybko przed drzwiami sklepu, i jechał daléj w głąb' ulic ludnych i osłonecznionych. Teofila siedziała obok milczącéj cudzoziemskiéj towarzyszki swéj, zasunięta pomiędzy poduszki kocza, blada i wyniosła, zamyślona znowu, ale inaczéj już, niż wprzódy. Wkoło ust jéj, zaciśniętych trochę, przewijał się wyraz zimnéj, ale zarazem i bolącéj ironii. Myślała, że rozczarowała się ciężko, albo też może i omyliła się na saméj sobie. Mogłoż to być naprawdę, aby uczucia jéj i myśli zajmował tak długo człowiek ów z opylonemi rękoma, mąką poplamioném

odzieniem, klęczący nie przed ukochaną kobietą, nie przed żadnym cudem natury, lub sztuki, ale przed brzydkiém, drewnianém pudłem, napełnioném przedmiotami, przejmującemi wstrętem zmysł wzroku i powonienia? Otuliła się szczelnie obfitemi fałdami kaszmirowego okrycia i, wstrząsając się lekko, jakby pod wpływem dreszczu, który przebiegł jéj ciało, pomyślała:

— O! jak *oni* brzydko, strasznie wyglądają u siebie!...

Kogo rozumiała pod wyrazem *oni?* Tych zapewne, o których przed godziną mówiła swéj matce, że i pomiędzy *nimi* są tacy, których szanować i kochać można.

W sklepie tymczasem parę godzin jeszcze potém trwały ruch, stukanie, przenoszenie i ustawianie. Stefan chwilę tylko stał w miejscu, na którém pożegnał Teofilę, zamyślony i w ziemię wpatrzony, potém zwrócił się ku tragarzom, którym trzeba było zapłacić za przywiezienie i wniesienie towarów, i ku rozstawionym na podłodze pudłom, słojom i worom. Być może, iż, gdy podjął upuszczony przed kilku minutami młotek, przykląkł nad pakunkiem i zaczął znowu mocować się z twardém drzewem i opornemi gwoździami, ruch ręki jego prędszym był i niecierpliwszym, głowa pochylona niżéj, czoło bledsze, usta ściśnięte w niemém cierpieniu. Robota szła przecież zwykłym robót podobnych trybem i zwykłym

trybem, gdy ciemność ogarniać poczęła miasto, lampa zapłonęła u mrocznego sufitu sklepu, a za kontuarem stał kupiec w odzieniu, z plam i pyłu oczyszczoném, niemniéj jednak szarém i grubém, i ważył, mierzył, rachował pomięte wartościowe papierki, i ciężkie miedziane monety, w rachunkowéj księdze kreślił cyfry sprzedanych towarów i otrzymanych za nie pieniędzy. Zwykłym téż trybem, o przedpółnocnéj dość późnéj godzinie, drzwi sklepu zostały zamknięte i zaryglowane, a w górze, po nad trzema piętrami kamienicy, w czteroszybowém oknie poddasza, zajaśniało bladawe i skąpe światło lampy.

Nazajutrz téż w mieszkaniu Siecińskich wszystko postępowało zwyczajnym porządkiem prostego codziennego życia. O wczesnéj porannéj godzinie Anna wyszła na miasto i wróciła z koszykiem, zawieszonym na ramieniu, potém dwaj chłopcy w szkolnych mundurach, z książkami pod pachą, udali się w głąb' miasta, z nimi razem szła przez parę ulic wysmukła, piękna panna i, trzymając w ręku zwój nut i rysunków, weszła w bramę obszernego i pokaźnego domu. W parę godzin po południu, Anna w bawialnéj izbie nakrywała stół do obiadu; zgłodniali chłopcy, tylko co wróciwszy ze szkoły, gwarzyli przy ogniu palącym się w kuchni; Klemensia, w kącie pokoju siedząc na nizkim stołku, kończyła uczyć się zadanéj przez siostrę lekcyi. Stefan, na chwilę pozostawiwszy w sklepie ma-

łego pomocnika swego, wszedł do mieszkania, aby naprędce spożyć obiad z rodziną a widząc, że nie dostaje wśród niéj jednéj jeszcze osoby, zapytał o Katarzynę.

— Kasi tylko co nie widać — rzekła Anna — kilka minut braknie do pory, w któréj przychodzi zwykle.

Wraz ze słowami temi wnosiła do bawialni talerz dymiącéj się zupy, a stawiając go na stole, zwróciła się do brata:

— Jedz ty tymczasem, Stefanie. Wiem, że nie lubisz i nie możesz czekać. Jeszcze-by ci tam w sklepie Wicuś jakiego figla wypłatał. My zaczekamy na Kasię...

Nie skończyła jeszcze ostatnich wyrazów, gdy Katarzyna wbiegła raczéj, niż weszła do kuchni.

— Przynoszę wam dziś z wędrówki mojéj ciekawą nowinę! — zawołała, dziwnie jakoś drżącemi rękoma zdejmując okrycie i kapelusz. — Dowiedziałam się u państwa Wirskich, że pan Maryan Brochwicz oświadczył się o byłą uczennicę naszego Stefana, pannę Teofilę Natalską i został przyjęty... Wczoraj dali sobie słowo, że za miesiąc ma być ślub... wszędzie, gdziem dziś była, o tém tylko mówią!

Anna na dźwięk imienia Maryana zarumieniła się silnie; podniosła na mówiącą siostrę wzrok pełen pytania i zdumienia, przy dalszych jednak wyrazach, szybko zwróciła się ku bratu, mimowol-

nym ruchem splotła przed sobą ręce i wpatrzyła się w bladnącą twarz Stefana z boleścią, trwogą, niespokojném oczekiwaniem.

— A więc *o niéj* to on mi mówił! — zawołał Stefan przytłumionym głosem — lecz nagle nierad snadź z wykrzykniku, jaki wydał, zwrócił się twarzą ku oknu i stał tam przez chwilę w zupełném milczeniu. Z piersi Anny nie wydarł się żaden okrzyk, z twarzy jéj, od dni dwóch pobladłéj i zmienionéj, zniknął szybko, słowami siostry wywołany, rumieniec. Najmłodsza siostra i dwaj zgłodniali chłopcy, nierozumiejący wcale znaczenia słów Katarzyny, ani wrażeń przez nie sprawionych, dopominali się o obiad. Cicha, milcząca, lecz jak zwykle pilna i usłużna, z pochyloném czołem, lecz krokiem pośpiesznym, pośpieszniejszym jeszcze niż zawsze, Anna przeszła do kuchni, stanęła przed ogniskiem i z ciężkiego miedzianego rondla przelała do fajansowéj wazy gotową już potrawę. W czasie czynności téj dwie wielkie łzy popłynęły po jéj twarzy, lecz wnet zniknęły, śpiesznie otarte ręką, gorącą od zetknięcia się z rozpaloném naczyniem. Gdy weszła napowrót do bawialni, młodsze rodzeństwo, gwarząc i śmiejąc się, siedziało już przy stole; Stefan stał jak wprzódy z twarzą zwróconą ku oknu; Katarzyna, w dziwném jakiémś rozdraźnieniu, szybkiemi krokami chodziła po pokoju, i z wyraźną obawą spójrzała na wracającą z kuchni siostrę. Wyjątkowy stosunek Anny

i Maryana nie umknął snadź całkiem jéj uwadze; wiedziała coś o nim, jakkolwiek nie otrzymała żadnego zwierzenia; czuła się rozgniewaną i obrażoną nagłą dezercyą młodego człowieka, lękała się, aby nie zadała ona ukochanéj siostrze jéj zbyt bolesnego ciosu. Milczenie i cierpliwość nie leżały w charakterze jéj gwałtownym i do wybuchów skłonnym. Kiedy Anna rozlewała zupę na talerze, zdając się być całkiem w czynności téj pogrążoną, Katarzyna, z rumieńcami na policzkach i błyszczącemi oczyma, skrzyżowała ręce na piersi i wymówiła z goryczą i uniesieniem:

— Tak! tak, żenią się *oni* i wychodzą za mąż, a za każdym razem cały piękny świat zachwyca się piękną i wybornie dobraną parą! Dobranemi w istocie bywają te pary! Pan młody posiada kilkaset morgów gruntu urodzajnego w długi, a panna młoda paręset tysięcy złotych, któremi długi te wypleni, aby oczyścić rolę dla nowéj siejby...

— Kasiu! — cicho lecz z mocą przerwała Anna, — nie mów tak! o, proszę cię, nie mów o nikim z taką niechęcią i goryczą...

— Wiem, wiem, Anusiu, że stworzona jesteś na to tylko, aby przebaczać i błogosławić, ale ja, ja jestem inną i nie mogę patrzéć obojętnie na...

Była-by wymówiła słowo, którego Anna lękała się, które uprzedzić chciała proszącym giestem i spójrzeniem, wskazującém młodsze rodzeństwo; ale

ozwał się za nią głos, brzmiący męzkim, poważnym smutkiem:

— Anna dobrze czyni, Kasiu, nie złorzecząc i nie potępiając nikogo... Na jakichkolwiek drogach szukają dla siebie szczęścia ci, których dłoń ściskaliśmy z przyjaźnią — niech będą szczęśliwi... jeśli tylko być mogą...

Słowa te wymówił Stefan i dlatego zapewne aby ukryć przed rodziną wyraz twarzy swéj, nad którym zapanować nie mógł, odwrócił się szybko i chciał opuścić izbę. Ale nawet wśród burzy uczuć nie zapominając o tém, że nagłe odejście jego sprawić może innym smutek i niepokój, rzekł już przy drzwiach:

— Idę do sklepu, moi drodzy... nie czekajcie na mnie z jedzeniem...

— Czy Stefuś nie będzie dziś wcale jadł obiadu? — po wyjściu najstarszego brata zapytał jeden z młodszych chłopców.

— Dla czego Stefuś tak pobladł nagle i takim jakimś poważnym głosem mówił do Kasi? — dokończyła pytania najmłodsza siostra.

Nikt nie odpowiedział, bo nikt w domu prócz Anny nie domyślał się tajemnicy serca Stefana; Anna zaś milczała. Przyniosła ona z kuchni drugą i ostatnią potrawę, a gdy milcząca usiadła nad pustym talerzem, mała Klemensia uczepiła się jéj ramienia.

— Jeżeli nie będziesz jadła, Anusiu, ja także nic

do ust nie wezmę — wołało dziecię, które tak, jak i Katarzyna, nie pozbyło się przyrodzonych cech charakteru swego, namiętnych uniesień i kapryśnych zachceń.

— Dziwny dziś dzień jakiś — wyrzekł młodszy z chłopców — Stefuś odszedł bez obiadu, Anusia nic nie jé i myśli, nie wiem już o czém...

— Nasza siostra nie myśli nigdy o niebieskich migdałach — z powagą rzekł starszy — jeżeli smutna jest i zamyślona, musi mieć ważny ku temu powód...

— Jedz! jedz choć trochę, Anusiu! — prosiła Katarzyna, a Anna, spójrzawszy na nią, spostrzegła w oczach jéj kręcącą się łzę żalu i niepokoju.

I przypomniała sobie znowu, że żadna z godzin dnia do niéj nie należy, że każda zmarszczka, która kiedykolwiek zasępi jéj czoło, każda smutna iskra, która zamigoce w jéj oku, odbiją się w otaczających ją twarzach smutkiem i zasępieniem. Przypomniała sobie o tém i położyła potrawę na stojący przed nią talerz; jadła i rozmawiała z braćmi o świeżo zadanych im szkolnych wypracowaniach.

Kiedy ukochany przez wszystkich głos siostry-gospodyni ozwał się znowu za stołem, a uśmiech otaczał blade jéj usta, mała gromadka zawrzała, jak zwykle w téj porze bywało, pogadanką wesołą i swobodną. Potém, umilkły w ścianach skromnéj izby głosy młodzieńcze i dziecięce śmiechy, każdy

był znowu przy swém zadaniu; aż przed zmrokiem, w porze, w któréj najczęściéj pozostawała sama, Anna narzuciła na głowę czarną swą chusteczkę, przywdziała ciemne sukienne okrycie, i z koszykiem, napełnionym uszytą bielizną, wyszła do miasta w celu udania się do szwalni, z któréj brała zwykle robotę. Zrana jeszcze miała zamiar pójść tam za dni parę dopiéro. Ale dnia tego nie chciała znać ciszy i zmroku szaréj godziny. Potrzebowała téż może ruchu, powietrza i zajęcia innego, niż machinalne zszywanie płótna. Przechodząc koło sklepu, zatrzymała się chwilę przed otwartemi jego drzwiami. Chciała zobaczyć Stefana. Była mu może potrzebną? W sklepie znajdowała się pani jakaś dostatnio ubrana i, z pomiędzy świeżo przywiezionych wczoraj towarów, wybierała dla siebie różne przedmioty.

— Jak to dobrze, żeś pan w to wszystko sklep swój zaopatrzył. Dotąd, jeśliśmy chcieli miéć cóś więcéj nad cukier, mydło i świece, musieliśmy iść lub posyłać na drugi koniec miasta.

— Potrzebę tę miałem właśnie na względzie, sprowadzając do sklepu mego kosztowny transport nowości — odpowiedział kupiec.

— Wszyscy powiadają — ciągnęła dama — że jesteś pan przedsiębierczy i rzetelny. Można więc przepowiedziéć z pewnością, że firma pańska będzie kiedyś jedną z najznaczniejszych w naszém mieście.

Stefan skłonił się z podziękowaniem, a wziąwszy z rąk dostatniéj snadź pani kilka wartościowych papierków, owiązał sznurkiem sporządzony dla niéj pakunek i oddał go małemu pomocnikowi swemu, aby zaniósł do jéj mieszkania. Wychodząc, pani rozminęła się w drzwiach sklepu z podżyłym jegomością, który prowadził za sobą dwie małe córeczki, bardzo mile spoglądające na słoje z bakaliami.

— Czém mogę służyć panu? — zabrzmiał w głębi sklepu uprzejmy głos kupca.

Anna odeszła w swoję drogę; przekonała się, że gdy był dzień jeszcze, gdy otaczały i wzywały ich oboje dzienne interesa i obowiązki, brat jéj mógł obejść się bez niéj, jak ona bez niego. Poszła więc, a gdy wróciła, rodzeństwo oczekiwało już w bawialni na wieczorny posiłek. Stefana nie było, ale nieobecność jego nie dziwiła tym razem nikogo, Rzadko jadał on wieczerzę, a zazwyczaj Anna posyłała mu do sklepu przez którego z braci parę szklanek herbaty. Tym razem jednak, gdy Edmund, spełniwszy to polecenie siostry, wrócił do bawialni, Anna spytała go, czy są w sklepie kupujący.

— Niéma nikogo — odparł chłopak — Stefuś siedzi sam jeden i zapisuje coś w księdze rachunkowéj. Ale wiész, Anusiu, Stefuś dziś taki jakiś blady...

— I ja to uważałem — dodał brat młodszy —

gdym przed wieczorem zajrzał na chwilę do sklepu, Stefuś sprzedawał jakiemuś panu różne towary, ale tak wyglądał, jakby uszedł dziś przynajmniéj mil dziesięć i był bardzo zmęczony...

Anna w zamyśleniu słuchała tych słów młodych braci, zbliżyłą się potém ku nim i, obie dłonie składając na ich ramionach, pochylona nad nimi, rzekła głosem cichym i głębokim:

— Nigdy w całéj przyszłości waszéj nie zapominajcie, ile razy widzieliście twarz waszego brata bladą i zmęczoną... Była ona taką przez miłość dla was. Zaciągacie dług święty, który wtedy tylko spłacicie, gdy przez was także zajaśnieje ona szczęściem i spokojem...

W parę godzin po wieczerzy, w mieszkaniu było już cicho, chłopcy uczyli się, Klemensia spała, Katarzyna tylko siedziała jeszcze w bawialni i pochylona nad stołem wprawnie i z uwagą przepisywała nuty, a Anna, siedząc przy niéj, szyła prędko i w milczeniu. Przez dwie ściany, oddzielające bawialną izbę od sklepu, doszedł ucha dwóch dziewcząt stuk zamykanych i zaryglowywanych drzwi.

Anna powstała, zapaliła świecę i nachylając się nad siostrą, pocałowała ją w czoło.

— Dobranoc ci, Kasiu, będziesz pewnie spała, gdy wrócę. Nie pracuj do późna, bo szkodzi to zawsze twemu zdrowiu.

Katarzyna nie pytała siostry, dokąd idzie. Nale-

żało to prawie do zwyczajów rodzinnych, że jeżeli Stefan, po zamknięciu sklepu, nie przychodził sam do mieszkania swéj rodziny, Anna na chwil kilka, a często na dłużéj szła do niego.

I teraz więc, trzymając w ręku zapaloną świecę, któréj płomyk kołysał się od przewiewu wiatru, wnikającego przez drzwi od sieni, w szaréj wełnianéj chustce, zarzuconéj na ramiona, siostra Stefana wstąpiła na wschody z razu dość czyste i szczupłym płomykiem gazu nieco oświetlone, potém ciemniejsze, węższe i brudniejsze, aż powyżéj trzeciego piętra zakończone wązkim kurytarzykiem, zupełnie ciemnym, ze źle przystających do siebie desek, pośród obszernego pustego strychu zbudowanym. W głębi kurytarzyka tego, przez szparę, znajdującą się pomiędzy wykrzywionemi drzwiami a nadpróchniałym progiem, przeciskał się promień światła. Anna zapukała lekko do drzwi i weszła do izby Stefana.

Musiał z niecierpliwością oczekiwać jéj przybycia, bo, gdy weszła, powstał szybko z siedzenia i zanim miała czas słowo przemówić, pochwycił obie jéj ręce.

— Czy ty kochałaś go, Anno? — zapytał z daremnie powściąganą gwałtownością — powiédz mi! czyś ty go kochała?

Anna stała z czołem pochyloném na jego piersi, z rękoma uwięzionemi w jego dłoniach.

— Stefanie! — wymowiła cichym szeptem — je-

żeli słyszéć kroki czyjeś z radosném biciem serca i tęsknić za nieobecnym, i wierząc w piękność uczuć i charakteru jego, do wzrostu i udoskonalenia ich tajemne lecz dziwnie drogie przywiązywać nadzieje, nazywa się: kochać... kochałam go!

Stefan słuchał łzawych słów siostry z brwią zsuniętą i boleścią w oku.

— Tak, domyślałem się tego od dawna, alem nie chciał krępować woli twéj żadném słowem, ani przestrogą. Cóż? — dodał — ofiarował ci chatkę z sercem? a gdy odrzuciłaś ją, przyjął od innéj pałac bez serca...

— Bez serca? — z wolna wymówiła Anna i podniosła na brata wzrok pytający, głęboki. — Ja także domyślałam się tego od dawna. Ta piękna kobieta, która przyjeżdżała tu wczoraj, kochała cię, Stefanie! Patrzałam na nią przez okno, jak wysiadała z powozu. Była silnie wzruszoną... jakieś ważne, wielkie słowo drżało na prześlicznych jéj ustach...

— Nie wymówiła go. Zajęcia śród których mię znalazła, przejęły ją dreszczem wstrętu, zlękła się opylonéj ręki mojéj i uznojonego czoła....

Siedzieli teraz obok siebie na dwóch szczelnie zestawionych stołkach, oddaleni nieco od małéj lampy, któréj słaby tylko odblask padał na ich twarze. Anna opierała wciąż czoło na piersi brata, on otoczył ramieniem jéj kibić i patrzał na nią z głębokiém przywiązaniem i męzkiém współczu-

ciem. Zwierzenia ich wzajemne nie trwały długo. Kilka słów starczyło, by zrozumieli się do głębi, a żadne z nich nie było skore do wzmagania wypowiadaniem żalów swych, żalu i smutku drogiéj sobie istoty. W głowie Anny jednak pracowała snadź myśl jakaś niespokojna, zagadnienie jakieś, gwałtem dopominające się rozwiązania. Chmura zadumy leżała na dziewiczém jéj czole, usta otworzyły się parę razy.

— Stefanie — wymówiła nakoniec z cicha — powiedz mi, czy nie byliśmy w błędzie? czy w jedném z ważnych przecież i wielkich zagadnień życia nie rozminęliśmy się z prawdą i obowiązkiem? Czy dobrze pojęliśmy miłość i jéj granice?

Podniosła na twarz brata niespokojne pytające oczy, a gdy on milczał i pytająco także na nią patrzał, mówiła daléj:

— Czy nie powinniśmy byli cierpliwszymi być, wytrwalszymi? czy ja, zamiast pożegnać *go* w chwili rozżalenia i zawodu, nie powinnam była pracować nad tém, aby kiedyś pogodzić go z tém, co dla mnie słuszne jest i święte? Czy ty, Stefanie, zamiast rozstawać się z tą kobietą, nie powinieneś był wytrwać przy niéj, walczyć o nią, wpłynąć na nią tak, aby zrozumiała życie, jak ty je rozumiész i, wtedy bez przeszkody już stała się twoją? powiedz! powiedz! czy nie zbłądziliśmy przez dumę, lub uniesienie? czy nie uczyniliśmy im krzywdy, opuszczając ich

śród drogi, zamiast pracować nad nimi i wywalczać ich sobie?

— Nie, — z powagą i stanowczością w głosie odpowiedział Stefan — myśl i sumienie twoje, Anno, poszukujące prawdy, spokojnemi być mogą. Byliśmy w prawdzie, czyniąc to, cośmy uczynili. Igranie z ogniem bezpieczném dla nikogo nie jest. Uczucie — to ogień. Mogliżeśmy być tak pyszni, tak zarozumiali, aby niezłomnie ufać w to, że, zamiast ugiąć i przekształcić innych, nie ugnie i nie przekształci ono nas samych? że gdy pozwolimy mu rozwinąć w piersi naszéj skrzydła ogniste, nie przepali ono całéj siły naszéj, nie złamie w fatalnéj jakiéj chwili szału i zapomnienia zasad, które życiem naszém rządzą, nie zgasi wszystkich uczuć innych, nie zaćmi naszego rozumu?

Po chwili milczenia, mówił ciszéj, lecz z mocą:

— Kochałem tę kobietę... kocham ją może w téj chwili jeszcze; dla czegoż nie miał-bym powiedziéć ci tego wyraźném słowem? Wywierała na mnie wpływ czarodziejski. Zachwycałem się jéj pięknością, jak najcudowniejszą harmonią, odgadywałem w niéj naturę piękną, bogatą, a skrzywioną tylko i niedorosłą. Wkrótce spostrzegłem, że wplątywać się ona zaczęła w myśli moje, we wszystkie chwile dni moich, że trzeba mi jéj było coraz gwałtowniéj, częściéj, nieodzowniéj. Wtedy wśród ciszy nocnéj, w głębokiém skupieniu całego rozumu mego, myślałem

długo nad nią i nad sobą, i pojąłem, że rozstać się z nią powinienem. Wtedy pożegnałem ją... Zapewne, mógł-bym włożyć frak czarny, okryć ręce jasnemi rękawiczkami, przedstawić się w salonie jéj matki, widywać ją często i coraz silniéj zadzierzgiwać węzeł, wzajemnym pociągiem naszym zawiązany. Przyjęto-by mię tam może, dzięki nazwisku, które noszę, wspomnieniu zasług mego ojca i panowaniu córki nad sercem i wolą matki. Mógł-bym krok stanowczy trzymać w zawieszeniu miesiące i lata i oczekiwać, aż wpływ miłości przeistoczy to, co wedle mnie jest złém w niéj i fałszywém, i czynnie wpływowi temu dopomagać. Potém osiągnąłbym może cel zapałów moich i starań cierpliwych, ale któż mi powié, jak strudzonym, zbolałym i zniedołężnionym wyszedł-bym z tych zapasów, z tych długich kłótni pomiędzy sercem i rozumem, z tych mąk sumienia, które wyrzucało-by mi fałszywą nutę, wplecioną w ogólny ton mego życia? Utracił-bym wiele sił i czasu, pominął-bym po drodze wiele powinności...

— Stefanie — szepnęła Anna — poniósł-byś ofiarę, to prawda, ale... zbawił-byś może kobietę, którą kochałeś!...

— Ofiarę! — powtórzył Stefan — tak, ale wtedy, gdy dokonywał-bym ofiary dla jéj zbawienia, a... bądźmy szczerzy względem siebie, Anno, więcéj jeszcze dla własnego szczęścia, co stało-by się z ro-

dziną moją, z interesami teraźniejszości jéj i przyszłości, nad któremi czuwać nie mógł-bym już skutecznie, wydzierając ukochaną moję widmu światowych uprzedzeń i próżności, rękoma, przyodzianemi w rękawy fraka i jasne rękawiczki?... nie Anno! Dokonywanie ofiary wszelkiéj wzniosłą jest i zaszczytną rzeczą, ale, aby do wzniosłości téj i do tych zaszczytów prawo posiadać, potrzeba wprzódy dopełnić obowiązku.

Milczał chwilę, potém mówił daléj:

— Długo, zbyt długo miłość pomiędzy mężczyzną i kobietą trzymała w świecie, w naszém społeczeństwie szczególniéj, prym w chórze wszystkich innych miłości, prym, zagłuszający wszelkie inne głosy i przez to mącący harmonią uczuć i spraw ludzkich. Długo, zbyt długo miłość ta była siłą ślepą i głuchą, szałem pijanym, sybarytyzmem rozkoszy lub boleści, rozciągającym ciała i duchy ludzkie na łożach róż lub tortur i unicestwiającym je dla wszystkiego, co nią nie było. Oświeceni spotęgowaném światłem rozumu, zahartowani doznanemi nieszczęściami i spoważnieni widokiem ogólnych klęsk i niedoli, pojęliśmy, że nieśmiertelny wielki pierwiastek ten czémś inném być musi, niż konwulsyjném miotaniem się indywidualnych żądz i bólów, niż jadem, rozkładającym zdrowie rodzin i moc społeczeństwa, niż fatalną siłą, miażdżącą w zawrotném swém kole najszlachetniejsze serca

i najpotężniejsze umysły. Miłość szalona, bezpamiętna, miotająca człowiekiem, zasadami jego i uczuciami, jak wiatr miota trzciną, niepodobną stała się dla pracownika ciężkich nowych czasów. Nie ma on czasu na upajanie się nią i umyślne jątrzenie ran swoich. Kobieta musi być dla niego towarzyszką i sprzymierzeńcem wiernym, umysłem odźwierciedlającym w sobie jego umysł, dłonią pomocną, otrzymującą i dającą spokój i szczęście. Jeżeli tém być nie może, pozostawia on ją na jéj drodze, ból swój przenosi w milczeniu i idzie daléj tam, dokąd iść powinien.

Długo jeszcze w noc brat i siostra rozmawiali ze sobą, we wzajemnéj przyjaźni i przywiązaniu czerpiąc moc i uspokojenie.

Kiedy Anna weszła do sypialnéj izby, którą dzieliła wraz z dwiema siostrami swemi, Katarzyna zdawała się uśpioną. Nie spała jednak i piérwszy raz może od lat kilku, od czasu, w którym schroniły się pod skromny dach mieszkania tego, aby wieść dnie napełnione trudem, siły fizyczne wyczerpującym, noc nie przyniosła dwóm siostrom snu natychmiastowego. Katarzyna kilka razy siadała wśród ciemności na łóżku swém i nastawiała ucha w stronę posłania siostry. Wydało się jéj parę razy, że zasłyszała płacz cichy; chciała wstać i pójść do Anny, ale w izbie zapanowywała wnet cisza głęboka, przerywana tylko spokojnym oddechem śpiącéj po-

9*

między dwiema starszemi siostrami małéj Klemensi. Spoczynek nocny zresztą nie przedłużał się nigdy w mieszkaniu Siecińskich do późnego ranka. O godzinie siódméj sklep powinien już był być otwartym, istniał on bowiem w dzielnicy miasta niezamożnéj, a więc napełnionéj ludnością, o wczesnym poranku żyć i ruszać się zaczynającą. Godziną już przedtém ruch powstawał zazwyczaj w mieszkaniu rodziny kupca. Na dworze dopiéro dniało, a już szarawy świt wiosennego poranku mieszał się z białém światłem lampy, palącéj się na okrągłym, pośrodku bawialnéj izby umieszczonym, stole. Na tymże samym stole stał kipiący samowar, kilka szklanek i parę talerzy ze skromném, lecz posilném jadłem. Przy samowarze stała Anna, z gładko już uczesanemi i wkoło głowy okręconemi warkoczami. Szary świt, wnikający przez przeciwległe okno, padał na czoło jéj blade, lecz gładkie i spokojne, a promień lampy przeglądał się w źrenicach, w których pozostały lekkie ślady łez, śród ciemności nocy wylanych. Przy stole siedzieli młodsi bracia, ubrani już w szkolne mundury, i mały pomocnik Stefana w grubém, lecz ciepłém ubraniu. Stefan przyszedł później nieco, a gdy na dzień dobry podawał rękę każdemu z rodzeństwa, w drzwiach sypialni ukazała się Katarzyna.

— Cóż się stało? — zawołał jeden z młodych chłopców — Kasia już wstała! tak wcześnie!

— Dlaczego nie spałaś dłużéj trochę? — z łago-

dném napomnieniem rzekła Anna—tak wczesne wstawanie szkodzi twemu zdrowiu, a wychodzisz przecież na lekcye o dziesiątéj zaledwie.

Wysmukła panna, z piękną śniadawą twarzą i delikatną kibicią, zbliżyła się do stołu i usiadła pomiędzy Anną i Stefanem.

— Wstałam dziś tak wcześnie dlatego, że chciałam znaléźć tu was oboje. Mam wielką prośbę do Anusi, a przewiduję, że potrzeba mi będzie twego wstawienia się do niéj, Stefanie.

— Masz prośbę do mnie, Kasiu! — zawołała Anna — o mój Boże! możesz-że przypuszczać, że jéj nie spełnię?

— Ponieważ mam tu grać podobno rolę pośrednika, niech-że wiem, o co idzie — z uśmiechem rzekł Stefan.

— Zanim powiem, o co właściwie prosić mam Anusię, muszę rzecz moję zacząć od potopu...

— Zlituj się, Kasiu — zawołał ze śmiechem Edmund — opuść parę początkowych rozdziałów, bo nim dojdziesz do końca, będziemy musieli iść do szkoły i nie dowiemy się, o co idzie...

— Niéma też wcale konieczności, abyście wiedzieli o tém — żartobliwie odparła starsza siostra.— Z tém wszystkiém — dodała poważniéj — nie opuszczając żadnego rozdziału, postaram się być zwięzłą. Odkąd przybyliśmy tu i zaczęliśmy pracować pod jednym dachem, a więc od lat czterech blizko, ty, Ste-

fanie, i ty, Anusiu, nie chcieliście nigdy przyjąć zapracowanych przeze mnie pieniędzy na rzecz wspólnego utrzymania naszego i wspólnych interesów...

— Jeżeli o tém tylko ma być mowa, słyszeliśmy już to nieraz... — uśmiechając się, przerwał Stefan.

— Nie — odpowiedziała Katarzyna — jest to tylko piérwszy rozdział mojéj mowy, która zmierza do czegoś wcale innego. Otóż, moi drodzy, jak sami o tém wiecie najlepiéj, zarobek mój obracałam dotąd na ubranie moje i, co prawda, pozwalałam sobie czasem pewnego w tém zbytku...

— Alboż nie jesteś naszą królewną? — z komiczną emfazą w głosie, przerwał jeden z młodszych braci.

— Pozwalałam sobie nieraz zbytkowych wydatków. Parę lat temu, naprzykład, kupiłam zégarek (tu wydobyła z-za paska dość ładny, na czarnéj tasiemce zawieszony, damski zégarek), zapłaciłam za niego prawie dwieście złotych. Podobnego wydatku nikt z was nie uczynił ani razu, odkąd tu mieszkamy...

— Zégarek był ci potrzebnym, Kasiu, przecież dajesz lekcye i musisz pilnować się godzin... — przerwała Anna.

— Tak, ale mogłam kupić prostszy, tańszy, srebrny, nie złoty...

— Jaką rzepę płaską i wielką, jak naprzykład ta,

którą za pięć rubli kupił sobie Stefuś. Ślicznie byś z nią wyglądała, królewno nasza! — zawołał jeden z młodszych braci.

— Jeżeli mi tak ciągle przeszkadzać będziecie, nie skończę nigdy! — z niecierpliwością zwróciła się Katarzyna do młodych chłopców.

— Cyt! — szepnęli pomiędzy sobą studenci — Kasia gotowa rozgniewać się naprawdę, a u niéj o to nietrudno!

— Otóż mogła-bym kupić sobie tańszy zégarek, ale kupiłam złoty i dość drogi, dlatego, że, przyznaję się szczerze, nie straciłam wcale upodobania w ładnych ozdobach stroju...

— Dowodzi to tylko, że byłaś i jesteś zawsze domową naszą artystką — łagodnie wymówił Stefan.

— Z tém wszystkiém — ciągnęła Katarzyna, spójrzeniem dziękując bratu za pobłażliwe słowo — z tém wszystkiém, a raczéj pomimo tego wszystkiego, zostawało mi jeszcze co rok coś z zapracowanych pieniędzy. Zebrała się więc z tego mała sumka, za którą miałam ku przyjemności własnéj, a ozdobie naszego mieszkania, kupić fortepian...

— Czyż-byś, Kasiu, żądała od Anusi, aby ci ona wybrała ten szacowny instrument? Nie spodziewam się tego. *Nasza siostra* nie zna się, o ile wiem, na takich rzeczach — przerwał Edmund znowu.

— Nie — odparła Katarzyna — gdybym chciała posiadać go, wybór uczyniła-bym sama w piérwszéj

lepszéj fabryce, ale w tém rzecz, że nie chcę już go posiadać...

— Co słyszę? — zawołała Anna — toż to było marzenie twoje od czasu jeszcze, gdyśmy mieszkali w Wólce!

— Ustąpiło ono przed innném. Wiém, że ty ze swéj strony, Anusiu, marzysz oddawna o założeniu małéj choć-by szwalni, która-by dała ci pewien dochód i dopomagała Stefanowi do utrzymywania nas wszystkich i powiększania zasobów sklepu. Otóż przystępuję do ostatniego rozdziału mojéj mowy, w któréj zamyka się prośba moja...

— Słuchamy z szeroko otwartemi oczyma! — zawołali obaj studenci.

— Słucham cię, Kasiu! — z powagą odrzekła Anna.

Katarzyna otoczyła szyję siostry ramieniem i, twarz jéj pieszczotliwie przyciągając ku swéj twarzy, rzekła:

— Weź, Anusiu, pieniądze, które posiadam, kup za nie parę maszyn do szycia, płótna tyle, ile wystarczy i zajmij na szwalnią tę izbę, która znajduje się teraz nienajęta w drugim rogu kamienicy...

Anna pochwyciła rękę siostry.

— Wiem! wiem, Kasiu, dlaczego dziś właśnie przyszło ci to na myśl — szepnęła cicho — chcesz pocieszyć mnie dowodem swéj przyjaźni, chcesz, abym miała nowe zajęcie, śród którego łatwiéj zapomniéć-

bym mogła o tém... czego się domyśliłaś we mnie! Ale czyż mogę zgodzić się na to, abyś wyrzekała się tego, czego od tak dawna pragnęłaś, coby ci każdą wolną od zajęć chwilę uprzyjemnić mogło?

— Stefanie! — zawołała Katarzyna — teraz na ciebie koléj.

— Tak — rzekł Stefan — koléj na mnie. Historya od potopu opowiedziana, skończyła się bardzo pięknie. Ty, Anusiu, nie masz prawa odrzucać tego, co ofiaruje ci siostra twoja. Jest to zapewne ze strony Kasi ofiara, którą czyni z upodobania swego i dawnego marzenia, ale dlaczegoż mieli-byśmy wzbraniać jéj współuczestniczenia w ofiarach i pociechach, które każde z nas składa wedle sił swoich na wspólny nasz byt rodzinny? Nie zasługuje ona na wyłączenie takie...

— A więc — zawołała Anna — niech tak będzie, jak żądacie! Zapowiadam wam tylko, że szumiéć wam będzie w uszach od moich maszyn, a na obiad dostaniecie czasem rosół przydymiony i niedogotowną jarzynę!

Śmiała się, mówiąc to, ale w oczach jéj błyszczały łzy radości i rozrzewnienia, a ramiona owinęły się z czułością bez granic około smukłéj kibici siostry.

Młodsi bracia spoważnieli téż, i ze wzruszeniem, które stłumiło dziecinną ich wesołosć, wyciągnęli dłonie do Katarzyny. W téj saméj chwili drzwi od ku-

chenki skrzypnęły, a Edmund, który naprzeciw nich siedział, zwrócił się do Anny:

— Zobacz, Anusiu — rzekł z cicha — ta biedna Józia przyszła, pewno do ciebie...

W głębi kuchenki stała, w istocie przy drzwiach czternastoletnia dziewczynka w wyszarzanéj sukience czarnéj, z taśmą białą u dołu, w spłowiałéj chusteczce na głowie i ramionach. Dziecię to straciło matkę, ktoś przez litość sporządził jéj ze staréj wynoszonéj sukni żałobne ubranie, ale smutniejszą jeszcze żałobę sieroctwa i niedoli widać było w wynędzniałéj i bladéj jéj twarzy. Zatrzymała się u wejścia w postawie zbiedzonéj i prawie drżącéj, i patrzała na zgromadzone w bawialni osoby nieśmiałemi oczyma. Ujrzawszy ją, Anna, podniosła się szybko z siedzenia, śpiesznie weszła do kuchni i, wziąwszy biedne dziecko za zziębniętą rękę, przyprowadziła je do rodzinnego stołu.

— Stefanie — rzekła, stając przed bratem i nie wypuszczając z dłoni swéj ręki dziewczynki. — Powiedziałam jéj, aby przyszła tu dziś o téj porze, w któréj ty z nami jesteś. Dwa tygodnie temu straciła matkę i ostatni przytułek... Odtąd tuła się po różnych miejscach, gdzie ludzie przyjmują ją przez miłosierdzie na jeden dzień, lub na noc jednę i wyprawiają potém na ulicę... Czy pozwolisz, aby u nas została już na zawsze? Wziąłeś brata jéj na pomocnika sobie, daj mi ją na pomocnicę...

W czasie, gdy Anna to mówiła, dziewczynka nie spuszczała ze Stefana ładnych swych i pojętnych, lubo zapadłych i spłakanych, oczu. Rozumiała, że cały los jéj, cała ochrona od tułactwa i nędzy, zależy od woli człowieka, z którego rąk nieraz dawniéj otrzymywała w sklepie zwitki papieru, zawierające posiłek dla choréj swéj matki.

— Anusiu — rzekł Stefan prosto i krótko— zdaje się, że i mowy być o tém nie może, abyśmy dziecię to pozostawiać mieli na głód, chłód i niebezpieczeństwa ulic miejskich. Wystarczy nam chleba i dla niéj, wystarczyć powinno i czasu dla dania jéj oświaty i nauki.

— Ja, Anusiu, uczyć ją będę pisać i geografii! — zawołała mała Klemensia, która przed chwilą, z zaspanemi jeszcze trochę oczyma, weszła do bawialni.

— A ja rachunków i czego tam jeszcze trzeba będzie! — dodał młodszy ze studentów.

— A ja szyć, haftować i krajać bieliznę—z uśmiechem rzekła Anna.

— A za to wszystko — zaśmiał się Edmund — Józia dopilnuje, aby rosół nasz przydymionym nie był i pieczeń niedopieczoną, wtedy, gdy *nasza siostra* zostanie już szwaczką na wielką skalę!

W czasie, gdy rodzeństwo zamieniało wyrazy te, ją mające na celu, Józia nie zdawała się nic widziéć ani słyszéć, prócz najstarszego brata rodziny i słów,

które wymówił najpiérwszy. Nie mogła nic wyrzec, bo delikatne blade usta jéj drżały od tłumionego płaczu, ale splotła chude drobne ręce, jak do modlitwy, i wpatrzyła się w twarz Stefana, jak w tęczę. We wzroku jéj, łzami oszklonym, głębokim, dziękczynnym, były dla człowieka, który przyjmował ją pod dach swój, wdzięczność i uwielbienie bez granic....

W samowarze tymczasem ogień zagasł, talerze wypróżniły się, lampa zgaszoną została, bo na dworze był już dzień biały. Stefan zabierał się do odejścia, Anna zdejmowała ze stołu naczynia, a Katarzyna miała już rozpocząć zwyczajną lekcyą z małą siostrą, gdy drzwi do kuchni skrzypnęły znowu i wszedł przez nie listonosz. Klemensia poskoczyła najpiérwsza i, odebrawszy list z rąk pocztowego posłańca, oddała go bratu.

— Z Wólki, od Józefa — rzekł Stefan, rzuciwszy okiem na adres i pieczątkę.

Całe rodzeństwo, które rozpierzchło się już było w różne strony mieszkania, usłyszawszy te słowa, zbiegło się znowu dokoła stołu. Stefan otworzył list, w którym, ręką oddalonego brata skreślone, znajdowały się następujące słowa:

„Donoszę wam dziś o sobie, drodzy moi, wieść bardzo ważną dla mnie, a która, jak jestem pewny tego, i w waszych braterskich sercach wzbudzi zajęcie. Nie chcąc rozwodzić się długo, zamykam ją

w jednėm słowie: żenię się. Narzeczona moja jest tą panną Karoliną B., córką sąsiadującego z Wólką dzierżawcy, o którėj wspominałem parę razy w listach moich do was. Nie mogłem wam jednak dotąd napisać całėj prawdy. Ja i Karolina od dwóch już lat kochamy się i daliśmy sobie wzajemne słowo. Chowałem to przed wami w tajemnicy, ponieważ obawiałem się, abyście wy, (Kasia i Anusia szczególniéj), nie napędzali mnie do śpieśniejszego spełnienia tego, co było najgorętszém pragnieniem mego własnego serca. My zaś z Karoliną postanowiliśmy czekać póty, dopóki ja nie urządzę gospodarstwa i interesów Wólki tak, aby i na utrzymanie nasze dostatecznie starczyły, i wam dług mój (majątkowy tylko naturalnie), częściami przynajmniéj spłacać mi pozwalały. Wszakże jesteście współdziedzicami folwarku, z którego ja sam jeden prawie korzystałem dotąd, drobne bowiem sumy pieniężne, które przesłałem wam parę razy, nie zaspakajają ani w połowie przypadających wam części małego tego, ale, jak pokazało się, pięknego majątku. Nie żartujcie z Wólki. Grunta to nieobszerne, lecz urodzajne, lasy dobre, łąki zachwycające. Trzeba było tylko temu wszystkiemu odnowienia, wzmocnienia i rozwoju, a wszystko to stać się nie mogło bez kosztu. Koszta te ponosić mogłem, odkąd pozostawiliście mnie jednego na tym kawałku gleby. Będąc sam jeden, cóż wydawać mogłem? prawie nic. Wszystko szło w ziemię, w oborę, w ogro-

dy, i ani-byście poznali teraz tego naszego zaścianku, który zaledwie naszéj Kasi o suchoty, a nas wszystkich o śmierć głodową nie przyprawił. Zasobnie tu teraz, urodzajnie, ludno od pracującéj czeladzi, wesoło od ryku ślicznego bydełka i rżenia licznych koni roboczych, i obszerniéj nawet, ozdobniéj, niż było, bom dwa pokoje do starego domowstwa przybudował i dwa morgi ziemi do dawnego sadu dodał, zasadziwszy je szczepami drzew owocowych, pomiędzy któremi wzrasta jeszcze prześlicznie warzywo. Tak tedy, gdy małe gospodarstwo moje tak świetnie stanęło, że mogę z niego i żonę utrzymać, i wam części wasze powoli spłacać, nic już nie staje na przeszkodzie połączeniu się naszemu z Karoliną. Nie będę wam opisywał powierzchownych wdzięków mojéj narzeczonéj, ani nawet długo rozwodził się o zaletach jéj umysłu i charakteru. Kochamy się i rozumiemy wzajem, upodobania nasze i przyzwyczajenia są jednostajne, trwałość uczuć i zgodę umysłów naszych wypróbowaliśmy w tych latach wzajemnego oczekiwania na siebie, w których, jeśli były niekiedy cierpienia i smutki, nie było nigdy ani rozdzierających burz, ani trujących rozpaczy. Posagu nie wezmę z przyszłą żoną żadnego, bo ojciec jéj, lubo zamożny dzierżawca dość znacznych folwarków, posiada zbyt liczną rodzinę, aby każde z dzieci obdarzyć mógł czémś więcéj, prócz starannego, zacnego wychowania. Prócz tedy skromnéj wyprawy, Karolina nie posiada nic

z materyalnych dóbr tego świata, ale przyniesie mi najpewniejsze rękojmie i sposoby tworzenia i nabywania dóbr tych: dzielność charakteru, umysł jasny i pojętny, zamiłowanie w pracy, przyzwyczajenia skromne i porządne. Najwięcéj zresztą powiem wam o niéj, gdy z głębi serca mego, pełnego radości i nadziei, zawołam do was: „jestem szczęśliwy!” Czy będę mówił wam, że czuję, rozumiem i nigdy nie zapominam o tém, iż cały spokój i byt mój dotychczasowy, całe szczęście moje dzisiejsze, wam winien jestem? Gdybyście nie mieli dość odwagi, aby pójść w świat i szukać dróg właściwych sobie, mnie pozostawiając na téj, która mi najwłaściwszą była, czém byli-byśmy wszyscy, czém był-bym teraz ja sam? Zdziczałym parobkiem, lub rozhulanym z rozpaczy jarmarkowiczem, młodym człowiekiem skazanym na dośmiertne bezżeństwo, bratem niemiłym wam może i was nielubiącym. Okropny los! jeżeli minął on mnie i was wszystkich, winniśmy to rozsądkowi, męztwu i szlachetnéj dumie Stefana. Niech młode rodzeństwo nasze wié i pamięta o tém. Wyobrażam sobie, jak kiedyś przy ogniu kominka opowiadać będę własnym dzieciom moim historyą przeludnionego zaścianka i wyszłéj z niego w świat po zarobek i przyszłość gromadki odważnych sierot”.

IV. Materyały na żonę.

Po zaręczynach Maryana Brochwicza z Teofilą Natalską, wielce ożywiony ruch i głośna wesołość zapanowały w obu domach, mających połączyć się nowym i tak ścisłym węzłem.

A naprzód Jan Brochwicz, z wielką radością serca, postanowił bezzwłocznie dokonać dawno zamierzonego aktu abdykacyi na rzecz najstarszego syna. W tym celu poruszonym przezeń został cały, istniejący w Wilnie, świat prawniczy i urzędniczy. Naradzano się z prawnikami, rozmawiano z urzędnikami, jeżdżono po juryzdykcyach, przedstawiano sądowym i administracyjnym władzom podania, w których pan Jan Brochwicz, właściciel dóbr Brochowa z przyległościami, własnoręcznym podpisem stwierdzał żądanie, aby też dobra poczytywanemi odtąd były wobec wszelkich władz i ich wymagań za wyłączną i prawną własność pierworodnego jego syna. Było tam trochę trudności, zwłok, przeszkód, ale pan Jan pracował, jak nigdy. Czuł, że mu z bark spada ciężar wielki, i jeździł, prosił, naradzał się, zobowiązywał, aż pewnego dnia powiedział Maryanowi, aby siadł obok niego w koczu, powiózł go do głównéj juryzdykcyi gubernii, a tam, po niejakiém jeszcze pisaniu i podpisywaniu, wręczył synowi wielki arkusz stemplowanego papieru, na którym czarno na białém wy-

pisaném było, że on to odtąd był prawnym posiadaczem Brochowa. Poczém jeszcze Maryan podpisał z kolei urzędowe zobowiązania względem wypłat, jakie powinien był uczynić siostrze i najmłodszemu bratu, a gdy ojciec i syn wrócili do domu, z kieszeniami wypchanemi urzędowemi aktami i dokumentami, Jan Brochwicz, ze łzą radości w oczach, uściskał syna.

— A! — zawołał — teraz dopiéro, gdy w twoje ręce złożyłem praojcowskie dziedzictwo nasze, odetchnę swobodniéj, wypocznę; teraz dopiéro będę zupełnie pewnym, że Brochów nie będzie nigdy wydanym w obce ręce. Ja bowiem mogłem nie dotrwać na stanowisku, ale ty, Marysiu, młody, silny, niczém jeszcze niezmęczony, z pewnością dezerterem nie zostaniesz.

W godzinę potém, pan Jan rzekł do syna:

— Teraz, Marysiu, trzeba, abyś jechał do Warszawy i ekwipował się.

Któż nie wié, czém jest ekwipowanie się dla młodego mężczyzny? tém samém, czém dla młodéj panny robienie wyprawy. Tu i tam kupuje się wiele pięknych i kosztownych rzeczy. Trzeba na to zazwyczaj sporo pieniędzy. Pieniędzy pan Jan nie miał. Suma, zaczerpnięta w zasobnych kieszeniach zagrodowych szlachciców, będąc złożoną z monet, które, jak wiadomo, mają kształt okrągły i toczą się szyb-

ko, rozbiegła się po świecie. Pan Jan pomyślał chwilę nad tém, czyby nie należało uchylić Maryana od tradycyonalnéj powinności ekwipowania się przed ślubem, co komuś, patrzącemu ze strony, wydać się mogło tém możliwszém, ile, że Brochowski dom napełniały wcale nowe jeszcze i ładne sprzęty, a w wozowniach i stajniach istniało tyle powozów i koni, iż można było wybornie rozdzielić je pomiędzy rodziców i dzieci. Przydłuższa jednak reflexya wykazała panu Janowi, jak na dłoni, niepodobieństwo pominięcia starego zwyczaju. Przypomniał sobie własne swoje młode lata, w których figurowało ekwipowanie się, przed pojęciem za żonę pani Herminii dokonywane. Dlaczegoż-by syn nie miał uczynić tego samego, co w swoim czasie czynił ojciec? Na myśl tę panu Janowi żal się zrobiło Marysia. Nieudzielenie mu środków na ekwipowanie się było-by rodzajem wydziedziczania go z pewnéj części tych przyjemności i świetności życia, których on sam kiedyś używał; było-by to niejako krzywdzeniem dziecka, i to tak dobrego jeszcze, miłego, zaszczyt przynoszącego dziecka. Pan Jan po raz setny, odkąd Maryś stał się dorosłym młodzieńcem, rozrzewnił się na myśl o przymiotach syna, tak bardzo przewyższających przymioty większéj części jego rówienników i, nie zwlekając dłużéj, sprowadził, za pośrednictwem starego Sumskiego, z okolic Brochowa dwóch obywateli, z których jeden był chłopem, mającym, jak wieść niosła,

szacowny zwyczaj zakopywania pod piecem garnków, napełnionych srebrnemi rublami, drugi synem Izraela, nielubującym się wprawdzie w zakopywaniu rubli, tém łatwiéj zato otwierającym kieszenie brudnego chałata przed każdym, kto zobowiąże się wobec prawa włożyć w nie po pewnym czasie dwa razy więcéj, niźli wziął.

Pan Jan, w ciszy gabinetu swego, porozumiał się z obywatelami tymi, poczém w piękny słoneczny dzień odbył małą przejażdżkę do miejscowéj juryzdykcyi, dokonał tam, jako posiadacz jednego już Radlina, parę jeszcze podpisów, a wróciwszy, wręczył synowi okrągłą sumę trzech tysięcy rubli srebrem. Mogło-by zdawać się komuś, że było to wiele, ale dowodzi to tego tylko, że wszystko na świecie jest względném: panu Janowi bowiem zdawało się, że było to bardzo mało. Pamiętał dobrze, iż sam w podobnéj okoliczności wydał za swoich lat młodych dwa razy więcéj. Przez wzgląd jednak na nowe czasy i przyniesione przez nie zmiany, radził, a nawet bardzo poważnie zalecił synowi, aby przedślubne wydatki swe ograniczył do skromnéj téj sumy, przeciw czemu zresztą Maryan nie protestował wcale, jak nie protestował przeciw niczemu, co działo się od dnia zaręczyn jego z panną Natalską. Dotąd nie był on ani wesołym, ani smutnym, i całém postępowaniem swém przedstawiał, bardzo przyzwoity i, wszystkim trady-

cyom dobrze wychowanego świata wierny, typ narzeczonego.

Zalecona mu przez ojca wycieczka do Warszawy zdawała się cieszyć go więcéj, niż wszystkie inne rzeczy, które działy się przez niego i dla niego. Ktoś podejrzliwy mógł-by posądzić go, że rad był wielce temu, iż na czas jakiś oddali się od narzeczonéj, któréj codziennie składał wizyty z obowiązującym akompaniamentem bukietów, kwiatów, cukierków i tym podobnych dowodów gorącéj miłości. Ale podejrzliwych ludzi w otoczeniu Marysia nie było, a wielkie ożywienie, jakie okazywał w przeddzień odjazdu, przypisywano powszechnie radości, jaką wzbudzała w nim myśl o terminie ślubu blizkim, bo w parę dni po powrocie jego ze stolicy nastąpić mającym..

W domu pani Natalskiéj działo się prawie to samo, co w domu Brochwiczów. I tam także odbyło się parę narad z prawnikami, mających na celu rozważenie najlepszych sposobów wydobycia z obszernych dóbr tyle monety, czy tam tyle papieru, aby złożyły one sumę, od dawnych czasów przeznaczoną na posag Teofili. Pokazało się przy tém, że przeznaczanie sum nierównie łatwiejszém było w dawnych czasach, niż wydobywanie ich z ziemi w nowych. Z pomocą jednak słowa: *jakoś to będzie*, uładzono wszystko wcale nieźle. Uładzanie to sprawiło, że w domu pani Natalskiéj, do procesu kupowania na wielką skalę, mającego na celu wyprawę panny, przy-

łączyło się sprzedawanie na wielką skalę, mające na celu stworzenie dla niéj posagu. Pani Natalska, w macierzyńskim kłopocie swym udała się do źródła, do którego udawali się współobywatele jéj we wszystkich swych kłopotach, a mianowicie do lasu. Sprzedała znaczną część Natalińskiego lasu. Przeciwko środkowi temu, który ugodził w najdroższe ich uczucia i najmilsze przyzwyczajenia, stary Nemrod, ojciec narzeczonéj, i młode Nemrody, jéj bracia, oponowali z razu bardzo żywo. Gdy jednak rzeczywista naczelniczka rodziny wykazała im, jak na dłoni, że innego sposobu wyposażenia siostry nie mają i że, bądź co bądź, udział ich w majątku znacznie większym pozostanie od udziału, który otrzymają ich siostry, umilkli i zgodzili się na bolesną dla siebie manipulacyą, ze stanowczém jednak wymówieniem nietykalności pewnych kniei i ostępów. W ogólności zresztą w domu pani Natalskiéj było owemi czasy bardzo gwarno, ludno i wesoło. Przyjaciele i przyjaciółki, krewni i krewne, zjeżdżali się i schodzili z powinszowaniami, prawnicy z radami, urzędnicy z księgami, kupcy i kupcowe z towarami.

Wśród tego wszystkiego, narzeczona wyglądała zawsze strojnie i świetnie, a choć wesołość jéj mogła-by wydawać się niekiedy, podejrzliwemu jakiemu oku, przymuszoną nieco i gorączkową, to przecież, ponieważ podejrzliwych oczu koło niéj nie było, wszyscy uważali ją za istotę, stojącą na progu sió-

dnego nieba. Co się zaś tycze matki jéj, ta, pochłoniona zdobywaniem i rachowaniem sum, od dawnych czasów przeznaczonych na posag jéj i wyprawę, mniéj teraz przebywała z córką swą, niż kiedykolwiek w życiu, a jeżeli kiedy spostrzegła łzę w jéj oku, lub bladość na jéj twarzy, przypisywała to bardzo naturalnym wzruszeniom młodéj duszy, mającéj wkrótce wstąpić w świat całkiem nowych dla siebie uczuć i obowiązków. Przyznać zresztą trzeba, że łzy te i ta bladość pojawiały się u pięknéj Tośki bardzo rzadko. Była ona niezmiernie zajęta sporządzaniem wyprawy, a piękne i wielce smakowne przedślubne podarunki, które narzeczony przysłał jéj w kilka dni po wyjeździe swym do stolicy, uczyniły ją na czas jakiś zupełnie zadowoloną. Wprawdzie była ona przyzwyczajoną do widywania i posiadania podobnych rzeczy, ale właśnie dlatego sprawiały one jéj zawsze wielką przyjemność. Im więcéj zresztą dni upływało od wyjazdu Maryana, tém więcéj Teofila godziła się ze swém położeniem. Tą razą narzeczony wyglądał w oczach narzeczonéj swéj daleko piękniéj z oddalenia, niż z blizka, co było może nieszczególną wróżbą dla owéj z porządku rzeczy nadejść mającéj pory, w któréj on i ona mieli być nietylko blizcy sobie, ale nierozłączni. Ale Teofila strzegła się cienia wróżb, przypuszczeń i rozwag, które mogły-by przypominać jéj to, o czém zapomniéć najmocniéj postanowiła.

Wśród całego tego gwaru zajęć, interesów i przygotowań, jaki napełniał dwa domy, gotujące się do ważnéj dla nich uroczystości, przez nikogo niespostrzeżona, bo pilnie i przebiegle w tajemnicy chowana, snuła się historya Żanci, Początek historyi téj datował od owego koncertu niefortunnéj pamięci, który odbył się kilka miesięcy temu; drugi i daleko ważniejszy jéj rozdział zaczął się w dniu odwiedzin, oddanych przez ciocię Rózię i Żancię pani Wąsikowskiéj.

W dniu tym, w chwili właśnie, gdy pani Róża, stojąc przed źwierciadłem, pomiędzy dwiema zapalonemi świecami umieszczoném, kończyła pracowitą wieczorną toaletę, do pokoju jéj wszedł lokaj z listem w ręku.

— Co to? kto to? od kogo to? — zagadała młoda staruszka, która pasyami lubiła otrzymywać listy.

— Nie wiem od kogo list ten być może — odpowiedział służący — bo przyniósł go żydek jakiś, obdartus, zdaje się, że posługacz z jakiegoś zajazdu.

Pani Róża chciwie spójrzała na kopertę, na któréj, wielkiemi literami wypisany i zamaszystemi zakrętasami przyozdobiony, znajdował się napis: „Jaśnie Wielmożnéj pani Róży z Brochwiczów Cieciórkowéj, Jaśnie Wielmożnéj Pani i Dobrodziejce do rąk własnych".

— No, no! do kogoż to? od kogo? —szeptała cio-

cia Rózia, ale zaledwie rozłamała pieczątkę listu, stanęła, jak wryta, z opuszczonemi rękoma i otwartemi usty. Z koperty wypadł list drugi, zamknięty także w kopercie, mniéjszéj tylko i zaopatrzonéj nadpisem: „Jaśnie Wielmożnéj pannie Joannie Brochwiczównie, do rąk własnych". Oprócz tego listu, był tam jeszcze wielki arkusz listowego papieru, a na nim stały skreślone następujące słowa:

„Jaśnie Wielmożna Pani i Dobrodziejko!

„Pełen nieśmiałości i pokory, ścielę się do *stup* JWPani i Dobrodziejki, *błagajonc*, abyś JWPani przebaczyć raczyła zuchwałość człowieka nieszczęśliwego, *ktury*, skazany przez los na tułaczkę po krainach niedoli i poniżenia, ośmielił się wyczytać w Jéj oczach iskrę *spułczucia, kture* tak rzadko gości w ścianach zmateryalizowanych bogaczy XIX wieku. Tknięty tém *spułczuciem* człowiek nieszczęśliwy, ośmielił się złożyć w dostojne ręce TWOJE Pani!!! pismo do Anielskiéj Istoty, *ktura*, jak promień słońca, zesłany przez Niebo w ciemności uwięzionego, zstąpiła dziś *wras* z TOBĄ Pani!!! do skromnego siedliska Matki mojéj i mego. Jest to z *głembi* serca płynące podziękowanie, *kture* wyrazić pragnęło serce moje, *wdzienczne* bez granic za Anielską JEJ dobroć. Błagam CIĘ Pani i zaklinam, nie odmawiaj méj prośbie. Wszak to jest jedyna nadzieja, *ktura*, jak kropla rosy *orzywia* duch mój zbolały w zapasach z losem i złymi ludźmi

„*Nawskruś przejenty* dla CIEBIE Pani najwznioślejszym szacunkiem i *wdzienczny* do grobowéj deski

Roman Gotard Bruno Wąsikowski".

Czytając powyższe wyrazy, pani Róża uśmiechała się, czmychała i mrugała powiekami. Po przeczytaniu siadła na najbliższém krześle i zaczęła głową kiwać w zamyśleniu wielkiém.

— No, no! biedne chłopczysko! — szeptała. — Zaczłapało się to widać po uszy w mojéj Żanetce! I nie dziwota! nie dziwota! młodzi oboje, jak dla siebie stworzeni! Dziewczyninie on także w guście! Oddam jéj ten list... naturalnie, że oddam! dlaczegoż-bym oddać nie miała? czy to ona mężatka już, czy co, żeby nie wolno jéj było przyjąć komplementu na piśmie od kawalera? Ciekawa rzecz, co on tam do niéj wysztychował, bo, co do mnie, to nie ma co powiedzióć, górnie napisał...

Tu otworzyła znowu pismo wędrownego muzyka, i czytała półgłosem niektóre jego ustępy, przerywając je własnemi uwagami.

— „Zuchwałość nieszczęśliwego człowieka, który skazany przez los na tułaczkę po krainach niedoli i poniżenia". Po krainach niedoli! Oho! jak on to pięknie mówi, kochańciu! i prawda, święta prawda! natułało się to biédactwo po różnych miastach i mieścinach ze skrzypeczką pod pachą! „Ośmielił się wyczytać w jéj oczach iskrę współczucia..." Naturalnie, królu mój kochany, że mam współczucie. Dlaczegoż-

bym nie miała jego mieć? ja zawsze mam współczucie dla młodych niebożątek! „Jedyna nadzieja, która, jak kropla rosy ożywia duch mój zbolały w zapasach z losem...” Kropla rosy! w zapasach z losem! fiu! fiu! jak górnie, ślicznie! czule! choć do druku podawać! Tęgą głowę ma ten Romulek, jak mego nieboszczyka Leosia kocham!...

W téj chwili wszedł znowu służący z oznajmieniem, że powóz gotowy i pani Brochwiczowa z córką czekają na dole zejścia pani Róży, aby udać się z nią na wieczór. Pani Róża zerwała się, wsunęła oba listy Romana Gotarda za stanik fijołkowéj sukni, i pulchnemi rękoma poprawiwszy przed źwierciadłem symetryą poczernionych warkoczy i sterczącego nad niemi zielonego *pufa*, z żywością dwudziestoletniéj kobiety zbiegła ze wschodów.

W kilka godzin potém, cisza nocna panowała w dwóch sąsiadujących ze sobą pokojach. W jednym z nich głębokim snem sprawiedliwych zasypiała Drylska, w drugim pani Róża, wzwyczajnym swym wieczornym i rannym *dezabilu*, siedziała przed lustrem i, mrugając oczyma figlarnie, a uśmiechając się rzewnie, patrzała na siedzącą u kolan jéj Żancię. Młodéj dziewczynie policzki pałały i oczy świeciły gorączkowym blaskiem. Zawstydzenie, radość i rozrzewnienie, walczyły na twarzy jéj; w małych rączkach, splecionych kurczowo, drżał i szeleścił arkusik welinowego papieru. Przeczytała już list Romana Go-

tarda. Zanim zdobyła się na to przeczytanie, walczyła trochę pomiędzy wstydem, skromnością dziewiczą, a ciekawością i inném, jeszcze żywszém, uczuciem, podnoszącém gwałtownie pierś jéj, zamkniętą w ciasnym gorsecie. W piérwszym tym zresztą liście wędrownego muzyka nie było nic, coby zbytnio razić mogło skromne jéj przyzwyczajenia. Kreśląc go, Roman Gotard nie mógł zapomnieć, że pisze do „panny z bogatego domu", a więcéj jeszcze do „ziemskiego Anioła", to téż wyrażenia jego tchnęły uszanowaniem i czcią najgłębszą, tłómaczącą się tak wielkiemi literami, składającemi wszystkie zaimki, zastępujące imię jéj, jak niezmierném wyszukaniem, wedle wyrażenia pani Róży, górnością wyrazów. Oprócz tego, Roman Gotard uczuł się parę razy w ciągu pisania swego szczerze i do głębi wzruszonym; to téż obok wiadomości, że był on „*wendrowcem* na pustyni Sahara, spostrzegającym strumyczek *wut przejżystych,* znajdowało się w piśmie jego parę ustępów, które, prosto i z głębi serca jego pochodząc, najsilniéj trafiły do serca i wyobraźni Żanci. „Czy pamiętasz pani — pisał — ów wieczór koncertowy, *kturego* wspomnienie dotąd jeszcze sprawia mi i *bul*, i szczęście nieopisane? Okryto mnie wtedy wstydem i pośmiewiskiem. Wszyscy *odwrucili* się ode mnie, TY jedna, Pani! miałaś dla nieszczęśliwego artysty *spujżenie* przyjazne i łzę litości *woku.* Niech Bóg najwyższy błogosławi CIĘ za to *spujżenie* i za tę łzę.

Był to klejnot cudowny, upadły na smutną drogę moję z serca Anioła!"

Żancia ukryła twarz w dłoniach i pochyliła głowę na kolana cioci Rózi.

— O, moja ciociu! — szeptała—czuję, wiem, że nie powinnam była czytać tego listu! coby też to mama powiedziała, żeby dowiedziała się!

— Śmiéj się z tego, kochańciu! twoja mama jest najzacniejszą i najmilszą w świecie osobą, ale, co prawda, zanadto przed tobą Boży świat zamyka. Cóż to? czy malusieńkie dziecko jesteś, albo co? ja, rybciu, w twoim wieku będąc, nie z jednym, ale z dziesięciu kawalerami korespondowałam, i cóż mi się tak bardzo złego stało? Ot, żyję sobie i zdrowa, chwała Bogu, jestem do tego czasu, i dobry humor mam, a choć mi młodych lat szkoda trochę, to przynajmniéj miłe wspomnienie po nich zostało...

— To prawda, ciociu — szeptało, trwogi swe uspakajając dziewczę — cóż mi się złego stać może przez to, że list *jego* przeczytałam? Żeby to kto wiedział o tém, to co innego... może-by to było nieprzyzwoitém dla dobrze wychowanéj panny, ale przecież nikt o tém, prócz *niego* i ciebie, ciociu, wiedziéć nie będzie...

Zwróciła na list oczy, łzą zaszłe, i mówiła daléj:

— On taki biédny, ciociu, taki nieszczęśliwy, nieuznany przez świat i ludzi! Odkąd żyje, słyszałam przecież zawsze, że najpiękniejszą w świecie rze-

czą jest poświęcenie! On poświęcił się dla sztuki, a jakąż mu za to świat dał nagrodę? Ledwie ma żyć z czego... mieszka w takiéj brzydkiéj, strasznéj izbie, w któréj-by doprawdy i nasz Ambroży nawet mieszkać chyba nie chciał. Nikt o nim nie mówi i nie pisze... nikt nie zna i nie ceni wyższych natchnień jego, nikt nie wié, jak gorąco kocha on sztukę, ile nocy może nie śpi dlatego, aby badać jéj tajemnice i nabierać w niéj wprawy i umiejętności. O! moja ciociu, ja takiéj niesprawiedliwości ludzkiéj znieść nie mogę!.. ja czuję nad nim taką, taką litość, że wolałabym, aby mama gniewała się na mnie, aby mnie świat nazwał źle wychowaną panną, niż okazać mu obojętność, którą on wziął-by może za pogardę...

Mówiła to na-pół z żalem, na-pół z zapałem. Podniosła potém głowę i dodała:

— Czyż nie powinnam, ciociu, dumną być i szczęśliwą, kiedy on pisze mi, że bytność moja u jego matki taką wielką przyniosła mu ulgę i pociechę; że współczucie i przyjaźń, które we mnie dojrzał, są „klejnotem, upadłym na smutną drogę jego..."

— Zkąd upadłym? zkąd? zkąd? — zaszczebiotała figlarnie pani Róża — czemuż nie dokończysz, rybciu? jak on tam napisał ten czuły Romulek? zkąd upadłym?

— Z serca anioła! — bardzo cicho, i w zamyśleniu patrząc na list, dokończyła Żancia, a dwa wyrazy

te, zestawione ze sobą, czyniły na nią widocznie głębokie wrażenie.

Nie byłoż z jéj strony dobrze i pięknie nieść pociechę człowiekowi, tak bardzo nieszczęśliwemu, nękanemu przez los i niesprawiedliwych ludzi? Nie byłoż zaszczytnie dla niéj siać klejnoty przyjaźni i współczucia na smutną drogę człowieka, który *poświęcał się,* a za swe poświęcenie otrzymywał samę tylko niewdzięczność ludzką? Nie był-że on zresztą najlepszym synem, najszlachetniejszym człowiekiem, najwznioślej czującym artystą? Zkąd czerpała pewność, że był on tém wszystkiém? nie próbowała nawet zapytać siebie o to, ale była pewną wysokich przymiotów jego, jak tego, że żyła. Przymioty te ukazały się jéj zapewne na śniadém, chmurném najczęściéj jego czole, w rozrzuconych bezładnie kruczych jego włosach, w ognistych i niespokojnych jego oczach. Kto wié? w hiszpańskim płaszczyku może i w tyrolskim kapeluszu, które, razem z innemi cechami jego postaci, odróżniały go od innych ludzi. Wyglądał inaczéj, poetyczniéj i romantyczniéj jakoś od wszystkich tych, których znała dotąd, musiał więc być lepszym, wznioślejszym, poetyczniejszym od nich. Był to wniosek jasny, jak słońce.

Nazajutrz, zaledwie szary świt dnia wniknął do pokoju Żanci, była już ona obudzoną i siedziała na swém posłaniu. Sięgnęła ręką pod poduszkę i, wydobywszy schowaną tam wczoraj drogocenną kartkę pa-

pieru, zaczęła znowu czytać wypisane na niéj wyrazy. Teraz, przy świetle dzienném uderzyła ją w liście tym rzecz, któréj wczoraj w zmieszaniu swém i wzruszeniu nie dostrzegła, uderzyła ją i bardzo niemile raziła ortografia listu tego, przypominająca mocno tradycyonalne utwory lokajów i prowentowych pisarzy. Córka Jana Brochwicza, znała dobrze rodzinny język swój. To téż każdy wyraz listu, w którym Roman Gotard, znakomicie uproszczając pisownią ojczystą, odrzucał litery wszelkie, kréskami lub ogonkami opatrzone, sprawiał jéj z razu niewypowiedzianą przykrość. Była to przecież przykrość zupełnie nieokreślona. Wstręt Żanci do niegramatycznego pisania Romana Gotarda był czysto instynktowny i nietylko, że nie trwał długo, ale ustąpił przed uczuciem gniewu i oburzenia, których przeciwko sobie saméj doświadczyła.

— Jakam ja niedobra, niegodziwa, próżna, żeby na takie drobnostki uwagę zwracać! nie umié gramatyki? i cóż ztąd? ja umiem ich cztery, a czy mi to dało przyjemność jaką, albo radość? gdzie tam! albo czy może lepszą jestem przez to, że je umiem? i to nie. Była-bym taka sama, jak jestem, choć-bym żadnéj nie umiała. Cóż więc to szkodzi, że on nie umié gramatyki? poświęcił się przecież dla rzeczy, tysiąc, milion razy piękniejszéj, wznioślejszéj, bo — dla sztuki!

W przyległym pokoju pani Róża chrapała, tuż

obok Żanci duegna jéj spała, jak zabita, dziewczę rozkosznie uczuło samotność i swobodę chwili. A tu biały świt dnia zagląda przez okno... Zarzuciła na siebie ranne ubranie i, wyskoczyszy z łóżka bosemi stopami, cichutko, i jakby z przyzwyczajenia, krokiem ukradkowym pobiegła ku oknu. W téj samej chwili ptaszek jakiś, zbudzony powstającém światłem, zerwał się z gniazda, zawieszonego pod gzémsem dachu, trzepocącemi skrzydłami uderzył o szybę, i świergocąc, poleciał między bezlistne drzewa ogrodu.

Stojąca przed oknem dziewczyna uśmiechnęła się do ptaszka radośnie i zarazem smutnie.

— Jak-bym ja chciała być ptaszkiem! — myślała — gdybym była ptaszkiem, zaraz-bym poleciała... a gdzie?

W myśli jéj zakręciła się odpowiedź: *do niego*.

Zapłonęła wstydem przed własną myślą, ale marzenie wzięło górę nad wstydliwemi przyzwyczajeniami.

— Zaśpiewała-bym pod *jego* oknem jakąś bardzo piękną piosenkę, aby *go* pocieszyć!

Litowała się wciąż w głębi serca nad wędrownym muzykiem i pragnęła mu nieść pociechę. Cóż dziwnego? pani Herminia lękała się niezmiernie dla skromności i poetyczności córki swéj widoku nędz i ran ludzkich, ku którym jednak sama śpieszyła często z chętną pomocą. Ale naprawdę, czyliż po-

dobna było wprowadzać młodą pannę do izb cuchnących, przedstawiać wstydliwemu jéj oku brudne posłania, na których jęczeli, zaledwie okryci łachmanami, chorzy nędzarze? czyliż podobna było niepokalaną i nieświadomą myśl jéj narażać na zetknięcie się z obrazami nędzy, nurtującéj te przepaściste głębie, w których żyją ludzie, przygnieceni brzemieniem bytu ciężkiego nad siły, jęczą kobiety chore i zbolałe, płaczą dzieci wpółnagie i głodne, w których wrą jadowite kłótnie, wzniecane biédą i goryczą, panują nałogi brzydkie, z ciemnoty zrodzone; albo też, wśród cieniów ubóztwa i niedoli, jaśnieją jak słońca, wysokie, choć ciche, cnoty cierpliwości, odwagi, wiecznie i w milczeniu bojującéj z nędzą nizkiéj, prozaicznéj, lecz w prozie swéj i poniżeniu bohaterskiéj, pracy? Nie! pokazywać to wszystko młodéj pannie było-by niepodobném; to też Żancia miała o tém wszystkiém czysto teoretyczną tylko wiadomość, zaczerpniętą z książek i opowiadań, czyli, że nie miała o tém wiadomości żadnéj. A jednak, młode i z natury dobre jéj serce, roztkliwione i rozanielone w dodatku mnóztwem panujących w życiu jéj żywiołów, gwałtem pragnęło litować się i pocieszać. Litowała się też nad „*wendrowcem* pustyni Sahary" i pragnęła go pocieszać. Było tam przecież w tém serduszku, oprócz litości, a może i w skutek litości, inne uczucie jakieś. Doświadczyła tego na sobie Drylska, która, otwierając ze snu oczy, ku nadzwyczajnemu

zdumieniu swemu, ujrzała Żancię, w białym *penioarze*, stojącą u okna ze złożonemi rękoma i oczyma podniesionemi ku błękitom nieba, śród których płynęło szybko parę białych obłoczków.

— Jakbym ja chciała być obłoczkiem! — marzyło dziewczę. — Gdybym była obłoczkiem, zawisłabym nad jego dachem...

— Jezu najmilszy! — w téj saméj chwili zawołała Drylska — a co to stało się paniuńci, że tak wcześnie zerwała się z łóżeczka? czy nie chora, broń Boże!

Wyrwana z marzeń dziewczyna, odwróciła się od okna i z ogniem jeszcze na policzkach, a z wilgocią w oku, wskoczyła na łóżko duegny, porwała ją za szyję i twarz jéj okryła mnóztwem szybkich, ognistych pocałunków.

— Zadusisz, paniuńciu! — wołała zachwycona i zarazem przestraszona panna służąca — dość już, dość tych całusów, dzieciątko moje! tchnąć już nie mogę, oj! oj! paniuńciu!

Było w istocie cóś dziwnie gwałtownego, namiętnego w uściskach, któremi tego ranka Żancia darzyła swoję duegnę; obdarzyła-by ona niemi zresztą każdą inną osobę, która-by w téj chwili znalazła się w jéj pobliżu,—mniéj nawet, niż osobę, bo pieska, kotka, ptaszka, kogokolwiek, na kogo mogła-by przelać tę falę uczucia, która wzdymała pierś jéj, w porze téj wolną jeszcze od gorsetu, skąpaną w upajają-

céj, bo rzadko zaznawanéj, ciszy i samotności, roznamiętnioną marzeniem...

Od dnia owego, żydek posługacz z zajazdu dość często zjawiał się w przedpokoju mieszkania Brochwiczów, zawsze z listem, do pani Róży zaadresowanym. Naturalnie, nikomu w domu tym na myśl nie przyszło zaciekawić się lub zapytać, kto był tak częstym korespondentem młodéj staruszki. Ona zaś otwierała zwykle kopertę, mrugając oczyma, uśmiechając się i ze łzami prawie rozczulenia szepcąc o tym biednym Romulku, który tak po uszy *zaczłapał się* w jéj Żanetce. W gruncie duszy ex-lwica rozpływała się z zadowolenia, z którego nie zdawała nawet sprawy przed sobą. Jak ryba w wodzie, kąpała się w ulubionym swym romantycznym żywiole, który przypominał własne jéj młode lata i udzielał pożywy ruchliwéj jéj wyobraźni. Nie zapytała zresztą siebie ani razu, jaki może być ostateczny wypadek romantycznéj intryżki, któréj nicią bawiły się jéj pulchne białe ręce.

— Niech pobawi się biedna dziecina — szeptała do siebie, ilekroć przychodziło jéj wręczać podług adresu pismo Romana Gotarda, — niech pobawi się rybka moja! nie zaznało to jeszcze życia, nie odetchnęło jeszcze ni razu swobodnie!

Zaznać życia i odetchnąć swobodnie, znaczyło to naturalnie, w pojęciu pani Róży, kochać się na zabój, lub w ostateczności choćby na żart. Ponieważ zaś młoda staruszka coraz mocniéj i serdeczniéj przywią-

zywała się do Żanci, która jednała ją dla siebie pokorą swą, czułością i przywiązaniem, pragnęła więc dla niéj tego, co uznawała sama za najpiękniejszą ozdobę życia, za kwiat młodości i najwyższą jéj uciechę. Dziwniejsza już z pozoru rzecz była w tém, że wpływ pani Róży, jéj figlarnego uśmiechu i szeptu, na Żancią tak silnym stał się; że ona, ona, tak skromna dotąd, lękliwa i wstydliwa, z bardzo małém już zawstydzeniem, a wielką zawsze ciekawością i większém jeszcze wzruszeniem, otwierała listy, pisane do niéj przez, jak wyrażała się pani Róża, młodego kawalera. Było to przecież niczém więcéj, jak wynikiem bardzo prostéj, choć mało znanéj prawdy, że istoty ludzkiéj, która choćby raz uczuła w sobie samowiedną, ludzką wolę, ustrzedz nie zdoła nikt, prócz niéj saméj. Dowodziło to także niezmiernéj kruchości téj budowy, którą tak pracowicie wznosiła pani Herminia, a którą lada słowo sprzeczne z jéj słowami, lada chwila marzenia, lada instynkt podnoszący się z głębi młodzieńczéj piersi, w niwecz obrócić mogły, nie znajdując dostatecznego oporu w biernych cnotach ślepéj wiary i niemego posłuszeństwa.

Bądź co bądź, onych listów, przez żydka pod adresem pani Róży przenoszonych, było kilka; a napełniały je wciąż same niewinne wielce wykrzykniki, ponure opisy pustyni Sahary, pełne zachwytów wzmianki o bozkiéj sztuce, poniewieranéj przez zmateryalizowaną ludzkość dziewiętnastego wieku, przysięgi, skła-

dane na ołtarzu, na którym od pewnego czasu zajaśniała przed oczyma nieszczęśliwego artysty polarna gwiazda w postaci ziemskiego anioła...

Z tego wszystkiego tworzyły się pewne ustępy, które obojętnemu czytelnikowi musiały-by koniecznie przywołać przed wyobraźnią twórcę ich, gryzącego pióro w zębach wśród wielkiéj posuchy umysłowéj i rozrzucającego sobie włosy na głowie z rozpaczy, że, pragnąc napisać coś, nie wiedział, coby miał pisać. Nie mniéj jednak pani Róża znajdowała zawsze ustępy te bardzo górnemi i takiemi, kochańciu! że choć je do druku podawać było; Żancia zaś czytała je nie oczyma i rozumem, ale sercem litującém się i rozognioną wyobraźnią. Porównanie jéj do gwiazdy polarnéj zachwyciło ją, wzruszyło i... napełniło dumą.

— A więc — pomyślała — jestem dla niego gwiazdą przewodnią i nie tylko już samą pociechą, ale i dźwignią, wsparciem, natchnieniem. Kto wié? przyczynię się może do tego, że stworzy on arcydzieło jakie!—Koło przecież, raz w bieg wprawione, toczy się już potém siłą własnego rozpędu. W czwartym czy piątym liście wędrownego artysty znalazło się słowo, którego w poprzednich ni razu jeszcze nie było, piorunujące słowo — „miłość.” Czy, uzuchwalony przyjęciem, jakiego pisma jego doznawały u młodéj dziewczyny, uznał on z rozwagą, że słowo to bez niebezpieczeństwa nakreślić już może? czy,

roznamiętniony także tajemniczością stosunku, rozmarzony ponętną postacią dziewiczą, którą nieustannie widywał przed swą wyobraźnią, nakreślił on je w chwili rzewności, lub uniesienia? było tam zapewne i jedno i drugie, cechą bowiem najwybitniéj odznaczającą go było to, że nieprzytomny prawie szał, panujący nad jego życiem, nie wyłączał w nim chłodnego wyrachowania, że w kobiecie, która była przedmiotem czułych marzeń jego i ambitnych rojeń, widział i ziemskiego anioła, i zarazem „bogatą pannę." Nakreślił tedy słowo „miłość." Była to naturalnie „miłość czysta, jak kropla rosy, niewinna, bezinteresowna, miłość *dwuch* dusz *rozłonczonych* na ziemi, ale *kture* Bóg stworzył jednę dla drugiéj; miłość taka, na *kturą* śmiało patrzéć mogą gwiazdy i Aniołowie i cieszyć się..." Niemniéj jednak słowo to, jak grom, uderzyło Żańcię i, jak błyskawica, wpadło do piersi jéj i głowy. W piérwszém mgnieniu oka przyzwyczajenia przemogły; uczuła się obrażoną, gniewną prawie, chociaż nic a nic nie wiedziała, za co się gniewa. Potém zalała się rzesistemi łzami, (było to, jak zwykle, o późnéj godzinie, sam-na-sam z panią Różą); potém, położywszy się do łóżka, spać nie mogła, przez noc całą; wstała nazajutrz znużona, zgorączkowana, a przedewszystkiém szarpana straszną niepewnością tego, co uczynić powinna. List bowiem Romana Gotarda kończył się wyznaniem *niewymuwnéj* trwogi, uczuwanéj przed tém, że, rozgniewany zu-

chwalstwem jego, Anioł odwrócić od niego może swe promienne oblicze, że zgaśnie dla niego tedy na zawsze polarna gwiazda, a on pozostanie znowu w ciemnościach, jak *okrent* bez kotwicy, jak *łutka* bez sternika, i t. d. „Jeżeli o Pani!!! — pisał rozpoetyzowany muzyk, — w sercu TWOJEM jest choć kropla litości nad tym, nad *kturego* losem kiedyś łzę uroniłaś, jeżeli pod popiołami nieszczęsnéj méj doli palić się może jeszcze iskierka życzliwości TWEGO serca dla mnie, daj mi Pani dowód, że *gnief* nie zastąpił w TWEM sercu *spułczucia, kture* jest dla mnie kroplą rosy ożywczéj, i ukaż mi się, o Anielska ISTOTO, choć na jednę chwilę, gdy jutro wstąpię w wyniosłe progi TWOICH Jaśnie Wielmożnych Rodziców! Jeżeli CIĘ, o Pani!!!! jutro nie zobaczę, Ideał *muj* spadnie z piedestału, gwiazda moja zgaśnie i *pujdę znuf* samotny na rozłogi niegodziwego świata tego, *dopuki* zimna mogiła nie przykryje serca, *kture* bije dla CIEBIE, Pani! z mocą, *kturej* żadne *potengi* ziemskie zgłuszyć nie potrafią."

Co tu czynić? Ukazać się? wstyd jakoś, straszno, trudno! Nie ukazać się? a więc przeszyć boleścią *jego* serce, spaść z piedestału, zgasić gwiazdę polarną, dać może dowód, że córka Jaśnie Wielmożnych Rodziców (dla czego wypisał on tu ten szumny tytuł?) pogardza ofiarą serca nieuznanego artysty?—Wśród wszystkich uczuć, jakie ją oblegały, młoda dziewczyna nie zdawała sobie sprawy z tego,

jak bardzo sama pragnęła w dniu tym zobaczyć człowieka, który stał wciąż przed jéj wyobraźnią na postumencie, zbudowanym ze wszelkich cnót idealnych, w szacie utkanéj z najwznioślejszych uczuć i niezasłużonych cierpień.

Około południa Żancia siedziała w bawialnym salonie o parę kroków od matki swéj, czytającéj książkę. Siedziała nad krosienkami i wyszywała na kanwie szlak z arabesków. Powiedziano jéj przed kilku dniami, że powinna była własnemi rękoma utworzyć podarek jakiś dla przyszłéj bratowéj i kazano wyszywać poduszkę. Dostała kanwę, deseń, włóczki i rozpoczęła robotę, któréj, pomimo, że podobnemi robotami trudniła się od dzieciństwa, polubić nie mogła. W dniu tym szczególniéj machinalne liczenie ściegów i niewolnicze naśladowanie deseniu nużyło ją niewypowiedzianie, dręczyło, dławiło niemal. Czuła się dnia tego w takiém usposobieniu, że, gdyby mogła, gdyby miała prawo uczynić to, z najwyższą rozkoszą rzuciła-by się w fale świeżego powietrza, biegła-by kędyś w pole, na przestrzeń otwartą, gdzie szumią wiatry, ochładzające rozgorzałe czoła, gdzie brzmi pieśń swobodnego ptaszka, kojąca niespokojne serca. Uczuwała gwałtowną potrzebę ruchu dla ciała, zajęcia jakiegoś dla głowy, zajęcia, śród którego mogła-by uspokoić się, ochłonąć z wrażeń doznanych, zapomnićć o nich na chwilę,

aby potém trzeźwiéj, jaśniéj pomyśléć o tém, co czynić jéj wypada.

Siedziała przy oknie, schylona nad krośnami. Cała energia młodzieńczéj jéj istoty, dławiona w niéj milczeniem i nieruchomością, niby płyn burzliwy w zamkniętém naczyniu, rozpierała jéj pierś, którą, dolegliwiéj niż kiedy, uciskały dziś rogi i sznurki gorsetu; co chwila palącą falą krew uderzała jéj do policzków i skroni, a wtedy kolory włóczki, leżącéj przed nią, mieniły się w jéj oczach i oczka kanwy zdawały się skakać w zawrotnym tańcu.

Od chwili do chwili jednak spoglądała przez okno na ulicę. Nagle powstała i zmierzała ku drzwiom salonu:

— Dokąd idziesz, Żanciu?—zapytała natychmiast pani Herminia, podnosząc twarz z nad książki.

Żancia przy drzwiach już stanęła ze spuszczonemi oczyma.

— Idę po włóczkę, mamo.

— Dokąd?

— Do mego pokoju.

— Zkądże tam włóczka być może?

— Zaniosłam tam z rana parę splątanych pasemek, aby je rozplątać.

Pani Herminia skinęła głową na znak zezwolenia.

O, jakże wprawnie, jak często i bez zająknienia kłamać umieją ziemskie anioły! Młoda dziewczyna,

wychowana przez panią Herminią na ziemskiego anioła, nie poszła ani do pokoju swego, ani po włóczkę, któréj jednak parę pasemek, przez chytrość i przebiegłość wcale nieanielską, zaniosła z rana na górę. Wbiegła na wschody, ztamtąd na kurytarzyk, odgradzający pokoje jéj od pokojów młodszych braci, i stanęła, drżąca cała, blada, z trwogą w źrenicach, z dłońmi przyciśniętemi do wzdymającéj się piersi... Po chwili ozwały się na wschodach kroki męzkie; Roman Gotard ukazał się w drzwiach kurytarzyka. Miał na sobie hiszpański swój płaszczyk, tyrolski kapelusz trzymał w ręku; wzrok jego pałający, niespokojny, spotkał się z drżącą postacią dziewczyny, i z ust wydarł się stłumiony okrzyk, w którym zadźwięczała wyraźnie namiętna radość. Ale i ona także na widok jego odzyskała siły, które zdawały się ją opuszczać. Dzieliło ich parę kroków tylko. On patrzał na nią błagalnie, trwożnie, pokornie i namiętnie. Ona zbliżyła się i, odrywając od fałd błękitnéj jak niebo sukienki, drobną, drżącą rękę, wyciągnęła ją ku niemu. W téj chwili w głębi kurytarzyka skrzypnęły drzwi jakieś. Żancia drgnęła, Roman Gotard odskoczył i postąpił szybko ku drzwiom, za któremi brzmiała minorowa gama, wygrywana przez jednego z jego uczniów. Ale jakkolwiek krótką była chwila wzajemnego ich porozumienia, ona miała czas uczuć na swéj ręce palące gorąco dłoni jego, on mógł przez parę sekund

ogniste oczy swe zatopić w piwnych jéj źrenicach, w których dawne złote iskierki rozgorzały w płomienie.

— Kocha mię — myślał Roman Gotard, siadając obok ucznia swego przy fortepianie, a na myśl tę uczuł radość wielką, lecz większą jeszcze dumę.

— Kocha mię—myślała Żancia, wbiegając do pokoju swego i rozpalone czoło ujmując w dłonie. Myśl ta sprawiła jéj zawrót głowy, a w całéj istocie jéj wznieciła niepojęte jakieś bóle i rozkosze, pragnienia i trwogi.

W kilka minut potém wchodziła do salonu z dwoma pasemkami włóczki w ręku, ze źrenicami ukrytemi pod zasłoną spuszczonych powiek, blada trochę, ale sztywna, niewinna i dziecięco dziewicza, jak zawsze.

Dnia tego przed zmrokiem, pani Herminia, na-pół z zachwyceniem, na-pół ze zdziwieniem, słuchała głosu córki swéj, śpiewającéj przy fortepianie. Żancia zwykle o téj godzinie exercytowała się w śpiewie. Ale dziś nie było to wcale exercytowanie się nieumiejętnéj i nieśmiałéj uczennicy. Śpiewała jakąś wielką miłosną aryą włoską. Dotąd nie rozumiała może dokładnie wyrazów jéj i tonów. Dziś zrozumiała je. Głos jéj rozchodził się po obszernych pokojach z dziwną siłą i pełnią brzmienia, chwilami dźwięczał przeczysty, srebrny, drżący tkliwością, rzewnością bez granic; chwilami wybuchać

zdawał się z jéj piersi gwałtem jakimś nieposkromionym, namiętnością, pełną energii, nieokreślonych pragnień, palącego bólu.

Pani Herminia słuchała i własnym uszom nie wierzyła. Nie przypuszczała nigdy, aby drobna pierś jéj córki wydawać mogła tak silne, pełne brzmienia, aby śpiew jéj mógł być tak potężnym i porywającym. Było jednak w tym śpiewie coś, czego nie rozumiała dobrze, lecz co nie podobało się jéj, przestraszało ją niemal.

— Żanciu! — zawołała nakoniec z przyległego pokoju — śpiewasz dziś dobrze, ale zanadto przejmujesz się tą aryą. Słysząc cię, można-by myśléć, że to śpiew jakiéjś prymadonny z teatru. *Ça choque!* Młoda panna powinna i w śpiewie nawet strzedz się wszelkiéj exaltacyi i zbytecznego podnoszenia głosu.

Młoda śpiewaczka, głosem tym wyrwana z gorącéj fali muzycznych tonów i własnych swych myśli, zsunęła ręce z klawiszy i umilkła. Po chwili znowu śpiewać zaczęła, ale gdy, posłuszna zaleceniu matki, śpiewała ciszéj już i powściągliwiéj, brwi jéj drgały zniecierpliwieniem i niechęcią, a w oczach błyskał śród zmroku ogień buntowniczych myśli.

Tego samego dnia i wieczoru, u pana Darzyca ojca grano w karty. Gra zresztą taka, dzienna i wieczorna, nie była w tém miejscu niczém ani osobliwém, ani zdrożném. U pana Darzyca bowiem, ilekroć bawił on w mieście, a bawił w niém daleko czę-

ściéj, niż na wsi, grano zawsze w karty. Było to rzeczą tak powszechnie wiadomą i przyjętą w kole jego znajomych, że czynić nad nią jakiekolwiek komentarze wydawało-by się dla tych znajomych tém samém, co krytykować kulę ziemską za to, że obraca się około swéj osi. Zielone stoliki przecież, których zawsze stało tu otworem kilka, niekiedy zaś, w czasach wielkiéj karystyi na przybywających do miasta obywateli wiejskich, dwa, lub trzy tylko, otoczone były najsurowszemi regułami najściślejszego honoru i dobrego tonu. Nie było tu nigdy ani zapamiętałości, ani gniewnych, lub radosnych wykrzyków, ani, broń Boże, najlżejszego choćby fałszu, rzadko bardzo nawet pojawiał się hazard, i nigdy prawie nie przychodziło do przegrywania i wygrywania sum znacznych; ale wszystko odbywało się cicho, grzecznie, uczciwie, w granicach gier tak zwanych komersyjnych, w których ludzie, oddający się im, oprócz czasu zabitego i szczęk od poziewania nadwerężonych, żadnych strat nie ponosili. Dlaczego grali, skoro, grając, poziewali? Było to ich tajemnicą. Prawdopodobnie dlatego, że poziewanie uważali za najmniéj jeszcze utrudzającą robotę ze wszystkich robót, które leżały w zakresie zwykłéj ich działalności. To tylko pewna, że sam gospodarz onego grającego domu, grając, nie poziewał nigdy. Nie uganiał się on wcale za zyskiem w grze, ale miłował sztukę dla sztuki, i przywykł do niéj od najwcześniejszéj młodości, tak

jak do herbaty, którą nieustannie popijał, do rannych swych i wieczornych pantofli i fajki, osadzonéj na krótkim cybuszku z bursztynem.

Z synów pan Darzyc w najmilszéj zabawie swéj towarzyszy nie miał. Młodszy z nich, Adam, od powrotu z za granicy, gdzie parę lat bawił i zapewne trochę nazbyt bawił się, ciągle chorował; młodszy, Artur, od powrotu z uniwersytetu, który z przedostatniego kursu opuścił, ciągle czytał. Piérwszy jednak, pomimo ciągłych katarów, fluxyi i nerwowych gorączek, które mu czas pochłaniały, poczynał już trochę wkładać się do ojcowskiego trybu bawienia się i życia; drugi za to nie dawał dotychczas pod tym względem nadziei żadnych. Artur Darzyc, tak jak i Maryan Brochwicz, przedstawiał sobą wzór dla rówieśnéj młodzieży obywatelskiéj, i tak, jak Maryan, reprezentował najwyższą sumę przymiotów, dla młodzieży téj dostępnych. Nie grał w karty, nie pił, hulanek żadnych nie lubił, pieniędzy nie tracił, żebraków wspierał, z bratem podzielił się spadkiem, po matce otrzymanym, uczciwie i zgodnie, a o wzięciu się do gospodarstwa na folwarku swym, który dotąd oddawał w dzierżawę, od lat kilku stale zamyślał. Czytał tylko więcéj jeszcze daleko od młodego Brochwicza; tu i owdzie przebąkiwano, że nawet coś pisał, co zresztą wydawało się rzeczą prawdopodobną każdemu, kto patrzał na poważną nad wiek jego po-

stawę i twarz nieładną, lecz nacechowaną wyrazem dość szlachetnym i myślącym.

Owóż po całodzienném i całowieczorném graniu i poziewaniu, goście pana Darzyca rozeszli się tak, jak przyszli, nic nie zyskawszy prócz dnia przepędzonego, i nic nie utraciwszy, prócz również dnia zabitego; drobne bowiem kilkunastorublowe sumy, które z kolei przegrywali i wygrywali między sobą przez całe życie, niby podrostki rzucający i odrzucający piłkę, nie znaczyły nic a nic. Większy już wydatek ponosili na cygara, których bardzo wiele palili, w celu zapewne zabezpieczenia się od uśnięcia nad przyjemną zabawą. Dymu téż cygarowego było w obszernym pokoju bawialnym pana Darzyca tak wiele, że postać przechadzającego się po nim Artura zdawała się wciąż wyłaniać z obłoków i ukrywać we mgle. A jednak, pomimo téj obfitości tytuniowych wyziewów, Artur palił jeszcze cygaro, palił téż fajeczkę swą, na krótkim cybuszku osadzoną, i pan Darzyc ojciec. Na trzech otwartych zielonych stolikach stało jeszcze po dwie zapalone świece, leżały rozrzucone karty i rozpościerały się nakreślone kredą długie rzędy cyfr, które ktoś nieświadomy mógł-by wziąć za kabalistyczne znaki.

Pan Darzyc ojciec siedział w głębokim fotelu i czekał na swego przybocznego lokaja, który towarzyszył odchodzącym gościom na wschody. Wszedł nakoniec ze szklanką herbaty na tacy, którą postawił

przed panem swym, pozamykał stoliki, ukląkł, ściągnął z nóg swego pana obuwie, zastąpił je pantoflami, tuż przy łokciu jego położył woreczek z tytuniem i odszedł na palcach.

Pan Darzyc spoczywał po całodziennych trudach, a ktokolwiek, nieświadomy spraw jego życia, patrzałby na niego, nigdy nie mógł-by odgadnąć, jakiemi były te trudy. Powierzchowność bowiem tego człowieka była poważną, dumną, na piérwszy zaraz rzut oka uszanowanie nakazującą. Wysoki, barczysty, atletycznie zbudowany, miał on czoło wypukłe i szerokie, powiększone jeszcze znaczném wyłysieniem, oko duże, brwią szeroką i siwiejącą ocienione, wąs siwiejący téż, zawiesisty — szlachecki. Spójrzawszy raz na człowieka tego, rzekł-byś, że są w nim ogromne zasoby sił fizycznych, że pod tém czołem wielkiém muszą być wielkie téż umysłowe zdolności, że powaga, malująca się w łuku tych brwi gęstych, i siła, cechująca postawę wyniosłą, muszą być śladami i znamionami silnych czynów, poważnego życia. Po bliższém dopiéro przyjrzeniu się, poznać można było omyłkę natury, która wyciosała kolos ten dlatego, aby przez całe życie trudnił się kreśleniem kabalistycznych znaków na zieloném suknie, a bardziéj jeszcze owoc przyzwyczajeń, które zgnębiły mózg ten, mieszkający pod szeroką czaszką...

Gdy lokaj, wykonawszy obowiązkowe swe cowie-

czorne czynności, opuścił pokój, Artur Darzyc wyłonił się z obłoków dymu i stanął przed ojcem.

— Papo — rzekł — chciał-bym z papą pomówić...

— O czém-że to, Arturku? — wypłynęło z pod sumiastych wąsów zapytanie, wnet stłumione ziewnięciem.

Darzyc ojciec z powodu preferansa, wista i geryłasza, odwykł zupełnie od mówienia. W chwilach zato wolnych od tych zatrudnień, przywykł poziewać...

— Pragnął-bym jutro oświadczyć się o rękę panny Brochwiczówny...

Darzyc ojciec nie ziewnął tym razem, wyjął nawet z ust cybuszek, i z pod olimpijskich brwi swych spójrzał na syna bardzo przychylnie.

— A czemuż nie, Arturku? czemuż nie? Wiész dobrze, że jest to oddawna mojém własném życzeniem. Pan Jan najzacniejszy człowiek... grywamy z sobą rzadko, bo dziwak nie lubi preferansa, ale poważam go bardzo... podobno tam braciszek ewikcyonował siostrze na Brochowie sto pięćdziesiąt tysięcy złotych... co? nie słyszałeś?

— Słyszałem — odparł Artur — ale nic mnie to wcale nie obchodzi.

Sumiaste wąsy podniosły się znowu poziewaniem.

— Czy myślisz, że jesteś Krezusem, Arturku?

Artur zniknął na chwilę w obłoku, poczém, wypływając znowu na przestrzeń, rozjaśnioną światłem lampy, rzekł:

— Nic mnie to nie obchodzi, papo, bo kocham prawdziwie pannę Joannę i ożenił-bym się z nią, gdyby nie miała nawet ani grosza.

Rzekł to z mocą i uczuciem. Widać to było z wyłrazu twarzy jego ożywionéj i wzruszonéj, że mówi prawdę.

— No, dobrze, dobrze, Arturku, ależ zdadzą c się przecie i pieniążki. . ja się tam w wasze interesai nie wdaję, jesteście pełnoletni, wzięliście majątek po matce i urządzacie się, jak sami chcecie; ale słyszałem... obiło się coś o moje uszy, że ci dzierżawca strasźliwie Kwiecin zrujnował...

Artur oddawna pogrążonym już był we mgle tytuniowéj i nieprędko wypłynął z obłoku. Wypłynął zaś z twarzą markotną nieco.

— Jest w tém trochę prawdy, papo — rzekł — ale nie potrwa to długo. Myślę już stanowczo wziąć się sam do gospodarstwa. Wprzódy jednak chcę upewnić się co do spraw mego serca. Panna Joanna podoba mi się niewymownie. Trzeba przyznać, że pani Brochowiczowa wychowała córkę swą tak, jak u nas tylko wychowywać młode panny umieją. Niewinna jak anioł, skromna, łagodna, uległa, obdarzona przytém wcale pięknym talentem do śpiewu, pan-

na Joanna posiada wszystko, co może uszczęśliwić mężczyznę, uczynić mu z domu raj ciszy i poezyi. Nie ma ona ani tak zwanego wyrobionego charakteru, który mógł-by oprzéć się kształcącéj ją ręce męzkiéj, ani téj chorobliwéj exaltacyi, która tyle kobiet doprowadza do smutnych awantur i upadków. Ten, kto zostanie jéj mężem, będzie miał w swych ręku bogaty a nienaruszony, dziewiczy materyał.

— Materyał na co? — zapytał pan Darzyc ojciec.

— Materyał na żonę — z powagą odpowiedział Artur.

Żartobliwy uśmiech przesunął się pod sumiastym wąsem.

— To ty, Arturku, nie żony chcesz, ale materyału na żonę?

— Materyału, papo, któremu nadam taki kształt i kierunek, jaki utworzyć może najlepszą dla mnie żonę.

— No dobrze, dobrze! więc oświadcz się!

— Chciałem właśnie prosić cię, papo, abyś w tym celu pojechał jutro wraz ze mną do państwa Brochwiczów.

Olimpijskie brwi zsunęły się z zakłopotaniem.

— A o któréj godzinie?

— Naturalnie o piérwszéj po południu, lub najpóźniéj o trzeciéj. Są to godziny wizytowe...

— A czy ja tam, Arturku, mam czas pamiętać

o waszych wizytowych godzinach? Zaprosiłem na jutro gości na preferansa...

— Pograją może sami przez pół godziny...

— A cóż robić? pograją sami. Naturalnie, że gdy idzie o rzecz tak ważną dla ciebie, pojadę...

W skutek powyższéj rozmowy, Żancia wpadła nazajutrz około godziny drugiéj z południa do pokoju pani Róży, blada, z wystraszonemi oczyma. Pani Róża wybierała się do miasta i kładła na głowę kapelusz, zobaczywszy przecież w lustrze zmienioną twarz swéj ulubienicy, zwróciła się ku niéj co żywo.

— Co to? co ci jest? czegoś się tak przelękła, rybeńko moja.

Żancia przypadła do niéj bez tchu prawie i schwyciła ją za obie ręce.

— Ciociu! ciociu! ja nieszczęśliwa! co ja teraz zrobię? Pan Darzyc przyjechał z synem i... oświadczają się teraz o mnie mamie i ojcu...

— Zkąd wiész, rybciu, że oświadczają się... może to tylko tak sobie... wizyta?

— Nie, nie! tacy poważni obaj... stary Darzyc zupełnie taką samę ma minę, jak miał ojciec, kiedy jechał do pani Natalskiéj oświadczać się za Maryana o Tośkę; a pan Artur, wchodząc, tak jakoś dziwnie na mnie spójrzał, jak nigdy... I mama także poznała, że przyjechali oświadczać się, bo widziałam dobrze, że była bardzo kontenta, a mnie powiedziała za-

raz pocichu, żebym szła do mego pokoju i tłómaczyła tymczasem z francuzkiego... O! mój Boże! czyż można wymagać od kogoś, aby tłómaczył z francuzkiego w takiéj okropnéj chwili... Co ja pocznę? co ja nieszczęśliwa teraz pocznę?

Załamała drobne ręce i stała przed ciocią Rózią ze spuszczoną głową, jak posąg rozpaczy i trwogi.

— Czegoż tak alterujesz się, rybko moja? ja tu wcale nie widzę takiego wielkiego nieszczęścia. No, pójdziesz za Arturka i koniec! bardzo przyzwoity kawaler i zakochany w tobie po uszy... obserwowałam to nieraz...

Żancia podniosła głowę i ze zdumieniem, z obrazą widoczną, spójrzała na panią Różę.

— Mam iść za pana Artura? — wymówiła z niezwykłą powagą — ciociu... a *to* co?

Przy ostatnich wyrazach dotknęła dłonią stanika sukni, za którym zaszeleściał papier. Pani Róża wiedziała snadź, jakie to były kartki, które, spoczywając na sercu dziewczyny, odgłos ten wydały.

— Co? Romulek? — rzekła z namysłem — no, zmartwi się biedactwo... może i pochoruje trochę ze zgryzoty, ale, jak zobaczy, że jesteś już panią Arturową, to i wyperswaduje sobie...

— Ja nie chcę, ciociu! — zawołała dziewczyna z taką mocą, z takim wybuchem, że pani Róża z osłupieniem z razu spójrzała na nią. — Ja nie chcę, żeby

on martwił się przeze mnie!.. ja nie chcę, żeby wyperswadował sobie!.. ja nie chcę być panią Arturową!.. nie chcę... nie chcę!..

Mówiąc to, uderzała pięścią jednéj ręki o dłoń drugiéj; uniesienie jéj miało w sobie coś z dziecinnego rozżalenia i rozgniewania. Przy ostatnich wyrazach łzy popłynęły z jéj oczu. Pani Róża, przestraszona trochę, chwyciła ją w objęcia.

— No, pocóż płaczesz, rybciu? powiedz mamie, że nie chcesz i koniec...

— Powiem! — rzekła dziewczyna, prostując się energicznie — powiem, powiem! —powtarzała, siadając na nizkim stołku — niech tylko mama zapyta mnie, czy chcę? powiem z pewnością: nie chcę! nie chcę! nie chcę!

W kwadrans potém, dał się słyszéć w bramie domu turkot odjeżdżającego powozu, i w téjże saméj prawie chwili, do pokojów, położonych na piérwszém piętrze domu, wbiegła Drylska.

— Panienko! — zawołała — pani panienkę prosi do salonu!

Po bawialnym salonie pani Herminia przechadzała się wyprostowana, uroczysta. Bliższe przyjrzenie się mogło-by ukazać w twarzy jéj bardzo żywe zadowolenie, z pozoru jednak wyglądała tak sztywnie i surowo, jak zawsze. Żancia szła z wolna i ze schyloną głową stanęła przed matką. Pani Herminia

wzięła rękę jéj w swoję, i po chwili milczenia, namysłu, mówić zaczęła:

— Mam ci do powiedzenia, Żanciu, rzecz ważną. Pan Artur Darzyc oświadczył się dziś o ciebie, a ja i ojciec twój przyrzekliśmy mu twoję rękę...

Gdy pani Herminia wymawiała słowo: przyrzekliśmy, Żancia drgnęła całém ciałem i szybko podniosła głowę. Było to poruszenie przestrachu i oburzenia, ale pani Herminia innym wcale przypisała je uczuciom, i uśmiechnęła się nieznacznie, ze skrytém zadowoleniem.

— *Tu n'es plus une si jeune enfant*, Żanciu, aby ci matka o pewnych rzeczach mówić nie mogła. Przeznaczeniem kobiety jest wyjść za mąż. Oświadczenie się pana Artura sprawiło nam, przez wzgląd na przyszły los twój, żywą radość, to téż nad przyjęciem go nie wahaliśmy się ani przez chwilę...

Usta Żanci drgnęły i poruszyły się.

— Mamo... — szepnęła.

— Co, moja droga?

Nie było odpowiedzi. Oczy dziewczyny spotkały się ze wzrokiem matki, głowa jéj pochyliła się znowu i usta zamknęły.

— Dziś brat twój wróci z Warszawy. Za trzy dni odbędzie się ślub jego z panną Natalską. Umyśliliśmy w tym samym dniu zaręczyć cię z panem Arturem.

Przy ostatnich wyrazach, pani Herminia pochyli-

ła się i ustami dotknęła pochylonego czoła córki. Dziewczyna, uczuwszy na czole swém usta matki, podniosła znowu głowę.

— Mamo... — szepnęła znowu.

Ale tym razem pani Herminia nie słyszała już wcale szeptu tego, szybko bowiem odwróciła się, aby ukryć przed Żancią łzę, która zwilżyła jéj oko. Zdradzać się w téj chwili z rozrzewnieniem, było-by to dawać młodéj pannie zły przykład exaltacyi i jawnego okazywania swych uczuć. O! gdyby pani Herminia wiedziéć mogła, jakie uczucia skrycie nurtowały pierś jéj córki, jakie słowa gorzkie, buntownicze, drżały w téj chwili na ustach jéj, zamkniętych nieśmiałością, tak starannie w charakterze jéj wyrabianą, powstrzymywanych rodzajem świętego przestrachu, jakiego doznawała zawsze, gdy stała przed obliczem swéj matki! Ale pani Herminia wiedziała o tém tylko, że córka jéj była dziewicą niewinną i skromną, że serce jéj niepokalane ukochać musi tego, kogo na męża wybrali jéj rodzice, że wola jéj giętka, woskowa, uległe i chętnie zgodzi się z wolą tych, których oczyma patrzała dotąd, których głowami myślała, a sercami czuła...

Tego samego dnia nad wieczór przyjechał Maryan; dom cały zawrzał przygotowaniami do tak bliz-kiéj już zabawy weselnéj, która, jak ułożyli sobie państwo Brochwiczowie, zdwojoną i uświetnioną być miała uroczystemi zaręczynami ich córki.

* * *

Zabawa weselna, która nastąpiła w domu Brochwiczów zaraz po odbytym ślubie Maryana z Teofilą, podobną była zupełnie do wszystkich tego rodzaju zabaw. Było tam w kilku ładnie przystrojonych pokojach wiele lamp i świec zapalonych, czarnych fraków, białych krawatów, mirtowych bukietów, strojnych sukien kobiecych, głośnych powinszowań, cichych komentarzy, śmiechu, rozmów, gwaru, tańców i muzyki. Wszystko to było zupełnie zwyczajne i pospolite, zwyczajnie też i pospolicie wyglądali oboje państwo młodzi i, jak wprzódy przedstawiali się bardzo przyzwoitymi narzeczonymi, tak teraz, jako nowożeńcy, niczém szczególném nie zwracali na siebie powszechnéj uwagi. Teofila w ślubnym śnieżnym stroju wyglądała pięknie i poważnie, przy ślubie nie płakała, po ślubie tańczyła trochę, chociaż więcéj daleko przebywała w gronie dam poważnych, pomiędzy któremi szczęśliwa i rozpromieniona znajdowała się się jéj matka. Maryan bledszy był trochę, niż zazwyczaj, ale ktoż dziwić się może bladości człowieka, zostającego pod wpływem tak uroczystego aktu, i wszystkich przypuszczalnie z aktem tym łączących się uczuć? Ku niezmiernemu zadowoleniu obecnych, państwo młodzi przetańczyli ze sobą piérwszego kadryla. Potém rozeszli się — i więcéj nie widziano już ich razem, ale przecież... pan młody zajmować

musiał gości, rozweselać liczne grono zebranych rówieśników, a panna młoda, przez bardzo naturalną wstydliwość i czułość, trzymała się boku swéj matki.

Pomiędzy znaczną liczbą czarnych fraków i białych krawatów znajdował się tam także wytarty trochę frak, i macierzyńską ręką bardzo starannie wykrochmalony, a przez właściciela swego w fantastyczny węzeł związany, krawat Romana Gotarda. Nie zaprosić na zabawę weselną człowieka, który, bywając codziennie w domu, nie mógł nie wiedzieć, co w domu tym dzieje się i przygotowuje, wydało się państwu Brochwiczom rzeczą nieprzyzwoitą, tém bardziéj, że człowiek ten był młodym, a więc prawdopodobnie ochotnym do zabawy, i ubogim, a więc mogącym niezaproszenie uważać za oznakę lekceważenia swéj osoby. Oprócz tego, pani Herminia sądziła, iż mały koncert, wydany przez Romana Gotarda na skrzypcach, i przez parę innych osób na fortepianie, urozmaici i uprzyjemni zabawę. Na parę tedy dni przed uroczystością, pan Jan wyszedł na spotkanie przybywającego metra muzyki, i zaprosił go na wesele syna, do czego dodał téż bardzo grzeczną prośbę, aby raczył on przywieźć ze sobą skrzypce i dał słyszéć grę swoję mającemu zgromadzić się towarzystwu.

Teraz towarzystwo to było zgromadzoném, a wśród niego wędrowny muzyk wyróżniał się wybitnie strzę-

piastą fryzurą, śniadą, chudą twarzą, ognistemi oczyma i układem, wahającym się nieustannie pomiędzy niezmierném zmieszaniem i butną pewnością siebie. W ogóle zresztą czuł się on wzniesionym w niebo zachwycenia. Salony zmateryalizowanych bogaczy posiadały dla niego zawsze powab wielki, do tego stopnia, że, gdy nie mógł widywać ich w rzeczywistości, co naturalnie było stałą regułą jego życia, lubił czynić sobie illuzyą przez uczęszczanie do wystawnie urządzonych cukierni miejskich, gdzie, lubując się widokiem obszernych pokojów, pięknie obitych ścian, axamitnych pokryć na sprzętach, wyobrażał sobie, że to wspaniały jakiś pałac lub zamek, i że panna, stojąca za bufetem, jest pełną dystynkcyi i gościnności kasztelanką, czyniącą honory domu swego dostojnym gościom, pomiędzy którymi znajdował się i on.

Tym razem był on naprawdę już, jeśli nie w pałacu i nie w zamku, to przynajmniéj, jak sam wyrażał się przed sobą, w bogatym domu. Co więcéj, był on tam razem z ideałem swym, ze swym aniołem, ze swą gwiazdą polarną, która, ubrana dziś w różową leciuchną sukienkę, z dwoma pączkami róż w czarnym warkoczu, nie przemówiła do niego wprawdzie ani słowa, ale często, bardzo często szukała go spójrzeniem piwnych oczu, które, w ostatnich dniach zapadłe nieco, otoczone ciemnemi kołami, rzucały na ładną, bladą jéj twarzyczkę, wyraz tajemne-

go, lecz wzruszającego smutku. Roman Gotard widział, że piwne oczy te wciąż szukają twarzy jego i spójrzenia; że drobna, zgrabna kibić młodéj dziewczyny porusza się w tańcu, niby we śnie, martwa, powolna, umarła zda się dla wszystkiego, co nim nie było; że wtedy tylko przybywa jéj życia, gdy, wiedziona falowaniem zebranego w salonie towarzystwa, zbliża się ku niemu; że nakoniec wieczoru tego nietylko już ona dla niego, ale i on dla niéj jest tym punktem, ku któremu porywa ją nieprzeparta moc pociągu.

Widział to wszystko Roman Gotard, a w miarę, jak czynił spostrzeżenia swe, głowa jego napełniała się upajającym dymem tryumfu i pychy, a serce tajało z rozrzewnienia. Czuł się dumnym zdobywcą „bogatéj panny”, i zarazem padał w myśli czołem przed ładną dziewczyną. Stosownie do każdego z uczuć tych, których z kolei doświadczał, postawa jego zmieniała wyraz i znaczenie. Podnosił głowę wysoko, lub nizko na pierś ją pochylał; rozrzucał włosy swe giestem gwałtownym, lub, stojąc w progu salonu, wśpierał na dłoni czoło i patrzał w ziemię...

Mówił mało, bo naprawdę nie bardzo miał z kim rozmawiać, nikt prawie nie zwracał uwagi na obcego w gronie tém człowieka, a jeżeli ktokolwiek i zauważył go, to dlatego tylko, aby uśmiechnąć się ukradkiem z zarozumiałych, lub romantycznych poz

artysty, jak wiedziano powszechnie, wielce niefortunnego talentu i powodzenia. Nie tańczył wcale, bo chociaż proponowano mu wzięcie udziału w zabawie, i chociaż miał sam do tego niepomierną ochotę, ze względu, że dało-by mu to sposobność zbliżenia się do gwiazdy polarnéj i—o bogi! — objęcia ramieniem zgrabnéj jéj kibici; to jednak, ile razy wysunął nogę, aby już, już postąpić na środek salonu i wmieszać się w koło tańczących, podnosił rękę do węzła krawatu, rzucał niespokojnie oczyma w różne strony, a znalazłszy się zawsze na czyjéjś drodze, oddawał temu, komu na chwilę zawadził, parę szybkich, przepraszających ukłonów, i wracał do uprzedniéj nieruchomości.

Trwało tak parę godzin, gdy nagle w sąsiedniéj jadalnéj sali dał się słyszéć stuk kilkunastu, jeden po drugim wyskakujących z butelek korków, drzwi rozwarły się na oścież, i dwóch lokajów wniosło do salonu na wielkich tacach kielichy, napełnione szumiącym szampanem. Przed chwilą właśnie muzyka umilkła i tańce ustały. Lokajów, wchodzących z tacami, spotkał przy progu zaraz pan Jan Brochwicz i, biorąc jeden z kielichów, ozwał się dość głośno, aby usłyszanym zostać przez liczne, w blizkości jego znajdujące się, grono osób:

— Ufając w przyjaźń i życzliwość zebranych tu szanownych sąsiadów naszych i przyjaciół, dzielę się z nimi jedną jeszcze wieścią, rozweselającą w dniu

tym naszę rodzinę. Wnoszę zdrowie zaręczającéj się dziś pary: jedynéj córki mojéj i pana Artura Darzyca!

Wśród gwaru głosów i dźwięku uderzanych jeden o drugi kieliszków, które nastąpiły po tém oświadczeniu gospodarza domu, nikt nie usłyszał wykrzyku, jaki wydarł się z piersi Romana Gotarda. Wydawszy wykrzyk ten, stał on przez chwilę jak skamieniały, szeroko otwartemi oczyma wpatrzony w migocącą z daleka różową sukienkę Żanci. Twarzy jéj nie mógł dojrzéć, bo zagubioną była pomiędzy licznemi, otaczającemi ją, twarzami. Nagle odszedł, przebył wszystkie pokoje, minął nawet przedpokój, aż znalazł się w obficie oświetlonéj sieni domu. Tu stanął, trzęsącą się ręką wyjął z kieszeni stary skórzany pugilares, wydarł z niego niezapisaną kartkę, i znajdującym się w pugilaresie ołówkiem nakreślił na niéj kilkadziesiąt wyrazów. To, co czuł w téj chwili, musiało być w istocie szczerém i dojmującém cierpieniem, bo twarz jego była wzburzona i bardzo blada, ręce i usta drżały.

Żancię tymczasem, z uśmiechami przyjaźni i życzeniami szczęścia, otoczyły rówieśne jéj panny i młodsze mężatki. Ona nie odpowiadała im wcale, szła jak posąg nieruchoma, ze spuszczonemi oczyma i rękoma obwisłemi na suknią. Z twarzy jéj niepodobna było nic wyczytać, bo rysy jéj, zesztywniałe aż do martwoty, bardzo przenikliwemu tylko oku uka-

zać mogły opanowujące ją uczucie niemego oporu, i upartą, do nadzwyczajnéj mocy panowania nad sobą posuniętą, powściągliwość i skrytość. Po chwili otaczające ją liczne grono kobiet rozstąpiło się i rozeszło w różne strony; było to grzeczne i dyskretne ustąpienie miejsca narzeczonemu, który, po raz piérwszy w ciągu wieczoru tego, zbliżał się do swéj młodéj powabnéj oblubienicy.

— Pani — rzekł z cicha Artur Darzyc, stając obok Żanci — chwila ta jest najszczęśliwszą w mojém życiu. Spełnia ona gorące pragnienia moje i, w bardzo jasnych barwach, ukazuje mi przyszłość wspólną, z najlepszą i najmilszą z dziewic...

Mówiąc to, patrzał na nią oczyma, w których malowała się żywa radość i powściągana, lecz szczera, czułość. Żancia nie widziała wyrazu jego oczu, bo nie podniosła powiek; opuściła się tylko na najbliższe krzesło, a patrząc na nią, można-by myśléć, że to posąg, odziany w różową suknią, przybrał postawę siedzącą. Blade usta posągu poruszyły się jednak.

— Nie jestem, panie, ani najlepszą, ani najmilszą — wymówiła głosem, w którego stłumioném brzmieniu dawał się słyszéć twardy i gniewny upór.

Artur uśmiechnął się nieznacznie.

— Nie znasz pani jeszcze saméj siebie, i jest to jednym z przymiotów twych, które obudzają we mnie najtkliwsze uczucia i najsłodsze nadzieje. Pozwól, pani, abym mówił do ciebie, jak do przyszłéj żony

mojéj. Jesteś... Joanno, łagodną, skromną dziewicą, będziesz żoną dobrą i zacną. Takie tylko, jak ty, pani, niewinne istoty, umieją poświęcać się dla szczęścia innych, umieją potém spełniać święte i wzniosłe, lecz trudne często, obowiązki żony, matki i pani domu...

Teraz po ustach posągu przesunął się uśmiech. O dziwy! materyał na żonę, usłyszawszy z ust przyszłego męża wyraz: obowiązki, uśmiechnął się z szyderstwem i goryczą. Było to przecież jedno mgnienie oka i umknęło całkiem uwadze Artura, który rozkochanym wzrokiem obejmował główkę dziewiczą, wdzięczną w nieruchomości swéj, obciążoną wielkiém bogactwem czarnych lśniących warkoczy. Nie powiedział jednak nic o uczuciach, które budziła w nim blizkość téj ładnéj, kształtnéj główki. Mówienie o nich wydawało mu się zbyt śmiałém dotykaniem dziewiczości i lękliwości drobnego uszka, nad którém rozkwitały dwa niewinne różane pączki. Pomimo zresztą uczuć tkliwych, i więcéj może niż tkliwych, które opanowywały go w téj chwili, czuł się wciąż nastrojonym poważnie, uroczyście niemal. Myślał może, że wraz z tą chwilą rozpocząć już powinien dzieło wykształcenia według swéj myśli tego wybornego, bo nienaruszonego jeszcze, materyału, który pojąć miał za żonę. Przerywając tedy chwilowe milczenie, mówić zaczął:

— Oddawna już zamierzałem osiąść stale w ma-

jątku moim, i wziąć się do czynnéj pracy, którą koniecznà mi czynią tak własne potrzeby moje, jak obywatelskie obowiązki...

W téj chwili niedyskretny wielce głos jakiś, ze stojącéj w pobliżu grupy mężczyzn wychodzący, zawołał:

— Arturze!

Artur odwrócił się niechętnie wprawdzie, niemniéj jednak odwrócił się ku wołającym go przyjaciołom. Gdyby był nie uczynił tego, musiał-by koniecznie spostrzedz, jak wtedy, gdy mówił o wzięciu się do czynnéj pracy, i po raz drugi w mowie swéj umieszczał wyraz: obowiązki, spuszczone dotąd powieki Żanci podniosły się, a spójrzenie jéj przesunęło się po twarzy jego niechętne, gniewne, przedewszystkiém zaś urągliwe, wzgardliwe niemal...

Muzyka, która umilkła była, zabrzmiała znowu; jednocześnie w salonie ukazał się Roman Gotard. Nie wahał się teraz z postąpieniem na przód, i nie cofał się przed lada przeszkodą, ale szedł szybko przez salon. Zmierzał prosto do Żanci, stanął przed nią i skłonił się z widoczném zaproszeniem jéj do tańca. Posąg przestał był nagle posągiem. Młoda dziewczyna powstała szybko i złożyła rękę na ramieniu wędrownego artysty. Raz tylko w tańcu obiegli salon dokoła, a jednak Żancia, posadzona przez tancerza swego na uprzedniém miejscu, wyglądała tak, jakby

była tchu i przytomności niemal pozbawiona. W dłoni, okrytéj jasną rękawiczką, z całéj siły ściskała małą kartkę papieru, która w czasie tańca z ręki Romana Gotarda przeszła do jéj ręki. Gdy tylko usiadła, ktoś ją znowu zapraszał do tańca.

— Przepraszam... zmęczona jestem — wyszeptała i, powstawszy z siedzenia, powolnym, spokojnym krokiem przechodziła przez salon. Wtedy dopiéro, gdy znalazła się w ustronnym pokoju, oświetlonym jedną tylko lampą, uczyniła skok chyży, i pochylona, drżąca, rozwinęła zmiętą w dłoni swéj kartkę. Była to kartka, wydarta z męzkiego pugilaresu, a na niéj ołówkiem nakreślone znajdowały się następujące wyrazy:

„Pani!!!! bądź zdrowa na wieki!! Ideał *muj spat* z piedestału! gwiazda moja zgasła! Ojciec *twuj* jest moim *zabujcą!* niech mu Bóg nie pamięta! Był to dzwon *pogżebowy*, *ktury* dla mnie *udeżył! Cusz* zrobię z wyższym ogniem, *ktury* płonie w méj piersi, kiedy Ty nawet, o anielska istoto! zapoznajesz go, pozwalasz Tyranom, aby sprzedali Cię za *wur* złota! tak! bo Ty nie kochasz tego zmateryalizowanego bogacza... Nie! nie! Twoje serce *udeżyło* dla nieszczęśliwego artysty, ale on nędzny robak bez *majontku* i *tytułuw*... trzeba go zdeptać... może miał skrzydła orle i sokole... *cusz* to obchodzić kogo może? zdeptać nędznego robaka! zdeptać! Nie! nie! nie przeżyję tego! Żegnam Cię, Pani, na wieki!!! idę morderczą

bronią położyć koniec memu nieszczęśliwemu życiu! Nie przeklinam Cię! bądź szczęśliwą! Pamiętaj, że kochałem Cię, jak nikt nigdy kochać nie może! Była to ostatnia deska rozbitka życia i niegodziwego świata. Odbierasz mi ją, a więc bądź zdrowa! Nędzny robak usuwa się z twéj drogi! Żyj i panuj w świecie zmateryalizowanych bogaczy, a jeśli poczujesz kiedy *bul* i tęsknotę, przyjdź na mogiłę tego, *ktury* umiera *przes* Ciebie!!!!!!"

Czytając pismo to, Żancia drżała jak w febrze, potok łez popłynął z oczu jéj, lecz ustał wkrótce, pozostawiając na twarzy wyraz nieopisanego przerażenia i niewymownéj męczarni ducha. Gdyby Roman Gotard był najprzebieglejszym dyplomatą, nie mógłby z trafniejszém wyrachowaniem i z większą zręcznością ugodzić we wszystkie struny serca i wyobraźni młodéj dziewczyny. Nie spostrzegła ona teraz ani jednéj z ortograficznych omyłek, które kiedyś raziły ją były nieco; wszelki duch rozbioru i krytyki, daleki od niéj zwykle, zupełnie niepodobnym był w téj chwili. W jedném mgnieniu oka stanęły przed myślą jéj wszystkie historye, o których kiedykolwiek słyszała, lub czytała, a których rozwiązaniem była tragiczna śmierć nieszczęśliwych kochanków. Przez głowę jéj nie przeszło, aby groźba samobójstwa mogła być tym razem niczém więcéj, jak gwałtownym, acz nietrwałym wybuchem ugodzonego naprawdę serca, lecz silniéj jeszcze od niego zranionéj miłości

własnéj, wybuchem połączonym z wielką dozą przyzwyczajenia do zgrywania ról tragicznych przed innymi, a najbardziéj przed sobą samym.

Nie! głęboka nieznajomość ludzi i świata, wypielęgnowana w niéj tak starannie, przypuszczenie to niepodobném jéj czyniła.

— Co tu począć? co tu począć?—szeptała i w obu dłoniach ściskała rozpalone skronie.

Nagle, niby nadzieja dobréj rady i pomocy, zaświeciła przed oczyma jéj, z dala przez drzwi na oścież otwarte ujrzana, amarantowa suknia pani Róży. Żancia poskoczyła i miała już biedz ku téj arce zbawienia, ale na progu stanęła jak wryta.

Pokój, do którego schroniła się dla przeczytania wręczonéj sobie kartki, był gabinetem pana Jana, z drzwiami prowadzącemi do obszernéj sali jadalnéj. Przez salę tę, z tyrolskim kapeluszem w ręku, przechodził teraz Roman Gotard. Dążył do przedpokoju. Widziała twarz jego rozpłomienioną, brwi zsunięte, oczy skrzące się i z ponurym wyrazem w ziemię wpatrzone. Odchodził więc! z rozpaczą w sercu i morderczą myślą w głowie opuszczał dom jéj rodziców, aby prawdopodobnie nigdy do niego nie wrócić! Okropność! Z głębi mieszkania przecież nadciągnął ratunek. Amarantowa suknia ukazała się w sali jadalnéj, i sunęła szybko za szybko też postępującym ku drzwiom od przedpokoju, zrozpaczonym artystą.

— Ciocia zatrzyma go! — zaszumiało w głowie Żanci — ona mu powié coś takiego, co go pocieszy...

Pani Róża dopędziła w istocie zbiega.

— A co to, królu mój! — zawołała półgłosem — uciekasz, jak desperat jakiś! wstydź się! zabawa taka piękna! ot, wyperswaduj sobie, i chodź do sali potańczyć, jak inni! Mama dobrodziéjka, jak zobaczy cię w takim stanie, gotowa rozchorować się z alteracyi...

Roman Gotard przystanął i ponure wejrzenie utkwił w zakłopotanéj twarzy swéj pocieszycielki. Usta jego wykrzywiły się uśmiechem, pełnym wzgardy i gorzkiego szyderstwa.

— Zabawa! — syknął przeszywająco — piękna zabawa! dziękuję pani, bardzo dziękuję! nie jestem zdolny ani bawić się, ani wyperswadowywać sobie! biedna matka moja nie zobaczy mnie już nigdy! perswazya moja i ostatnie uspokojenie... tu!...

Przy ostatnim wyrazie tragicznym giestem wskazał ziemię i zaraz zaśmiał się, a raczéj ryknął głośnym, gardłowym śmiechem.

Żancia skamieniała na progu. Giest Romana Gotarda, wskazujący ziemię, przejął ją dreszczem; gardłowy śmiech jego zadźwięczał w uchu jéj, jak dzwon pogrzebowy; słowa jego: „biedna matka moja nie zobaczy mnie już nigdy", falą łez napełniły pierś jéj i oczy. I ona, ona-to miała być przyczyną wszystkich tych nieszczęść i zbrodni? Nigdy! nigdy! — Ro-

man Gotard tymczasem, powstrzymywany chwilę przez młodą staruszkę, rzucił się ku drzwiom i wszedł do przedpokoju. W téj saméj chwili Żancia poskoczyła i pochwyciła ręce pani Róży.

— Ciociu! — szepnęła z nadzwyczajną mocą — powiedz mu, aby przyszedł natychmiast do gabinetu ojca... powiedz mu, że ja go proszę, aby tam przyszedł...

— Ależ, kochańciu... — oglądając się na wszystkie strony, zaczęła wahająco się pani Roża.

— Ciociu! — powtórzyła Żancia — powiedz mu, aby przyszedł... jeżeli go dziś nie zobaczę.... umrę...

— Gwałtu! — z prawdziwém przerażeniem krzyknęła pani Róża — oboje umrą! a toż to awantury i okropności!..

Ze słowami temi posunęła się szybko ku drzwiom od przedpokoju. Żancia wbiegła do gabinetu, a po chwili wchodziła tam pani Róża, wiodąc za sobą Romana Gotarda. W sali jadalnéj nie było nikogo, w dalszych pokojach brzmiały tańce, muzyka i rozmowy; Żancia jednak trwożliwy wzrok zapuściła w głąb' mieszkania.

— Cioteczko! — szepnęła — zamknij drzwi i stań tak przy nich, aby nikt tu nie wszedł!

Pani Róża, bardzo niespokojna, ale bardziéj jeszcze rozciekawiona i rozrzewniona romantycznością sytuacyi, cicho i szybko przymknęła drzwi i podpar-

ła je szerokiemi swemi plecami. Roman Gotard, ponury wciąż, ale ugłaskany już nieco, z oczyma utkwionemi w ziemię i kapeluszem tyrolskim w ręku, stał o kilka kroków przed młodą dziewczyną, pobladłą i drżącą.

— Panie Romanie! — zaczęła Żancia, ale głos wiązł jéj w gardle i oczy zachodziły łzami. Mocowała się chwilę ze sobą, poczém, zdobywając się na rozpaczną jakby energią, zawołała na-pół z płaczem:

— Nie rozpaczaj pan! nie odbieraj pan sobie życia! o proszę, proszę pana! Wszak życie pana nie do niego należy, ale do sztuki!... ja nie przeżyła-bym tego, jeśli-by kto umarł przeze mnie! o mój Boże! mój Boże! cóż mam uczynić, abyś pan tego nie zrobił...

— Pani! — przerwał Roman Gotard, który słów młodéj dziewczyny słuchał z razu z chciwą ciekawością, a potém groźniéj jeszcze schmurzył czoło i uśmiechnął się z większą goryczą — pani! — rzekł — pocóż te próżne słowa? Co masz pani uczynić? ha! ha! usłuchać jaśnie wielmożnych rodziców swych, zostać żoną bogacza, stłumić głos serca dla nędznych obrachowań zmateryalizowanego świata... Wierzyłem, pani, w twoję świętość, jak w Boga... ukochałem cię miłością tak czystą, świętą, bezinteresowną... biada mi! gwiazda moja zaćmiła się... zostałem strasznie, strasznie rozczarowany... a jedyną teraz nadzieją moją jest... grób!...

Mówił to z uniesieniem, z szyderstwem, z gorzkim uśmiechem na ustach i ze łzami w oczach, a w trzęsących się ręku miął gwałtownie tyrolski kapelusz.

Żancia słuchała go z twarzą ukrytą w dłoniach. Przez chwilę nie odpowiadała; nagle odsłoniła twarz bladą i napiętnowaną wyrazem wielkiego cierpienia. Nie drżała już i daleko pewniejszym, niż wprzódy, głosem, rzekła:

— Nie, panie Romanie! ja nie jestem tak złą, słabą i lekkomyślną istotą, jak pan myślałeś! Obrachowania zmateryalizowanego świata nie znaczą nic dla mnie... nie stłumię głosu serca... nie pozwolę, aby rozrządzano mną, jak rzeczą jakąś... przyrzekam...

Tu oblała się rumieńcem głębokiego zawstydzenia i, tajemnie przelękniona wagą słów, które wyrzec miała, spuściła oczy i umilkła. Ale Roman Gotard zdawał się właśnie oczekiwać na to słowo, na którém uwięzła jéj mowa. Z rozjaśnionym nagle wzrokiem pochwycił drobną, drżącą jéj rękę.

— Co przyrzekasz? — mówił gwałtownie i zarazem czule — pani! gwiazdo moja! ideale mój! powiedz, co mi przyrzekasz! Niech usłyszę z ust twoich wyrok, który uczyni mnie najszczęśliwszym z ludzi, albo zaprowadzi tam, gdzie wszystko się kończy... tam, gdzie śmierć lodowata uspokoi to serce...

Na wyraz: śmierć! dziewczyna drgnęła znowu.

— Nie! nie! — szepnęła z mocą — przyrzekam... przyrzekam, że... nie pójdę za *niego!*...

— Ha! — jęknął Roman Gotard — a więc za innego...

— Nie! nie! za nikogo! nigdy! nigdy! za nikogo na świecie, oprócz... oprócz pana!...

Ostatnie słowa wymówiła bez zawstydzenia już i przelęknienia, z blaskiem energii w oschłych nagle oczach. Roman Gotard klęczał przed nią i pocałunkami okrywał jéj ręce. W téj chwili nie grał on już roli żadnéj, ani przed innymi, ani przed sobą. Wszystko, co było w nim dobrego, ludzkiego, wzruszyło się na widok téj wdzięcznéj istoty, oddającéj się mu tak naiwnie i zarazem tak bezwzględnie i wspaniałomyślnie.

— Kochasz mnie? — szeptał namiętnie — a więc kochasz mnie naprawdę? aniele mój! śliczna, najlepsza moja! powiedz, kochasz mnie?

Bezprzytomna prawie, zgorączkowana, upojona niepojętemi dla niéj wzruszeniami, które miały źródło we wszystkich na raz stronach jéj istoty, Żancia, poddawała się ramieniu Romana, który przyciągał ją ku swéj piersi i szepnęła cichutko:

— Kocham!...

Pani Róża, podpierając wciąż drzwi zamknięte, szlochała na dobre.

— Gołąbki moje! — mówiła z cicha — rybki mo-

je! jak oni się kochają! Nie dziwota! młode to takie biedactwo, i jak dla siebie stworzone!

W parę minut potém, w gabinecie pana Jana nie było już nikogo. Projektowany przez panią Herminią koncert nie udał się, Roman Gotard bowiem zniknął i nie ukazał się już więcéj w ciągu wieczora. Niebawem zniknęła téż i Żancia. Skarżyła się na tak silny ból głowy, że pani Herminia pozwoliła jéj przed końcem zabawy pójść do łóżka. Wprzódy już zauważano, że miała zapłakane oczy, ale ze względu na tak ważny i rozczulający akt, jak zaręczyny, które dziś właśnie się odbyły, łzy świeżo zaręczonéj panny nie dziwiły nikogo. Nie sprawiały téż one niepokoju żadnego i pani Herminii, W dniu tym, tak radośnym dla niéj, otwartsza i bardziéj wywnętrzająca się, niż zwykle, matka Żanci mówiła do kilku poważnych pań, z któremi łączyły ją stosunki ścisłéj zażyłości:

— Wychowałam córkę moję tak, aby nie miała najlżejszego wyobrażenia o niczém, co tycze się małżeństwa i przywiązanych do niego uczuć. W sercu jéj iskra śpi pod popiołem... Nic więc dziwnego, że, ujrzawszy się już narzeczoną, młoda panna, niewinna i nieśmiała, niepokoi się, wstydzi i płacze. Przeznaczeniem kobiety jest być żoną i matką, ale jestem zdania, że dopóki nie stanie ona przed ołtarzem ślubnym, im mniéj wié o tém, co spotkać ją ma w przyszłości, im mniéj rozumié ludzi, życie i własne uczucia swoje, tém lepiéj!

Artur Darzyc słuchał z dala słów tych pani Herminii i zdanie jéj podzielał w zupełności.

— Co to za rozkosz być musi dla poważnego i kochającego mężczyzny — myślał — wtajemniczać takie niewinne, nieświadome stworzenie w świat uczuć i obowiązków małżeńskich, nauczać ją poznawać samę siebie i innych! Jakże szczęśliwy jestem, żem znalazł taki pączek nienaruszony niczém, taką białą kartę, na któréj będę mógł napisać wszystko, co sam zechcę, taki bogaty i nietknięty materyał na żonę!

V. Kłopoty pani Róży.

Ranek był już dość spóźniony po całonocnéj zabawie, wszyscy spali jeszcze w domu Brochwiczów; ale pani Róża nie zamknęła oczu ani na chwilę. Piérwszy raz w ciągu długiego i płochego życia, w głowie młodéj staruszki ozwało się coś nakształt rozsądku, w piersi jéj zakołatało coś podobnego do wyrzutów sumienia. W watowanéj spódniczce swéj, spłowiałych pantofelkach i flanelowym kaftanie, z napół wyłysiałą i osiwiałą głową, okrytą nocnym czepkiem, dreptała ona po pokoju swoim, przebiegając go w różnych kierunkach, mrugając oczyma nie figlarnie już i czule, ale wielce markotnie, i rozmachując rękoma z nadzwyczajnym zapałem i zakłopotaniem.

— Co to, będzie, rybko moja? — mówiła — co teraz będzie z tego wszystkiego? Alteracya tylko, burze, awantury i nic więcéj! Gdybym była przewidziała, że dojdzie do takich okropności, była-bym od razu temu biednemu Romulkowi abszyd dała, gdy mi wtedy list przysłał! Czule napisał biedaczysko, to prawda; myślałam, że poromansujecie sobie trochę, zwyczajnie jak młodzi, pięknie, czule, ale z daleka, a jeżeli się i bardzo pokochacie, to się pobierzecie. Aż tu *szach mach*! zaręczyli cię rodzice z Artiurkiem! I nie dziwota! kawaler przyzwoity, niéma co powiédzićć, rodzice widzą w tém twoje szczęście, i tak to jakoś wyszło, że niby to ja stanęłam im na drodze i popsułam projekta! Niepięknie jakoś, niepięknie! Poczciwy Jasisko dobry był dla mnie zawsze i pomagał mi nieraz w różnych kłopotach; a kuzyna Herminia, chociaż trochę imponująca, uprzejma jednak, bardzo uprzejma, i nie mogę skarżyć się na jéj serce dla mnie! Ot i odsłużyłam się im! niéma co powiedzićć, śliczniem się im odsłużyła! teraz choć iść topić się ze wstydu i strachu.

Monolog ten zwrócony był do Żanci, która, cicha i zamyślona siedziała, w głębi pokoju na sofie, z łokciem opartym na stole i czołem ukrytém w dłoni. I ona także nie kładła się wcale do snu. Na twarzy jéj malował się głęboki upadek ducha, znękanego krótkiém, lecz niezwykłém wysileniem. Zatopiona w myślach, na-pół tylko zdawała się słyszéć wyrzeka-

nia pani Róży, która, zmęczona dreptaniem i lamentowaniem, usiadła nakoniec obok niéj i pogrążyła się także w głębokiém i wcale niezwykłém sobie rozmyślaniu.

— Wiész co, kochańciu? — rzekła po chwili milczenia — niech mię Bóg ciężko skarze, jeślim ci czego złego życzyła, jeśli nie prawda, że kocham cię tak, jakbym i rodzoniutkiéj córki swéj kochać nie mogła, gdy-bym ją miała! Nie chcę brać twojéj zguby i twoich łez na moje sumienie. Wiész co? powiedz wszystko rodzicom! padnij im do nóg, zwierz się ze wszystkiego! powiedz tak: „mamo! ojcze! umrę z desperacyi, jeśli wydacie mię za Arturka; pozwólcie, abym przysięgła przed ołtarzem temu, kogo wybrało serce moje!” A co? czy nie pięknie powiész? Niech dowiedzą się o wszystkiém i radzą, jak mogą! niech już i mnie impertynencyi jakich nagadają i z domu swego wypędzą! Pojadę do Cieciórkowszczyzny, mniejsza o to! byle-bym już z tych tarapatów, których mi ten twój czuły Romulek narobił, wybrnęła! No cóż, kochańciu? zacznij od mamy... jak wstanie i ubierze się, idź do niéj, padnij do nóg i powiedz tak: mamo...

— Nigdy, ciociu kochana, nigdy!

— Co nigdy? co? co? dlaczego?

— Nigdy nie odważę się powiedziéć o tém mamie... mama powié, że to exaltacya, rozgniewa się... spójrzy na mnie tak zimno, surowo... o! moja ciociu! gdybyś wiedziała, jak mi zawsze smutno, strasznio,

boleśnie, ile razy mama spójrzy tak na mnie... wolała-bym już nie wiem co... wolała-bym, żeby mię wybiła, a nie patrzała tak na mnie... mama... ciociu...

Tu zniżyła głos i dokończyła bardzo cicho, ale z wyrazem silnego przekonania i zarazem wielkiego smutku na twarzy:

— Mama mię nie rozumié... mama mię nie kocha...

— A pfe! kochańciu! któż to widział takie rzeczy gadać! Żeby matka dziecka swego nie kochała! to być nie może! tak ci się tylko zdaje! No, a ojcu będziesz mogła powiedziéć? co?

— Ojcu? nie wiem... może!...

— Jasiulek poczciwy z kościami, nie zechce, aby jego dzieciątko płakało i męczyło się! ale trzeba kochańciu zacząć od mamy! trzeba koniecznie! mama tu najważniejsza osoba!

Długo pani Róża mówiła i w ten sposób przekonywała drżącą i tulącą się do niéj Żancię o potrzebie zwierzenia się ze wszystkiego rodzicom, przedewszystkiém zaś matce; aż Drylska, śpiąca dotąd w przyległym pokoju, obudziła się i została przywołaną do pani Herminii, która wstała już i usług jéj potrzebowała. Żancia schodziła ze wschodów z twarzą bladą, ocienioną czarnemi warkoczami, które, naprędce i niedbale dnia tego splecione, osuwały się na pochylone jéj czoło. Nogi drżały snadź pod nią, bo trzymała się wciąż za poręcz wschodów i szła bardzo

powoli. W jadalnéj sali spotkała Drylską, która w dwóch palcach z nadzwyczajną ostrożnością niosła biały koronkowy czepeczek.

— Drylsiu — wymówiła szeptem prawie — czy mama już ubrana?

— Ot zaraz panieneczko, tylko to śliczne czépunio włoży, com dla niéj w tym momencie wyprasowała, i będzie już ubrana!...

Rzekłszy to, zniknęła za drzwiami sypialni pani Herminii. Do drzwi tych dążyła Żancia. Co kilka kroków stawała, opierała się to o poręcz krzesła, to o róg fortepianu; oczy jéj były wciąż utkwione w ziemię, a czoło pochylone nizko. Położyła nakoniec rękę na klamce, gdy drzwi, popchnięte z przeciwnéj strony, otworzyły się i stanęła w nich pani Herminia. W długiéj jedwabnéj sukni, w koronkowym czepeczku na siwiejących włosach, wysoka, wyprostowana jak zwykle, matka Żanci wyglądała poważnie, a nawet wspaniale. Widok córki ożywił na chwilę zamyślony wyraz jéj oczu i zmiękczył surową linią ust wązkich, do milczenia zda się i rozkazywania stworzonych. Było to przecież jedno mgnienie oka; Żancia ujęła rękę matki i szepcąc cichutkie „dobry dzień,” składała na niéj pocałunek. Pani Herminia nie spostrzegła łez, które napływały do oczu młodéj dziewczyny, w chwili, gdy schylała się przed nią; nie uczuła, że usta jéj drżące były, spalone gorączką i tak przylgnęły do jéj ręki, jakby oderwać się od niéj siły im nie-

stawało; bardzo uważnie za to spójrzała na uczesanie i ubiór córki i z żywém niezadowoleniem rzekła:

— Jakżeś się dziś uczesałała, *ma chère?* Warkocze splecione niestarannie, ułożone *à la hâte!* Zakryłaś sobie czoło, a odkryłaś ucho, z czém ci, jak już nieraz mówiłam, wcale nie do twarzy. Któż cię to tak uczesał? czy Drylska?

Mówiąc to, pani Herminia, białemi swemi rękoma poprawiała i przygładzała włosy Żanci, która stała już przed nią prosta i sztywna. Odkrywała jéj czoło, zakrywała ucho, a oglądając ją przytém od stóp do głowy, mówiła daléj:

— Alboż i ta suknia? Nazajutrz po weselu brata i własnych zaręczynach włożyłaś suknią ciemną, wełnianą, i wyglądasz w niéj, jak zakonnica, lub desperatka jaka! Wiész o tém, że będziemy mieli na obiedzie całą rodzinę Natalskich i panów Darzyców, i wczoraj jeszcze mówiłam ci, abyś włożyła dziś suknią błękitną z *trenem* i białą koronkową pelerynkę... dlaczego nie zrobiłaś tak, jak mówiłam?

— Zapomniałam, mamo — odpowiedziała Żancia, stojąca teraz przed matką, podobna do lalki, na któréj głowie modniarka upina warkocze według najnowszéj mody. Dwa wyrazy te wymówiła dość cicho, a jednak w głosie jéj uważne ucho dosłyszéćby mogło bezdnią bólu i goryczy. Pani Herminii wydało się, że w głosie córki brzmiało lekceważenie jéj zaleceń.

— To bardzo źle, że Żancia zapomina o tém, co ja uczynić jéj zalecam. Nie sądź wcale, abyś mogła robić, co ci się podoba, dlatego, że zostałaś już narzeczoną. Kobieta nie posiada własnéj woli nietylko wtedy, gdy jest narzeczoną, ale i wtedy nawet, gdy zostaje już mężatką. Kobieta powinna być posłuszną rodzicom swym, dopóki jest młodą panną, a potém ulegać woli męża. Takiém jest jéj przeznaczenie na świecie. Ty szczególniéj jesteś jeszcze dzieckiem prawie i nie powinnaś zapominać o tém, że matka twoja daleko lepiéj wié od ciebie, co ci przystoi i co ci jest pożyteczném, czy to w ważnych rzeczach, czy w małych. Idź natychmiast do swego pokoju i włóż błękitną suknią.

— Dobrze mamo! — odpowiedziała Żancia i odeszła. Była już u drzwi, gdy pani Herminia zawołała:

— Jak ubierzesz się, przyjdziesz tutaj i przegrasz parę razy waryacye z *Trawiaty*, abyś je dziś zagrać mogła dla pani Natalskiéj, która je lubi!

— Dobrze, mamo! — powtórzyła młoda dziewczyna. — Można-by rzec, że widok i słowa matki wygnały z jéj pamięci wszystko, z czém do niéj przychodziła, wtrąciły ją na nowo w koléj niemoty i bierności, po któréj szła całe życie. Z pozorną cierpliwością i uwagą słuchała apologii posłuszeństwa, i posłuszna, strwożona, odeszła, aby ubrać się w błękitną suknią. W kilka minut potém, stojąc przed lustrem, kończyła zapinać jedwabny stanik; pani Róża, korzystając

z chwili, w któréj Drylska wydobywała z komody koronkową pelerynkę, szepnęła:

— I cóż, rybciu? nie powiedziałaś mamie? dlaczego-żeś nie powiedziała?

Żancia nie odpowiadała. Drżące palce jéj zapinały i rozpinały guziki stanika.

— Trzeba jednak, kochanciu, koniecznie trzeba! — szeptała pani Róża.

Żancia wzięła koronkę, którą podawała jéj panna służąca, i nagłym ruchem zgniotła ją w dłoni.

— Chryste Panie! — zawołała Drylska — co też panienka najlepszego wyrabia? Otóż śliczna mi teraz będzie pelerynka!

Za całą odpowiedź młoda dziewczyna zarzuciła na ramiona strój zgnieciony nieco w jéj ręku, lecz miękki i przezroczysty i, po raz piérwszy odwracając oczy od lustra, rzekła:

— Nie mogę, ciociu!

Drylska poprawiała fałdy i układała długi *tren* niebieskiéj sukni. Pani Róża nachyliła się znowu do ucha Żanci.

— Cóż będzie? — szeptała — co z tego będzie? pamiętaj, rybko, że trzeba jutro dać jaką wiadomość temu biednemu Romulkowi! czarno albo biało! jak mu o niczém wiedzieć nie damy, gotów z niespokojności awanturę jaką zrobić!

Żancia odwróciła się od lustra.

— Powiem ojcu! — rzekła stłumionym głosem,

i szybko postąpiła ku drzwiom. Zaledwie jednak zaczęła zstępować ze wschodów, spotkał ją służący z oznajmieniem, że goście już się zebrali i pani prosi panienkę do salonu.

Zebranie było naturalnie nieliczne, poufne i całkiem rodzinne, a urządzone przez państwa Brochwiczów głównie dlatego, aby pani Natalska mogła część dnia przepędzić ze swą córką, któréj dnia tego wyjeżdżać z domu młodego męża nie wypadało! Pan Darzyc ojciec nie przybył, wymówiwszy się zmęczeniem i bezsennością zeszłéj nocy, w istocie zaś zeszła się do niego partya preferansa, któréj opuścić bez gwałtownéj potrzeby nie chciał i nie mógł. Nie przybyła téż starsza córka pani Natalskiéj, Helena Darzycowa, która, zapadłszy silnie na zdrowiu od dnia zaręczyn swéj siostry, na weselu jéj nawet przez krótką tylko chwilę była widzialną. Adam Darzyc za to towarzyszył matce swéj żony, jakkolwiek uskarżał się na migrenę i przewidywał nieuchronnie napadającą go po każdéj niespanéj nocy febrę nerwową; a nieco późniéj nadszedł Artur i, po należnych powitaniach ze wszystkimi, przysiadł się do narzeczonéj, która, w niebieskiéj sukni i, białéj pelerynce, z włosami ułożonemi w taki sposób, aby odkrywały czoło, a zakrywały ucho, siedziała przy jedném z okien salonu. Dlaczego Artur nie opuszczał prawie krzesła, znajdującego się obok miejsca, na którém siedziała narzeczona jego? nie mógł-by tego wytłómaczyć ani

on sam, ani nikt inny. Po kilku bowiem zamienionych potocznych wyrazach, pomiędzy dwojgiem narzeczonych zapanowało najgłębsze milczenie. W parę godzin po obiedzie, pani Natalska, napatrzywszy się na córkę swą, która, jakkolwiek zamyślona i poważna, prześlicznie wyglądała w czepeczku młodéj mężatki, odjechała wraz z zięciem. Teofila odeszła do swoich pokojów, państwo Brochwiczowie i pani Róża rozeszli się w różne strony domu, w salonie zostały tylko dwie osoby: Maryan i Żancia.

Maryan przez kilka poprzedzających godzin tak samo, jak w dniu wesela swego i we wszystkich dniach, które pomiędzy weselem tém, a dniem oświadczyn upłynęły, okazywał się zupełnie spokojnym, a w każdéj chwili i okoliczności zupełnie przyzwoicie rolę swą spełniającym. Ktokolwiek-by znał minione krótkie dzieje niedoszłych usiłowań umysłu i niespełnionych pragnień serca jego, ujrzał-by może w tym martwym nieco i sztywnym spokoju młodego człowieka coś nakształt biernéj rezygnacyi, fatalistycznego poddania się okolicznościom, które zapanowały nad nim, ponieważ on nad niemi zapanować nie potrafił, coś nakształt sztucznego uśpienia wszelkich wspomnień z przeszłości i myśli o przyszłości, a tymczasowego, wywalczonego nad sobą zadawalniania się uciechami i rozrywkami, które przynosiła mu teraźniejszość. W dniu tym był on nawet bardziéj ożywionym i mównym, niż dni poprze-

dzających. Być może, iż piękność młodéj małżonki upoiła go i zasłoniła przed nim wszystko, co mu się w niéj nie podobało, co go z nią dzieliło; że radość, rozlana na twarzy ojca, pogodziła go do reszty z sobą samym, i z tém, z czém zgodzić się nie mogły dotąd męzka duma jego i cichy, lecz nieustanny głos jego sumienia. Wesoły był tedy, mówny, pełen względów dla żony i jéj matki; przekomarzał się nawet z ciocią Rózią o niezwykłą jéj w dniu tym markotność i żartował ze szwagra, z powodu nieustających katarów jego i nerwowych cierpień. Teraz jednak, gdy goście i domowi rozeszli się w różne strony, nie udał się on za nikim z nich, ani nawet za młodą i piękną żoną swoją, lecz, wpół leżąc w głębokim fotelu, opuścił czoło na splecione ręce i siedział nieruchomy, zanurzony w ciszy, która po raz piérwszy od dni wielu zapanowała wkoło niego, a może i w rozważaniu własnych myśli i uczuć, do których głębi nie chciał, lecz musiał przecież zaglądać.

O kilkanaście kroków od zamyślonego i nieruchomego Marysia, na tle szyb szarych od zapadającego zmroku, rysowała się nieruchoma także i głowę na dłoń pochylająca postać Żanci.

Młoda dziewczyna powstała piérwsza i krokiem, żadnego szelestu nie czyniącym, przeszła salon w całéj długości. We drzwiach zatrzymała się i patrzała chwilę na wązką smugę światła, która wpływała do ciemnéj sali jadalnéj przez nieszczelnie zamknięte

drzwi gabinetu pana Jana. Nie poszła jednak ku drzwiom tym, na które patrzała, ale, jakby powziąwszy nowe postanowienie, zwróciła się w stronę salonu, w którój siedział Maryan, przystąpiła do niego tak cicho, że kroków jéj nie usłyszał i, nie mówiąc nic, położyła rękę na jego ramieniu. Maryan podniósł głowę. Białe czoło jego, które odbiło się niewyraźnie od mrocznego tła pokoju, przerzynała zmarszczka głęboka, w oczach perliła się błyszcząca kropla.

— A! to ty, Żańciu! — wymówił głosem człowieka, budzącego się ze snu. Wziął rękę siostry, przyciągnął ją ku sobie i posadził na stojącém obok krześle. — Cóż? — zaczął po chwili — czy nie czujesz się zmęczoną po wczorajszych tańcach? a może miała-byś ochotę tańczyć i dziś jeszcze! Wszak dziewczęta w twoim wieku o tém tylko myślą...

Ze sposobu, w jaki słowa te wymawiał, poznać można było, że mówił jak przez sen, machinalnie i dlatego tylko, że trzeba było mówić cokolwiek. Myśli jego, mimo własnéj woli jego, zapewne odbiegały daleko, kędyś w świat, za natrętném jakiémś wspomnieniem, lub w głąb' sumienia za niepodobnym do odparcia głosem, wołającym do niego o porachowanie się z sobą samym. Nie chciał odtrącić siostry od siebie milczeniem i obojętnością, ale nie wiedział dobrze, o czém ma mówić do niéj.

— Cóż — powtórzył — nie boli cię głowa po wczorajszych tańcach?

Przez kilka sekund nie otrzymywał odpowiedzi żadnéj, po chwili dopiéro głos stłumiony i smutny wymówił obok niego:

— Serce mię boli bardzo, Marysiu.

Maryan, jakby go słowa te do reszty już wyrwały z zadumy, zwrócił twarz ku siostrze i, uśmiechając się, patrzał na nią przez chwilę.

— Serce cię boli! — wyrzekł żartobliwym tonem — jakże naiwnie i poetycznie wyrażasz się, moja ty mała siostrzyczko! ale prawda! tyś takie jeszcze dziecko!

Szczupła postać, pochylona śród cieniu nad poręczą fotelu, wyprostowała się nagle. Można było sądzić przez chwilę, że wstanie i odejdzie. Nie uczyniła jednak tego.

— Marysiu — wymówił ten sam co wprzódy głos cichy i głęboki — ja nie jestem dzieckiem... chciałam mówić dziś z tobą, jak siostra dorosła ze starszym bratem...

— Doprawdy? — uśmiechając się wciąż, odrzekł Maryś, — a więc o czémże mówić chcesz ze mną, moja ty siostro dorosła? Może o narzeczonym swym, którego, wierzaj mi, z największą przyjemnością zobaczę szwagrem moim?

— Marysiu! ja nie jestem dzieckiem! proszę cię, o proszę! nie mów do mnie takim żartobliwym tonem! mnie bardzo smutno!

— Jeśli ci smutno naprawdę, no to już powiedz mi przyczynę swego smutku...

Postać, rysująca się wśród cieniu w szczupłych i wdzięcznych zarysach, pochyliła się znowu nad poręczą fotelu.

— Marysiu! ja jego wcale, wcale nie kocham!

Słowa te wymówiła cichym, lecz pewnym głosem. Splotła ręce na ramieniu brata i ciszéj jeszcze dodała:

— Marysiu, o! proszę cię! poradź, co mam uczynić!

Tym razem Maryan przybliżył twarz swą do twarzy siostry i wpatrywał się w nią przez chwilę z niepokojem. Niespokojność jego krótko przecież trwała.

— Nie kochasz Artura? — rzekł — a jednak jest to człowiek, który ze wszech względów stosownym będzie dla ciebie mężem. Pokochasz go téż z pewnością. Jesteś zbyt naiwną i nieznającą ludzi i życia, abyś serce swe teraz już zrozumiéć mogła.

— Marysiu, ja nie jestem już dzieckiem! — powtórzył głos cichy i przesiąknięty głębokim smutkiem — chciała-bym sama rozrządzić sercem swojém i ręką...

Maryan zaśmiał się półgłosem. W śmiechu tym jego słychać było trochę goryczy.

— Alboż sądzisz, że ktokolwiek z nas rozrządza sobą według swéj woli? — wymówił zwolna i pochylił

na dłoń głowę, która snadź zaciężyła mu nagle przykremi wspomnieniami. — Wszyscyśmy, droga moja, mniéj lub więcéj poddani okolicznościom, trafom, własnéj niemocy, któż wié czemu... Życie, Żanciu, to nie sielanka...

— Czém-że jest ono, Marysiu?

— Walką chwilową, a potém poddaniem się, kto wié? poświęceniem...

Żańcia pochyliła głowę

— Poddaniem się... — wymówiła — tak, posłuszeństwem, uległością, słyszałam o tém, o! słuchałam tego, odkąd żyję... Ale... Marysiu! czy nie słyszałeś nigdy ludzi, rozmawiających o samodzielności? ja słyszałam. Pan Artur sam rozmawiał o niéj z tobą, z ojcem... Mówiliście, że to jest rzecz piękna miéć własną i silną wolę. Dlaczegoż więc mnie miéć jéj nie wolno?

Maryan milczał chwilę, zdziwiony zapewne słowami siostry, jakich się od niéj nie spodziewał.

— Dlatego — odrzekł po kilku sekundach namysłu — że nie wiedziała-byś sama, co zrobić z tą wolą, gdybyś ją miała. Ludzie mówią nieraz wiele o rzeczach, których nie praktykują, bo praktykować je bardzo trudno. Jeżeliś kiedy słyszała mię mówiącego o własnéj i silnéj woli, uważaj to za experyment wymowy, wydany z méj strony dla uprzejmych słuchaczy, za nic więcéj. Słuchaj! tyś szczęśliwa! nie potrzebujesz probować sił własnych i za-

wodzić się na nich tak, jak zawodzą się daleko silniejsi i doświadczeńsi od ciebie. Zostaw marzenia o samodzielności ludziom głodnym i bez dachu, którzy robią cnotę z potrzeby i wolą swą przenoszą góry dlatego, aby im deszcz niebieski na nos nie padał, gdy usypiają... Spuść się na rodziców naszych, którzy ci z pewnością gładziutką drogę przez życie utorują, i nie probuj nawet małą główką swą uderzać o mur, przed którym prędzéj czy późniéj uginamy się wszyscy...

Rzekłszy te słowa, Maryan powstał, i obu rękoma zgarnął w tył bujne swe włosy. Niezmożone, bezwiedne może westchnienie podniosło mu pierś wysoko; objął kibić siostry, pocałował ją w czoło i, pochwyciwszy stojący na stole kapelusz swój, szybkim krokiem opuścił pokój. Po chwili wstała, i z wolna przeszedłszy, przesunąwszy się raczéj, jak cień cichy, przez dwa obszerne pokoje, stanęła u drzwi, przepuszczających wązką smugę złotego światła.

Poruszyła z lekka drzwiami temi i zapytała z cicha:

— Czy mogę wejść, mój ojcze?

— Czy to ty, Żanciu? — ozwał się z wnętrza głos pana Jana — wejdź, moje dziecko, wejdź, proszę!

Pan Jan siedział przy biurku, na którém paliła się lampa, zajęty czytaniem książki. Odłożył książkę na stronę i zwrócił się ku wchodzącéj.

— Czego chcesz, moje dziecko? czy mama przysyła cię z czém do mnie?

Twarz pana Jana pogodną była i głębokiém ukojeniem wszelkich trosk rozjaśnioną; głos jego brzmiał łagodnie; giest, z którym wyciągnął rękę do wchodzącéj córki, miał w sobie coś ojcowskiego i przyjacielskiego zarazem. To téż Żancia śpiesznym krokiem przystąpiła ku niemu i, zaledwie skończył wymawiać swe wyrazy, klęczała już u jego kolan, a tuląc do nich głowę swą, okrywała je pocałunkami. Pan Jan, zdziwiony nieco, ale więcéj jeszcze rozrzewniony tym nagłym wybuchem czułości, pochylił się żywo ku córce. W gruncie rzeczy nie był on nigdy szczerym zwolennikiem surowéj powagi i udanéj obojętności, jakiemi w postępowaniu swém z Żancią rządziła się pani Herminia. Przez cały jednak czas wzrastania Żanci, stosował się do zasady swéj żony, tak, jak i w wielu innych względach, szanując wolę jéj i postanowienia. Od czasu do czasu jednak folgował nieco i dawniéj, niewzruszonéj u pani Herminii zasadzie téj, i czy to dorywczą pieszczotą, czy żartobliwém słowem okazywał niekiedy córce uczucie tkliwego przywiązania, jakie miał dla niéj. Teraz, gdy była ona narzeczoną, gdy blizkiém zamęzciem swém spełnić miała jedno z najżywszych życzeń jego i jednę z najpiękniejszych nadziei, zdało mu się, że (w nieobecności mianowicie pani Herminii), całkiem już i bez uszczerku dla powagi rodzicielskiéj, sercu

swemu pofolgować może. To téż podniósł córkę z ziemi, kibić jéj otoczył ramieniem i przyciągnął ją blizko ku sobie. Po twarzy Żanci płynęło, z pod spuszczonych powiek, kilka grubych i cichych łez. Pan Jan nie przestraszył się przecież łzami temi, owszem, uśmiechnął się na ich widok.

— Płaczesz? — wymówił na-pół żartobliwym, na-pół rozrzewnionym głosem — zwyczajna to rzecz u młodych dziewcząt, które opuścić mają wkrótce dom rodzicielski. Popłacz sobie trochę, moje dziecko, skoro u was kobiet nic już bez łez obejść się nie może, ale nie martw mi się tylko naprawdę. Przyszły mąż twój jest bardzo zacnym i uczciwym młodym człowiekiem, znamy go dobrze, bośmy na niego od kolebki jego patrzali... on ci zastąpi rodziców i braci, których opuścisz, i będziesz z nim z pewnością szczęśliwą...

Gdy pan Jan wymawiał ostatni wyraz, Żancia osunęła się znowu do jego kolan.

— Nie, mój ojcze! — wymówiła cichym, lecz pewnym głosem — nie! nie! nie będę z nim nigdy szczęśliwą!

Pan Jan podniósł ją znowu i uważnie w twarz jéj spójrzał.

— Jesteś jeszcze dzieckiem, droga moja — rzekł z powagą — i nie masz wyobrażenia ani o małżeństwie, ani o tém, co w niém szczęście stanowić może.

Oczy Żanci, oszklone łzami, tkwiły w twarzy ojca z wyrazem głębokiego smutku i gorącego błagania.

Pan Jan powiódł znowu dłonią po jéj włosach.

— Dręczysz się, moje dziecię, nadaremnemi zupełnie urojeniami. Dlaczego nie powierzysz ich matce? ona z pewnością potrafiła-by cię uspokoić. Ja, przyznam ci się, nie bardzo znam się na waszych kobiecych, zwykłych wam podobno przed każdym ważniejszym wypadkiem życia, trwogach, przeczuciach, przypuszczeniach i t. d. Wszak Artur Darzyc jest ze wszech miar godnym serca takiéj, jak ty, dobréj i niewinnéj dziewczyny. Jeżeliś go i nie pokochała dotąd, dowód to właśnie, że jesteś jeszcze takiém dzieckiem, iż naiwne serduszko twoje, albo nie wié samo, co w niém się dzieje, albo nie może jeszcze dla nikogo doświadczać podobnych uczuć! Przyjdzie to z czasem; mąż młody, zacny, wykształcony, jak Artur, potrafi przywiązać cię do siebie.

Kilka sekund pomiędzy ojcem a córką panowało milczenie. Z twarzy Żanci poznać można było, że walczyła z nieśmiałością i zawstydzeniem.

— Mój ojcze — wymówiła po chwili, nie podnosząc spuszczonych wciąż powiek — jeżeli miéć w sercu uczucie... takie... znaczy to nie być dzieckiem, ja nie jestem już dzieckiem... ja... kocham, mój ojcze... ale nie pana Artura.

Ostatnie wyrazy wymówione były szeptem, zale-

dwie dosłyszalnym, ale pan Jan wpatrzył się w córkę z żywém zdumieniem i z żywszym jeszcze przestrachem.

— Co?— zapytał, nie dowierzając jakby własnym uszom — kochasz kogoś, ale nie pana Artura? Cóżby to znowu być mogło? jakim sposobem? kiedy? kogo?

Żancia osunęła się do kolan ojca i szyję jego objęła ramionami. Policzki jéj pałały ognistemi rumieńcami, całe ciało drżało jak w febrze.

— Jakim sposobem? — powtarzał pan Jan — kiedy? gdzie? kogo?

— Pana Romana! — szepnęło dziewczę.

— Kogo? kogo? — przykładając niemal ucho do drżących ust córki, pytał pan Jan z niecierpliwością i obawą.

— Pana Romana!

— Jakiego pana Romana? co to za pan Roman taki? nie znam nikogo z takiém imieniem!

— Znasz, ojcze! — szeptała dziewczyna, twarzy i oczu nie odrywając od piersi ojca — pan Roman Wąsikowski...

Na dźwięk tego nazwiska, nagły, niepodobny do powstrzymania uśmiech, rozlał się po twarzy pana Jana.

— Co? co? — zawołał — Roman Gotard Bruno! niedoszły ten wirtuoz! zapoznany geniusz! żebrak w wytartym fraku, rozwożący osobiście po domach

bilety na własne koncerta! o nim to więc mowa! on to ma być współzawodnikiem Artura Darzyca w sercu mojéj córki! O, jakżeś ty zabawna, Żanciu! nie sądziłem doprawdy, abyś do tego stopnia była jeszcze dzieckiem! Roman Gotard Bruno! cha, cha, cha! ależ, moje dziecko! ten człowiek to nic, zero, to głupstwo chodzące, śmieszność uosobiona...

Mówiąc to, pan Jan śmiał się niepowstrzymanym, serdecznym śmiechem.

— Słuchaj, mała — ciągnął z niejakiém już niezadowoleniem — zkąd przyszło ci do głowy powiedzieć mi coś podobnego? Kiedyś mi powiedziała, że kogoś tam pokochałaś, zląkłem się naprawdę i o ciebie, i o Artura. Aż tu z wielkiéj góry wyskoczyła mysz mała, mniéj nawet, niż mysz, bo Roman Gotard Bruno!

Brwi Żanci drgnęły gwałtownie, lecz wnet wróciły do kamiennéj nieruchomości, która ogarnęła postawę jéj i rysy.

— Z tém wszystkiém widzę tu coś niedobrego! — bez śmiechu już i z namysłem mówił daléj pan Jan.— Aby ci myśl podobna przyjść mogła do głowy, musiał ci ten Ahaswerus, wiecznie błądzący za awanturami, jakiéś zuchwałe słowo szepnąć na ucho. Gdybyś miała więcéj doświadczenia i lepiéj znała ludzi i siebie, zaśmiała-byś się z tego już teraz, tak, jak śmiać się będziesz wkrótce zapewne, gdy bliżéj poznasz narzeczonego twego i, porównawszy go z głu-

pim tym pyszałkiem i zarozumialcem, zrozumiész, na jakie uczucia obaj oni zasługują. Tymczasem ja oświadczę jak najprędzéj panu temu, że bracia twoi lekcyi jego już nie potrzebują. Wolę, aby Loś i Roś mniéj dobrze grali na fortepianie, niż, żeby przybłęda jakiś, próżniak i włóczęga, śmiał ubliżać mnie i memu domowi okazywaniem córce mojéj jakichś wyimaginowanych, albo i udanych sentymentów.

Wrażenie rozśmieszające, któremu z razu uległ pan Jan, ustąpiło teraz przed uczuciem gniewu, nie względem córki przecież uczuwanego. Wstał i, przechadzając się po pokoju wzburzonym nieco krokiem, mówił więcéj do siebie, niż do Żanci:

— Otóż to skutki naszéj ludzkości i delikatności! Przyjęliśmy do domu intruza tego, podaliśmy mu rękę pomocy, patrząc przez szpary na głupotę jego, zarozumiałość i śmieszność; szanowaliśmy w nim człowieka ubogiego i przez innych upokarzanego; a on tymczasem ośmielił się pomyśléć o zawracaniu głowy naszemu dziecku, o prawieniu jéj zapewne jakichś andronów! Szczęście to całe, że miał do czynienia z dziewczyną niewinną, skromną i nieśmiałą; inaczej, kto wié, jakie myśli mogły-by jéj przyjść do głowy...

Żancia stała wciąż na tém samém miejscu, przed krzesłem, które opuścił jéj ojciec, blada, zimna, niema, z oczyma spuszczonemi i rękoma splecio-

nemi śród fałd sukni. Pan Jan stanął przed nią i, ochłonąwszy już z gniewu, uśmiechnął się znowu przy wspomnieniu nieprawdopodobnego zwierzenia córki.

— Cóż, Żanciu? — wymówił łagodnie — jestem pewny, że w téj chwili już czujesz całą niedorzeczność tego, coś mi powiedziała?

Żancia milczała. Pan Jan z trochą niepokoju patrzał na nią. Uśmiechnął się jednak żartobliwie i rzekł:

— Teraz już poproś mnie chyba bardzo pięknie, abym twojéj osobliwéj spowiedzi przed mamą nie zdradził, bo była-by porządna bura... nie prawdaż?...

Wziął w obie dłonie głowę córki i serdeczny pocałunek złożył na jéj czole.

— Jesteś wzruszoną, strwożoną, smutną, Bóg wié, jakie myśli plączą ci się po głowie, i nic dziwnego! Musisz być zgorączkowana nieco, i myślą o blizkiéj zmianie położenia, i przeszłą nocą niespaną... Idź, połóż się, zaśnij, i niech cię uspokoi wiara i pewność, że masz rodziców, którzy myślą o tobie i za ciebie... Mamie nie powiem o niczém, bo nie chcę ani jéj martwić, ani twego zaufania do mnie zdradzać; chociaż Bóg widzi, jaką niewinną i zabawną rzecz mi powiedziałaś... śmiać-by się z niéj mogli sami aniołowie w niebie...

Mówiąc to, pan Jan otworzył szufladę biurka.

— Weź to — rzekł, kładąc przed córką woreczek jedwabny, w którym świeciło kilka sztuk złota — weź to na odpędzenie wszystkich twych dziecinnych strachów... pojedziesz jutro z mamą do miasta i będziesz sobie za te pieniądze kupowała wszystko, co ci się tylko podoba... A jeżeli spotkasz tego niedoszłego wirtuoza, spójrz na niego tak, aby przypomniał sobie, że jesteś nietylko naiwną i dobrą dziewczyną, ale panną dobrze wychowaną, rozsądną i wiedzącą, co myśléć o takich ludziach, jak on!

W téj chwili ozwał się we drzwiach głos służącego.

— Pani prosi pana do swego pokoju!

Pan Jan raz jeszcze pocałował córkę w czoło i odszedł.

* * *

Ogień, palący się na kominku, jaskrawym blaskiem rozświecał ciemność, panującą w pokoju pani Róży. Młoda staruszka w całém swém bufiastem ubraniu, bez pufa tylko na głowie, spoczywała na wysoko usłanéj pościeli. Obok niéj siedziała Drylska i, na-pół drzemiąc, prawiła o czémś pani Róży, która nie drzémała bynajmniéj, ale, niespokojna i widocznie markotna, kręciła się na łóżku, a za każdym szelestem podnosiła głowę i spoglądała na drzwi od kury-

tarza. Drzwi te otworzyły się nakoniec powoli, cicho, i cichym téż i powolnym krokiem weszła do pokoju Żancia. Stanęła niedaleko progu z twarzą zwróconą ku Drylskiéj.

— Drylsiu! — wymówiła — proszę cię, zejdź na dół!

— A to po co? panieneczko — zagadnęła panna służąca, i chciała coś więcéj mówić, ale Żancia powtórzyła znowu:

— Przepraszam cię, Drylsiu, ale zejdź na dół.... muszę koniecznie pomówić z ciocią...

W stłumionym, z trudnością jakby z piersi wydobywającym się głosie jéj, była jednak taka głębia cierpienia, i taka zarazem moc upartego żądania, że Drylska, jakkolwiek urażona nieco, podniosła się z krzesła.

— A no dobrze! pójdę już sobie, pójdę! i bez tego miałam iść zobaczyć, czy tam do herbaty przygotowali wszystko, jak należy...

Zaledwie drzwi zamknęły się za wychodzącą Drylską, pani Róża zerwała się z posłania i podbiegła do Żanci.

— A cóż? — pytała z tajemniczą miną i szczerym niepokojem — powiedziałaś ojcu? cóż powiedział? mów-że dziecino! bo umrę od strachu, a serce bije mi jak młotem...

Żancia stała przed kominkiem z rękoma skrzyżowanemi na piersi i nie odpowiadała. Pani Róża przy-

stąpiła do niéj bliżéj jeszcze, ale zaledwie spójrzała w twarz jéj, zwróconą do ognia, zawołała z przestrachem:

— A cóż ci to jest, kochańciu? — wyglądasz jak statua jaka, ogniem nadziana!

Naiwny wykrzyk ten pani Róży trafnie jednak odmalował powierzchowność młodéj dziewczyny taką, jaką w istocie ukazywała się ona w téj chwili. Rysy jéj były sztywne, skamieniałe jakby, a na tle głębokiéj bladości, która je okrywała, jaskrawo odbijały leżące na policzkach różowe plamy, i z pod ściągniętego nieco łuku brwi wązkich, suchym, złotawym blaskiem paliły się ciemne, szkliste źrenice. Czerwone światło ogniska obejmowało nieruchomą postać tę, i migocące smugi rzucało na czarne uploty jéj włosów, i powłóczystą tkaninę jéj sukni. Żancia wyglądała w téj chwili, jak posąg, przez którego oczy i z-za przezroczystéj powłoki jego przebija się łuna roznieconych wewnątrz płomieni. Pani Róża, przelękniona i domyślająca się rozmaitych „awantur i okropności”, pochwyciła ją za obie ręce.

— No, mów-że, kochańciu! — zawołała — co się tam stało, żeś taka zalterowana? mów-że, rybko moja! przemów choćby jedno słowo, bo gotowam pomyśléć, że chcesz w ten ogień wskoczyć... Co ci ojciec powiedział...

Żancia po raz piérwszy, odkąd tu była, zwróciła

na twarz pytającéj ją natarczywie kobiety szkliste i błyszczące swe oczy.

— Co mi ojciec powiedział! — wymówiła zdławionym głosem — o! co on powiedział...

Przycisnęła skronie obu dłońmi i zaniosła się spazmatyczném łkaniem. W suchych oczach jéj nie było przecież łzy ani jednéj.

— Ja nigdy, nigdy, o! nigdy nie powtórzę tego, co ojciec powiedział! co on *o nim* mówił! Boże mój! Boże! co on *o nim* mówił! O! jaki ten świat niesprawiedliwy! Niedoszły wirtuoz! żebrak w wytartym fraku! tułacz bez domu!.. i cóż ztąd? ja go kocham!.. Śmieszność uosobiona!... niech sobie będzie! ja go kocham! kocham go właśnie za to, że jest zapoznanym, że jest żebrakiem, że jest tułaczem, że śmiesznym wydaje się ludziom! Niech ludzie poniewierają nim, niech się z niego śmieją; ja jedna wiem, jaki on szlachetny, wzniosły i jak nieszczęśliwy! ja jedna pojęłam duszę jego! i choć mi mówią, że jestem dzieckiem, ja jedna zrozumiałam tego, którego nikt nie rozumié!

Splotła ręce, przycisnęła je do skraju kominka, i z opartém na nich czołem, plecami zwrócona do pokoju, mówiła daléj:

— Jestem dzieckiem! gdzie tylko zwrócę się, do kogo przemówię, wszędzie i od wszystkich słyszę, że jestem dzieckiem! A więc pocóż dwa lata już temu ubrano mnie w długą suknią? dlaczegoż nauczono

mnie tak chodzić i mówić, jak powinna dorosła panna? dlaczegoż wydają mnie teraz za mąż? Mówią, że nie mogę jeszcze kochać, bo jestem dziecko, a wydają mnie za mąż! Słyszałam przecież zawsze, że kobieta powinna kochać swego męża! jakże ja go kochać będę mogła, kiedy jestem jeszcze takie dziecko, które samo nie wié, co się z sercem jego dzieje? Gdzie tylko zwrócę się, wszyscy mi mówią o wielkich przymiotach pana Artura! Może on i ma te przymioty wszystkie! ale cóżem ja winna, że ich nie widzę, nie rozumiem... nie cierpię go! zimny, pospolity! takiego, jak on, na każdym kroku spotkać można! W dniu zaręczyn ze mną, mówił mi o obowiązkach... Obowiązki! słyszę o tém ciągle, ale nie wiem, co to znaczy! po co mówić dziecku o tém, czego ono nie rozumié? ja pragnę serca, miłości... pragnę, aby mnie ktoś kochał nad wszystko, i szczęśliwym był, gdy mu okażę, że kocham go także...

Umilkła, zmęczona słowami, które wylewały się z jéj piersi palącym, niepowstrzymanym potokiem, ale po chwili znowu mówić zaczęła:

— Nikt mnie nigdy nie kochał... nikt... nikt... jeślim kiedy uczuła, że mi serce mocniéj uderza, i chciała przytulić się do czyjéj piersi, mówiono mi, że to exaltacya .. cóż ztąd? może to była i exaltacya, ja nie wiem, ale czułam zawsze, jak uczucie, którego nie okazałam, z ust moich, które zamknęły się, z oczu moich, które powinnam była spuszczać, spływało mi

do piersi jak fala... jak fala łez, które paliły... bolały...

Znowu przestała mówić na chwilę, zdawało się, że zapłakała, bo łkanie wstrząsnęło jéj kibicią, ale czoło opierała ciągle na splecionych i na skraju komina opartych ręku,—twarz jéj i łzy były niewidzialne.

— *On* jeden zrozumiał moję exaltacyą — mówiła znowu — tak, jak ja zrozumiałam szlachetność jego i wzniosłość... Odkąd żyję, słyszę zawsze, że poświęcenie jest rzeczą piękną i wzniosłą, że kobieta żyje dlatego, aby ulegać i poświęcać się! Któż mi zabroni ulegać *jemu*, poświęcić się dla *niego!* Mówią, że kobieta nie powinna miéć swéj woli! to nieprawda! gdyby Bóg chciał, aby tak było, nie dawał by jéj woli! A przecież w katechizmie uczyłam się: Bóg dał człowiekowi rozum, pamięć i wolę! Albożmama ulega ojcu? albożnie ma swojéj własnéj woli? Widziałam doskonale, że kiedy ojciec chce czego, a mama nie chce, staje się zawsze według woli nie ojca, ale mamy. I ja mam wolę tak samo, jak mama; a choć kazano mi, abym jéj nie miała, nie mogłam nic na to poradzić, że była ona we mnie... czułam dobrze, że ją mam i że było jéj we mnie coraz więcéj... coraz więcéj... Byłam uległą zawsze, robiłam wszystko, co mi kazano, ale miałam sobie moje własne państwo, w którém nikogo nie było ze mną, w którém byłam królową i panią... Nikt mnie nigdy nie pytał

o moje marzenia, nikt nie wiedział, jak często, jak pięknie marzyłam... Wszyscy myśleli, że ja o niczém nie wiem i starali się o to, abym nic nie wiedziała, i o niczém marzyć nie mogła, ani o miłości, ani o szczęściu... Cóżem winna, że dowiedziałam się? i jakże miałam nie dowiedziéć się?... widziałam przecież, jak znajome moje wychodziły za mąż i jak kochały... guwernantki same nieraz opowiadały mi o tém różne rzeczy, i tyś mi opowiadała, ciociu, i czytałam o tém wtedy jeszcze, gdy uczono mnie historyi literatury, i wtedy, gdym wykradła sobie parę książek z biblioteki Marysia, i przeczytała je w nocy, gdy Drylska spała i wszyscy spali... Dowiedziałam się wielu rzeczy, i wiem dobrze, że kobieta dlatego tylko żyje, aby *kochać*... że dla miłości trzeba wszystko poświęcić... że miłość jest wszystkiém... Oddawna widziałam w marzeniach moich ideał, dla którego pragnęłam poświęcić się i cierpiéć... cóżem winna, że, gdy piérwszy raz spójrzałam *na niego*, poznałam w nim ideał mój, o którym marzyłam, i pomyślałam zaraz, że *on* musi być bardzo szlachetny, wzniosły, poetyczny, że miłość *jego* musi być taka gorąca, czysta, wielka, taka, o jakiéj marzyłam... Cóżem temu winna, że nie mogę być taką, jaką wszyscy chcą, abym była? że nie mogę zrozumiéć i ocenić tego, kogo oni za godnego miłości uznają? że ideał mój zobaczyłam w tym, kim oni gardzą? że nie mogę wypowiedziéć przed nimi wszystkiego, co

czuję i myślę, bo nieśmiałość usta mi zamyka? że nie mogę dla ich zadowolenia wyrzec się ideału mego, bo prócz niego, żadnego innego na ziemi nie znam i nie widzę? że nie mogę odtrącić go od siebie, bo wierzę, że miłość jego dla mnie świętą jest i wielką, że jeśli-bym *go* zawiodła, złamały-by się orle skrzydła jego duszy, że umarł-by on może przeze mnie!...

W najwyższém uniesieniu podniosła twarz bladą wciąż, lecz oświeconą gorączkowym blaskiem oczu, rozplotła ręce i jedném ich poruszeniem zsunęła z głowy starannie upięte na niéj warkocze. Podwójne szpilki z brzękiem żelaza posypały się na podłogę, a kręte pasma kruczych włosów, wbrew symetryi, tak pilnie przez panią Herminią przestrzeganéj, zakryły jéj czoło i grube uploty opadły za uszyma na szyję i plecy. Drżącemi palcami rozpięła jedwabny stanik, zdjęła go szybko, a gdy upadł na ziemię, zaczęła rozwiązywać i rozrywać sznurki gorsetu. Niecierpliwym, nerwowym ruchem uwolniła kibić swą od ściskającego ją przyrządu, i rzuciła go zdala od siebie, w odległy kąt pokoju. Teraz, gdy z rozrzuconemi włosami, z nagiemi ramiony i na pół odkrytą piersią, przyodziana do pasa cienką tylko tkaniną zdobnéj w haft bielizny, a poniżéj opłynięta fałdzistą draperyą strojnéj, szeleszczącéj sukni, stała w gorącéj łunie dogasającego ogniska, postać jéj wydawała

się uosobieniem chaosu myśli i bezładu uczuć, przedstawiała wzór do obrazu zbuntowanego anioła.

— Nie chcę dłużéj tych kajdan! — zawołała, pełnym pogardy i nienawiści wzrokiem patrząc na leżący w kącie pokoju przyrząd, z płótna, stali, sznurków i rogów złożony; nie chcę dłużéj tych kajdan, ani dla ciała mego, ani dla duszy! swobody! ach swobody! swobody! swobody! znajdę ją *przy nim!* On nie powié, że jestem dzieckiem i powinnam być posłuszną! *on* nie usunie mnie od siebie, gdy mi serce mocniéj uderzy, a gdy zechcę powiedziéć, że kocham, nie będzie mi mówił, że to exaltacya! będę dla niego gwiazdą polarną, a on będzie ideałem moim, i dusze nasze polecą razem w świat sztuki i miłości, swobodne od kajdan zmateryalizowanego świata, kochające się tak, jak kochać się można tylko w marzeniu! Sam Bóg zesłał mnie dla niego za anioła pocieszyciela, i nie odstąpię go nigdy! przeniosę wszystko, porzucę wszystkich, poświęcę się *dla niego!*

Zmęczona długiém i namiętném mówieniem, z siłami wyczerpanemi wybuchem i gwałtem uczuć, osunęła się na ziemię, i na-pół omdlałą głowę opuściła na kolana pani Róży. Podniosła ją jednak wkrótce.

— Ciociu! — szepnęła błagalnie — ty nas kochasz... ty musisz ratować mnie i jego... prosiłam ojca i brata o ratunek i radę... nie usłuchali mnie...

powiedzieli, że jestem dziecko... otóż ja chcę być twojém tylko dzieckiem, ciociu... radź mi... ratuj!...

Pani Róża patrzała wciąż na roznamiętnioną, napół zda się nieprzytomną dziewczynę, szeroko otwartemi oczyma, które to zdumione były, wystraszone, i jakby osowiałe, to zachodziły łzami żalu i tkliwości. Od czasu do czasu z ust jéj wyrywał się wykrzyk cichy: „awantury! okropności!", ale zgłuszona jakby potokiem słów, lejących się z ust Żanci, milkła wnet i rękoma chwytała się za głowę. Teraz, gdy młoda dziewczyna, ramionami oplatając jéj kibić i cisnąc się do jéj kolan, szeptała:

— Radź mi... ratuj mnie i jego!

Młoda staruszka rozpłakała się na dobre.

— Jakże ja was, gołąbki moje, ratować będę? co ja dla was zrobić mogę? pójdę zaraz do Romulka i powiem, aby jutro tu przyszedł, to może będziecie mogli rozmówić się!

— Nie, ciociu! — z nowym wybuchem goryczy rzekła Żancia — nie ma *on* po co tu przychodzić! Ojciec powiedział, że mu dom swój wypowié! ja boję się! ja wiem, jaki *on* dumny, *on* tego nie zniesie i może ojca wyzwać na pojedynek, albo sam zabije się tu, zaraz, w moich oczach...

Zadrżała całém ciałem, tak ją przeraziły własne słowa. Nerwy jéj uległy zupełnemu rozprzężeniu, w wyobraźni panowały bezład i gorączka.

— Niéma innéj rady, ciociu, niéma! niéma! trzeba żebym... żebym...

Tu przyłożyła usta do uczernionych warkoczy pani Róży, i szepnęła jéj na ucho jakiś jeden krótki wyraz. Pani Róża znowu szeroko oczy otworzyła.

— Kochańciu! rybko! — krzyknęła — co ty wygadujesz? jak to być może? to rzecz niepodobna...

— Tak być musi, ciociu! — stanowczo wymówiła dziewczyna — czyż nie zdarzają się na świecie podobne wypadki? czyż mi sama o podobnych wypadkach nie opowiadałaś?

I znowu pochyliła się do ucha pani Róży, i szeptała jéj o czémś długo, z rozognioną twarzą i błagającemi oczyma, a ile razy młoda staruszka wstrząsała przecząco głową i usiłowała wyrwać się z jéj objęcia, ściskała ją mocniéj w ramionach, pocałunkami i łzami oblewając jéj pulchne, pobladłe teraz nieco od przestrachu policzki. Skończyło się na tém, że pani Róża, zwyciężona gorącemi prośbami ulubienicy swéj, a bardziéj jeszcze własném swém zamiłowaniem w romantycznych „awanturach" i tajemniczych knowaniach i spiskach, podniosła się żywo z siedzenia i, na-pół zgryziona, na-pół uradowana, wzdychając ciężko, uśmiechając się tajemniczo, kiwając głową smutnie i mrugając powiekami figlarnie, ubrała się w watową szubę, włożyła na głowę kapturek

i prędziutko, cichutko, tajemniczo wysunęła się z domu.

W parę minut po jéj wyjściu, do pokojów na górze wbiegła Drylska i zawołała w progu:

— Wszyscy już przy herbacie siedzą. Pani pyta się, dlaczego panienka na dół nie przychodzi?

Odpowiedzi nie było. Żancia leżała już w pościeli rozebrana zupełnie, z zamkniętemi oczyma, z głową do połowy utuloną w kołdrze.

— Śpi — szepnęła duegna, pochylając się nad rozognioną twarzą dziewczyny — niech sobie śpi nieboractwo! Zmęczyła się wczorajszemi tańcami, a i temi zaręczynami także, co to sprawili jéj, Panie odpuść, ani pytając, ani prosząc!

Z ostrożnością, na palcach przeszła przez pokój, i zatrzymując się u drzwi, wstrząsnęła głową z niejakiém zakłopotaniem.

— Pani będzie gniewać się na mnie, żem jéj pozwoliła położyć się bez wiedzy pani, i że przed położeniem się nie oddała ona nikomu „dobranoc!” No! niech sobie gniewa się! Kiedy zaręczyli ją i chcą, aby szła za mąż, to już przecie powinni pozwalać i na to, aby, nie pytając się nikogo, szła spać kiedy zechce...

VI. Za co? dlaczego?

Wbrew przewidywaniom Drylskiéj, pani Herminia przyjęła wiadomość o przekraczającém reguły domowe położeniu się do snu swéj córki nietylko bez wymówek i niezadowolenia, ale z zupełną obojętnością, roztargnieniem i zamyśleniem spowodowaną. Przy stole, zastawionym przyborami do herbaty, państwo Brochwiczowie siedzieli tylko we dwoje, a pan Jan, tak jak i pani Herminia, miał minę zafrasowaną nieco, a bardziéj jeszcze zdziwioną.

— Nie domyślasz się, gdzie mógł-by on bawić tak długo? — zagadnęła męża pani Herminia, gdy tylko Drylska, ułatwiwszy się z przyrządzaniem herbaty, wyszła z pokoju.

— Bynajmniéj — odparł pan Jan — nie sądzę, aby ktokolwiek pomyślał dziś o zaproszeniu go do siebie... zaprosiny takie były-by zupełnie nieprzyzwoitemi, a nawet niedelikatnemi.

Pani Herminia wzruszyła ramionami.

— Przecież — rzekła — gdyby Maryś otrzymał podobne zaproszenie, powinien-by ze wszech względów odmówić, i piérwszy wieczór po ślubie spędzić z żoną.

— Naturalnie — potwierdził pan Jan, i oboje małżonkowie milczeli długo, z niespokojnością oczekując odgłosu dzwonka, który-by im oznajmił powrót od dwóch godzin nieobecnego syna.

— Czy byłaś u Teofili? — przerwał milczenie pan Jan.

— Dwa razy. W godzinę po obiedzie poszłam na chwilę do jéj pokoju, będąc pewną, że znajdę tam i Maryana... Pół godziny potém, byłam u niéj znowu, aby zapytać ją, czy nie potrzebuje czego i czy będzie piła herbatę z nami, albo u siebie...

— Jakże ją znalazłaś? co robi?

— Znalazłam ją siedzącą przy lampie z książką...

Pan Jan zżymnął się.

— Piérwszego wieczoru po ślubie, siedzi sama jedna z książką...

— Któréj nie czyta — przerwała pani Herminia — siedzi z czołem opartém na ręku, i doprawdy, patrząc na nią, nikt-by nie domyślił się, że wczoraj dopiéro odbył się jéj ślub i wesele.

— Zapewne — rzekł pan Jan — jakże ma być wesołą, skoro nazajutrz po ślubie siedzi sama jedna z książką... Co się stało Marysiowi?

W kilka minut po téj rozmowie, ozwał się nakoniec w przedpokoju głos dzwonka i do jadalnéj sali wszedł Maryan. Machinalnie jakby zbliżył się do stołu i, milcząc, zajął miejsce w pobliżu rodziców.

Pan Jan popatrzył na syna z niezadowoleniem, a większém jeszcze zdziwieniem, czoło bowiem młodego człowieka schmurzone było, a wzrok roztargniony i przykro jakoś zamyślony.

— Gdzie byłeś, Marysiu? — ze zwykłym sobie odcieniem surowości w głosie, zapytała pani Herminia.

Maryan podniósł głowę ruchem człowieka, wyrywanego z głębokiéj zadumy.

— Gdzie byłem? — powtórzył z wahaniem — wyszedłem, aby przejść się trochę.

Deszcz, który padał dnia tego, bujne, gęste krople pozostawił na włosach jego i ubraniu, policzki jego zarumienione były od fizycznego zmęczenia. Widoczném było, że nie kłamał, mówiąc, iż odbył przechadzkę, a tylko powierzchowność jego kazała się domyślać, że chodzić musiał długo i szybko.

— Gdzie jest Drylska? — rzekł po chwili, oglądając się Maryan — chciał-bym, aby nalała mi herbaty.

Pan Jan i pani Herminia zamienili się spójrzeniami.

— Sądziłem — rzekł pan Jan — że będziesz pił herbatę z żoną.

Maryan szybko powstał z krzesła.

— A! — rzekł, przeciągając dłoń po czole — czy pani Teofila jest u siebie?

I, nie czekając odpowiedzi, odszedł.

Nazajutrz, stary jak świat aksyomat, opiewający, że na téj ziemi wesele następuje po smutku, a smutek po weselu, wybitne znalazł sprawdzenie w domu Brochwiczów. Dnia tego, który był trzecim zaledwie

dniem, po tak radosnych wypadkach i weselnych zabawach następującym, wszyscy byli tam zwarzeni i jakby zaniepokojeni czémś, niedobrze określoném jeszcze, ale niemile świtającém na horyzoncie domowego życia i domowych, tak świetnych niedawno, nadziei. Na pozór wszystko szło trybem zwyczajnym: pan Jan siedział z książką w swoim gabinecie; pani Herminia poważnym krokiem i z pełną powagi twarzą, przechadzała się po domu; Żancia wyszywała poduszkę w krośnach, obok których Artur Darzyc przesiedział parę godzin milczący i zachwycony skromném milczeniem swéj narzeczonéj. Jedna tylko pani Róża ruszała się dnia tego w sposób u niéj nawet niezwyczajny. Wychodziła co chwila z domu, wracała, wychodziła znowu, pisała jakieś tajemnicze listy i kartki, liczyła ukradkiem odrobinę pieniędzy, znajdujących się w zielonéj sakiewce, zamkniętéj w starożytnym *redikiulu*; ile razy spotkała się z panią Herminią, lub panem Janem, mrugała powiekami ze zdwojoną szybkością i prześlizgiwała się co prędzéj w inną stronę, jakby widoku rodziców Żanci uniknąć pragnęła; chwilami uśmiechała się figlarnie, to znowu ocierała łzę z oka i trzęsła głową, w sposób oznaczający najwyższe zakłopotanie i zmartwienie; przy obiedzie nakoniec nie ukazała się wcale. Nikt jednak nie spostrzegł, że miejsce przy stole, zajmowane zwykle przez wiecznie ruchliwą młodą staruszkę, było nieza-

jętém; cóż bowiem znaczyła jéj nieobecność, wobec trwającéj od dość wczesnego ranka nieobecności w domu młodego nowożeńca.

Maryan wyszedł dnia tego z domu o dość wczesnéj porze, i nie było go jeszcze o zwykłéj obiadowéj godzinie. Teofila oznajmiła przez służącego, że jeść będzie obiad w swoich pokojach.

Państwo Brochwiczowie zasiedli do stołu, zmieszani oboje i zafrasowani, ale, przez wzgląd na córkę i młodszych synów, nie wyrzekli ani jednego wyrazu w przedmiocie, który zadziwiał ich i niepokoił.

Po obiedzie jednak, pan Jan nie mógł już spokojnie oddawać się czytaniu. Wstawał co chwila z krzesła, dzwonił i zadawał służącym pytanie:

— Czy syn mój wrócił?

Maryan nie wracał.

Pani Herminia przechadzała się po domu krokiem coraz mniéj poważnym i spokojnym. Parę razy wchodziła do pokojów synowéj i opuszczała je z twarzą coraz bardziéj zasępioną.

Żancia nie zasiadła dnia tego ani razu do fortepianu, od kilku godzin nie wyszywała już w krosnach i nie ukazywała się nawet wcale w bawialnych pokojach; ale pani Herminia, wbrew wszystkim swym zwyczajom, nie przywoływała córki do siebie i nie napędzała jéj do codziennych obowiązkowych zajęć. Cała myśl jéj zajętą była tą razą tak niezwykłém, i ze względu na okoliczności, nieprzyzwoitém wydale-

niem się z domu Maryana, z domu, w którym młoda małżonka jego pozostawała sama jedna, i jak to widziała pani Herminia, wchodząc dnia tego kilka razy do jéj pokojów, przesiadywała godziny całe w głębokiém zamyśleniu, zimna i obojętna na pozór, lecz w gruncie widocznie wzburzona, przemawiająca do odwiedzającéj ją teściowéj z uprzejmością i w naturę jéj wzrosłym wdziękiem, lecz z ukrywaną i w zupełności ukryć się niedającą, smutną, a chwilami wyniosłą jakby urazą.

O zmroku pan Jan wszedł do salonu.

— Cóż? — zapytał — niéma go jeszcze?

— Niéma — odrzekła pani Herminia, i z niezwykłym sobie niepokojem w głosie dodała: — czy tylko nie spotkał go nieszczęśliwy jaki wypadek? może zachorował nagle?

— Zkąd znowu? Tak młodych i pełnych sił ludzi, jak Maryś, i w biały dzień do tego, nieszczęśliwe wypadki nie spotykają na każdym kroku. Jestem w tym względzie zupełnie spokojny.

— A więc — zawołała pani Herminia — cóż-by znaczyć mogło to jego uciekanie z domu na drugi i na trzeci dzień po ślubie! interesów do załatwienia nie ma on przecież żadnych, ani téż zajęć, które-by go za domem trzymać mogły! Przyznaj sam, *Jean*, że podobne postępowanie nasunąć może Teofili, Bóg wié, jakie myśli i podejrzenia. Jest-to nietylko już obojętność, ale nawet lekceważenie wszystkich względ-

dów szacunku i przyzwoitości, które słusznie urazić ją może...

— Ależ przyznaję, przyznaję to wszystko! — mówił pan Jan, szybkim krokiem przechadzając się po pokoju — i wcale nie pojmuję, co się temu chłopcu nagle stać mogło! Był w niéj przecież tak zakochanym! taka to piękna, urocza istota... postępował zresztą zawsze i we wszystkiém tak rozsądnie i przyzwoicie...

Gdy pan Jan wymawiał ostatnie wyrazy, z bramy domu wyjechał powóz i zatrzymał się przed oknami mieszkania. Pan Jan spójrzał przez szybę.

— Konie i powóz Marysia — rzekł, i pośpiesznie zadzwonił.

— Kto kazał założyć konie pana Maryana?— zapytał służącego.

Rozkaz pochodził od Teofili. Pan Jan niespokojne spójrzenie rzucił na żonę, która odpowiedziała mu wzruszeniem ramion, niewiadomość i niezadowolenie objawiającém, i śpiesznie wyszedł do przedpokoju. W téj saméj chwili młoda żona Maryana wyszła ze swych pokojów, i owinięta fałdzistém okryciem, ze spuszczonemi oczyma i zaciśniętemi nieco usty, krokiem powolnym i wyniosłym dążyła ku drzwiom od sieni. Pan Jan zaszedł jéj drogę i serdecznym ruchem wyciągnął ku niéj rękę.

— Dobry wieczór, droga Teofilo — rzekł — jeszczem cię dziś nie widział!

— Witam pana — z chłodną grzecznością odparła młoda kobieta, i zarazem oczy jéj podniosły się na twarz pana Jana zamyślone i błyszczące na dnie połyskliwym blaskiem uczuć wzburzonych, a drobna ręka końcami palców zaledwie dotknęła dłoni, wyciągniętéj ku niéj z poufałością i serdecznością ojcowską. Wyraz „pana" przykro zabrzmiał w uszach Brochwicza; oddawna dawał on Teofili w myśli swéj imię córki, a ona w dniu ślubu swego z Maryanem nazywała go ojcem.

— Opuszczasz nas pani — rzekł z pewném już wahaniem — miałem nadzieję, że wieczór dzisiejszy przepędzimy razem.

— Jadę do matki — odpowiedziała z wolna młoda kobieta, a w głosie jéj pan Jan dosłyszał oddźwięk usilnie stłumionych łez i srodze zranionéj dumy.

Ukłoniła się chłodno i wyszła; pan Jan wrócił do pokoju, w którym znajdowała się żona jego, zmartwiony i gniewny. Lekceważące, ubliżające nawet postępowanie Maryana z młodą żoną, gniewało go, jako ojca; martwiło, jako dawnego przyjaciela pani Natalskiéj, i wielbiciela zalet i wdzięków młodszéj z jéj córek; oburzało nakoniec, jako szlachcica, przechowującego tradycyjny w szlacheckich rodach szacunek dla kobiety, i światowego człowieka, u którego szacunek ten był nałogiem, nieodłącznym od stosunków rodzinnych i towarzyskich.

— Pojechała obrażona i ledwie niepłacząca — mówił do żony z wielkim smutkiem i gniewem — ciekawym, co pomyśli sobie pani Jadwiga o nas i o Maryanie, gdy zobaczy córkę swą w takiém usposobieniu. Przyjęliśmy do rodziny naszéj osobę młodą, śliczną pod każdym względem, wypieszczoną i nad wszystko ukochaną przez matkę, i na trzeci już dzień po wejściu jéj w dom nasz, doświadcza ona śród nas zmartwienia, lekceważenia. Zawstydza to mnie i martwi do najwyższego stopnia!

Udał się do gabinetu swego i zasiadł przy lampie z książką. Ale nie mógł przeczytać ani jednéj stronicy. Blada i zimna twarz młodéj synowéj stała wciąż przed jego oczyma; ubliżenie, które spotkało ją ze strony jego syna, ciężyło mu na sercu. Po godzinie poszedł znowu do żony.

— Niéma Maryana? — zapytał krótko.

— Niéma — również lakonicznie odpowiedziała pani Herminia, która tylko co właśnie zstąpiła ze wschodów, prowadzących do pokojów, na górze położonych. — Feralny dziś jakiś dzień dla nas — mówiła daléj — Żancia zachorowała na ból głowy i położyła się do łóżka.

— Ból głowy przejdzie — rzekł pan Jan — jeśli zresztą dziecko ma trochę gorączki, wezwij doktora; z Maryanem gorzéj, bo zupełnie niewiadomo, gdzie się on obraca i co się z nim dzieje. Jeżeli za godzinę nie wróci jeszcze, pójdę na miasto i dowiem się,

czy niéma go w którym ze znajomych nam domów. Zaczynam doprawdy mieć bardzo przykre i różnostronne obawy.

W salonie pani Natalskiéj zmrok zapadał, gdy służący oznajmił, że przed domem zatrzymał się powóz młodéj pani Brochwiczowéj. Pani Natalska z okrzykiem radości i żywością uczucia, które nie ogląda się na żadne względy wieku, lub powagi, rzuciła się ku drzwiom na spotkanie córki. W progu już objęła ramionami jéj kibić i, gorące usta przyciskając do pochylającego się ku jéj ręce czoła Teofili, z pełną wylania czułością mówić zaczęła:

— Jakże to dobrze, że przyjeżdżasz dziś i sama jedna! O! nie obraź się tylko na mnie za swego Maryana! lubię go serdecznie i za syna uważam. Ale widzisz, tyle pytań mam ci zadać, o tylu rzeczach pragnę z tobą pomówić! Wczoraj wprawdzie widziałam cię w twém nowém otoczeniu kochaną i szanowaną, ale dziś zjęła mię wielka niecierpliwość pomówienia z tobą sam-na-sam, pomówienia z tobą tak, jak tylko matka z córką mówić może, z sercem przy sercu, z ustami przy ustach! Była-bym przybiegła do was sama choć na chwilę, ale miałam skrupuły! Nie chciałam mącić wam obecnością trzeciéj osoby tych piérwszych chwil, w których serca wasze powinny przeniknąć się do głębi i spoić węzłem, mającym trwać życie całe! nie chciałam okazywać ani cienia nieufności tym zacnym ludziom, którzy z taką miło-

ścią, z taką radością przyjęli cię do swéj rodziny! Ale ponieważ przyjechałaś sama, to dobrze! chodź, siadaj tu przy mnie! Zdaje mi się, żem cię już rok nie widziała, i dom mój tak mi pusty, smutny bez ciebie!

Mówiła to wszystko z uśmiechem na ustach, z czołem rozjaśnioném i ze łzą w oku. Usiadła na krześle najbliższém i pociągnęła córkę ku swéj piersi; ale Teofila osunęła się do jéj kolan i, pochylając głowę, wymówiła z miłością i bólem w głosie:

— O, moja matko! pocóżem cię opuściła? dlaczego dłużéj, a choć-by nazawsze, nie pozostałam przy tobie!

Na słowa te, pani Natalska szybkim ruchem schyliła się ku córce.

— Co znaczą słowa twoje? droga moja! czy to piérwsze widzenie się ze mną sam-na-sam tak cię rozrzewnia? a może poróżniłaś się z Maryanem? powiédz! może on nie chciał, abyś dziś jeszcze wyjeżdżała z domu jego sama jedna? W takim razie, trzeba było z nim pozostać!

Teofila podniosła schyloną dotąd głowę. Widać było, że walczyła z sobą chwilę, że pragnęła ukryć przed matką to, czego doświadczała, ale przechodziło to jéj siły.

— Matko! — wyrzekła z goryczą i uniesieniem — nie mogłam pozostać z mężem, bo go wcale dziś nie widziałam... pozostawił on mnie samę i dał mi czas

do namysłu... to też w godzinach tych, w których, na samym wstępie wspólnego naszego życia, ujrzałam się pogardzoną i upokorzoną, pojęłam, że omyliłam się strasznie...

Pani Natalska z osłupieniem słuchała słów córki.

— Pogardzoną! upokorzoną! to być nie może, Teofilo! tobą miano-by pogardzać! ciebie upokarzać! omyliłaś się? na kim? na czém?

Oczy Teofili płonęły bólem i zranioną dumą. Widać było, jak walczyła z sobą z całéj siły, aby nie wybuchnąć głośnym płaczem.

— Matko! matko! on wziął mnie za żonę dlatego tylko, aby majątek mój do swego majątku przyłączyć!... zadał gwałt swemu sercu, a może i sumieniu... ujrzałam to w jego smutku ukrytym i czułości —udanéj; uczułam to, gdy wczoraj jeszcze odszedł ode mnie chmurny, a wrócił z przymuszoną wesołością na ustach; pojęłam to do reszty dziś, gdy, gniewna i upokorzona, spuszczać musiałam oczy z zawstydzeniem przed ludźmi, którzy widzieli mnie opuszczoną, i tak prędko już samę jednę! Widziałam dobrze, że nie kochamy się tak, jak ludzie kochać się mogą... powinni może... ale myślałam, że znajdę w nim przynajmniéj iskrę jakiegoś uczucia, że sama pokocham go — z czasem...

— Czy śnię? — ze wzrastającą coraz trwogą mó-

wiła matka — myślałaś, że pokochasz go z czasem? alboż go nie kochałaś!

Ból, czy wstyd, czy może obawa zadania ciosu sercu matki, tamowały z razu głos młodéj kobiety. Była to jednak dla niéj chwila rozpaczy i zwątpienia, w któréj milczéć nie mogła. Pochyliła twarz na obie dłonie i szepnęła:

— Nie!

Pani Natalska pochwyciła córkę w ramiona, jakby ją przed jakiémś nagle dojrzaném niebezpieczeństwem ochronić chciała.

— Dziecko moje! — mówiła szybko i z cicha — coś ty powiedziała? to nieprawda, albo ja źle usłyszałam! Wszakże ja wiem, czém jest małżeństwo bez miłości, długie, długie życie bez domowego szczęścia... ja dla was, dla ciebie i siostry twéj, lękałam się zawsze życia takiego... pozwoliłam wam rozpatrywać się wśród świata dowoli, poznawać ludzi, którzy was otaczali... nigdym żadnéj z was nie zmuszała do niczego, tém bardziéj do tak ważnego kroku, jak wybór męża... jeżeliś go nie kochała? dlaczego? dlaczego?

Zadawała pytania te szybko, natarczywie, gwałtownie, odrywała dłonie córki od jéj twarzy, i badawcze, trwożne spójrzenie zatapiała w oczy jéj, błyszczące śród zmroku łzą i ogniem. Teofila nieodpowiadała długo; w zawstydzeniu jakby głębokiém chyliła głowę ku kolanom matki, aż nako-

niec podniosła ją, i cichym, wahającym się głosem, rzekła:

— Dlaczego?... mamo... myślałam przecież, że nie mogę pozostać przy tobie nazawsze, że prędzéj, czy późniéj, tego lub innego żoną zostać muszę...

— Teofilo! co mówisz? alboż cię wyprawiałam z domu mego przemocą, lub choć-by namową? dlaczego-żeś nie czekała? dlaczego-żeś nie wybierała dłużéj?...

Dziwny uśmiech, w którym bunt gorzki splatał się z bierną rezygnacyą, okrążył usta młodéj kobiety.

— Pocóż-bym czekać miała? Wiedziałam dobrze, że z pomiędzy wszystkich tych, którzy starali się kiedy, lub starać się mogli o moję rękę, z pomiędzy wszystkich, którzy mi równi byli... którzy stanowili świat znany mi i dozwolony, on, nie kochany przeze mnie i mnie niekochający, był jednak — najlepszym, i... matko moja! sama mówiłaś to nieraz, na męża mi najstosowniejszym... Myślałam, że zapomnę wkrótce o tém, czego pragnęłam kiedyś... o czém marzyłam... myślałam, że poddam się z łatwością konieczności życia i, mając wiele, wyrzeknę się tego, czego miéć nie mogłam... myślałam, że *on* będzie mi mężem, jak był narzeczonym znośnym, miłym nawet czasem i z daleka... gwar mnie ogłuszył — próżność zaślepiła, myślałam, że inaczéj uczynić nie mogę i nie powinnam... omyliłam się, mamo, omyliłam się! trze-

ba mi było lepiéj nazawsze pozostać przy tobie... albo... albo bez względu na nic, odważnie pójść za głosem serca...

Przycisnęła obie dłonie do piersi i zawołała z wybuchem:

— O! ta tajemna historya mego serca! ty o niéj nic nie wiedziałaś, mamo! a ja myślałam, że ostatnie słowo jéj umilkło już we mnie oddawna, i teraz... teraz dopiéro... dziś... w dniu smutku i upokarzającéj samotności, pojęłam, że historya ta skończona tylko dla świata — dla mnie — nie!

Ostatnie słowa Teofili, posiadały dla pani Natalskiéj znaczenie niezrozumiałe; zdumiona jednak, przelękniona, i własnym uszom wierzyć niechcąca, nie myślała teraz o ich wyrozumiewaniu. Kilka wyrazów, wymówionych przez córkę jéj, uwięzło w jéj głowie i upornie powtarzało się w pamięci. Chciała cóś mówić, zapytywać córkę, badać niepojęte dla siebie jéj usposobienia i uczucia, złożyć może wszystko na chwilowe nieporozumienie małżonków, i nieszczęśliwy, lecz dający się łatwo naprawić zbieg okoliczności; ale zamiast wszystkiego tego, wymówiła tylko:

— Ze wszystkich, którzy równi jéj byli... którzy stanowili świat znany jéj i dozwolony.

Wymówiła słowa te w sztywném zamyśleniu, z oczyma szklisto wpatrzonemi w przestrzeń, tak, jakby machinalnie powtarzała myśl niezrozumiałą je-

szcze dobrze, ale natrętną, upartą. Nagle drgnęła i wytężyła wzrok w stronę salonu, w któréj ozwał się płacz cichy, i zaszeleściła powoli sunąca się po posadzce jedwabna suknia. W głębi oszklonéj alkowy, śród szarego światła, wnikającego przez szerokie szyby, podniosła się z sofy, na któréj niewidzialna i zapomniana, spoczywała dotąd smukła i wiotka postać starszéj jéj córki. Żona Adama Darzyca, zwana powszechnie w towarzystwach smutną Heleną, powolnym i chwiejącym się krokiem przebyła salon i, osunąwszy się na posadzkę u nóg matki, z cichym płaczem zarzuciła ramiona na szyję siostry.

— Słyszałam wszystko, Teofilo, słyszałam wszystko! — mówiła śród łkań nerwowych. — A jam myślała, że ty przynajmniéj szczęśliwszą ode mnie będziesz... i dlatego taiłam wszystko, com czuła... w dniach niewymownych męczarni serca, cierpiałam z poddaniem się... w milczeniu...

Pani Natalska wyprostowała się, jak struna, i gwałtownym giestem pochwyciła rękę starszéj córki.

— Męczarni serca!.. — powtórzyła głuchym głosem — więc doświadczałaś ich, Heleno! więc domysły moje i przypuszczenia, od których odwracałam oczy, w które zaglądać lękałam się, mówiły mi prawdę! Więc twoje łzy częste i szybkie więdnięcie i upadanie na siłach, nie z samych tylko fizycznych cier-

pień pochodzą! Więc i ty także, Heleno, nieszczęśliwą jesteś!...

Łkania Heleny umilkły na chwilę. Z ramionami obejmującemi wciąż szyję Teofili i z twarzą na jéj piersi ukrytą, rzekła z cicha:

— Nie jestem i nie byłam nigdy szczęśliwą... jest-że dla kobiety inne szczęście, jak w domu... w rodzinie... w zadowoleniu serca?... Może być ono zapewne dla innych w balu i w pięknéj sukni, ale dla mnie go tam niéma... Nic mnie nie łączy z Adamem... nic... nic... żyjemy razem, ale obcy sobie myślami i uczuciami... zjednoczeni tylko nędzą fizycznych cierpień, którym podlegamy oboje — ja z tęsknoty i nudy, on — nie wiem... nie chcę wiedziéć z czego...

Zapłakała znowu, a z cichym odgłosem jéj płaczu złączył się głos cichszy jeszcze, zaledwie dosłyszalny, bo wychodzący z ust trzęsących się, jak liście, burzą miotane.

— Dlaczegoż więc zostałaś żoną jego? dlaczegoś go wybrała?

Helena niżéj jeszcze pochyliła głowę.

— Byłam bardzo... bardzo młodą... pamiętasz, mamo, że miałam zaledwie lat siedmnaście... byłam wesołą... bawiłam się ciągle... myślałam, że życie to tylko zabawa... potém zrozumiałam, że jest ono czém inném, ale zapóźno... Potém kochałam prawdziwie i bardzo, ale — nadaremnie! Milczałam długo... dziś

sił mi zabrakło, i powiedziałam wszystko... cóż znaczę i pocóż żyję na świecie?... Głowę mam pełną marzeń powiędłych, ręce bezczynne i pierś pustą.... O! jakże nie miałam zapłakać i powiedzieć wszystkiego, skoro ujrzałam, że przyszłość mojéj siostry będzie taką samą!...

Po tych słowach Heleny, zapanowało długie milczenie, śród którego słychać było tylko szybki i głośny oddech pani Natalskiéj, głębokie i ciężkie westchnienia Teofili, i usilne, lecz nadaremne mocowanie się z nerwowym płaczem jéj siostry. Po chwili, śród grupy, którą składały trzy te osoby, ozwał się szept cichy, lecz przeszywający.

— Bawiła się ciągle... myślała, że życie to tylko zabawa...

Snadź w głowie matki, spiorunowanéj wszystkiém, co słyszała, legła znowu ciężka, jak ołów, i uparta, jak straszna wątpliwość, myśl, zawarta w tych kilku słowach, które wplątały się w żałośną mowę jéj córki. Po chwili mówiła daléj:

— A jam was tak kochała! Wszystkie nadzieje moje w waszéj przyszłości złożyłam! Przyszłe szczęście wasze było jedyném słońcem, które osuszało łzy moje i rozjaśniało mi życie! Dla szczęścia waszego przenosiłam w milczeniu wszystko, co mi kiedy dolegało... dla niego pracowałam i rachowałam... myśląc o niém, bawić się i do ludzi uśmiechać się mogłam... aby sprowadzić je ku wam... aby je zapewnić, czyni-

łam wszystko, co mogłam i umiałam... a teraz... teraz... ach!

Podniosła się z siedzenia, splotła dłonie i, wyciągając je wysoko nad głową, nie szeptem już stłumionym, jak dotąd, ale z rozpacznym wybuchem głosu, zawołała:

— Boże mój! za cóż? dlaczego?...

Umilkła nagle, ale nie miała dość siły, aby zmienić postawę, chociaż do pokoju wszedł służący z zapaloną lampą w ręku i, postawiwszy ją na stole, wyszedł tak śpiesznie, jakby spostrzegł, że dzieją się tu rzeczy, których mu widziéć i słyszéć nie wolno.

Blask lampy obfitém światłem oblał postać wysoką, sztywną, z podniesioną w górę śmiertelnie bladą twarzą, z dłońmi splecionemi i wysoko wyciągniętemi nad głową, którą opłynęły w nieład wprawione, krucze i gęste jeszcze, gdzie niegdzie szronem siwizny posrebrzone włosy.

— Za co? dlaczego? — powtórzyła pani Natalska, ale ciszéj już i bez tego namiętnego wyrzutu, który, zwrócony do losu lub Boga, brzmiał wprzódy w jéj głosie.

Dziwne jakieś rzeczy musiały się dziać w jéj myśli, bo usta jéj oniemiały nagle, i drżące wprzódy, gwałtownie zwarły się silnie, a oczy szkliste i nieruchome tkwiły w przeciwległéj ścianie.

Przed wzrokiem zrozpaczonéj matki roztworzy-

ły się teraz na oścież ściany strojnie przybranego salonu, a za niemi wyraźne, nagłą światłością oblane, rozłożyły się przestrzenie szerokie, nieznane, pełne ludzi — nieznanych... Wśród tych miejsc wzgardzonych i ludzi nieznanych, było może szczęście jéj córek...

W jedném mgnieniu oka, kobieta ta nauczyła się, zrozumiała wszystko, czego przez życie całe nauczyć się i zrozumiéć nie mogła — nie chciała może... To, co nazywała dotąd mrzonką o równości ludzi, ukazało się jéj teraz nauką wielką, która, nakształt potężnego taranu, rozbijała mury złocone, lecz ciasne, oczom ludzkim odkrywając widnokręgi szerokie, krokom ludzkim torując drogi rozliczne...

Śród tych widnokręgów i na tych drogach było może szczęście jéj córek!... Jak młode słońca, zapaliły się teraz przed nią pojęcia o celach życia kobiety, które sprawiają, że nie ma ona „głowy pełnéj marzeń powiędłych, rąk bezczynnych i piersi pustéj". Patrzaniem w nowe słońca te gardziły zawsze jéj oczy, przywykłe do spoglądania na próchniejące drogoskazy szlaków starych, a jednak pod wzmacniającém światłem słońc tych było może szczęście jéj córek!...

Szepcąc niezrozumiałe wyrazy jakieś, wyrazy zapóźnych żalów i wyrzutów, nie losowi już ani Bogu, lecz saméj sobie czynionych, osunęła się na kanapkę,

przy któréj stała, i twarz dłońmi zakrytą utopiła w bogato haftowanéj poduszce. Tak wyniosła zawsze, pełna szlachetnéj i wdzięcznéj dumy, postać patrycyuszki ugięła się teraz w głębokiéj pokorze... Dotknięta ciosem strasznym i niespodziewanym, zrozumiała, że obok maluczkich wielkości kasty i konwenansu i po-nad niemi bardzo wysoko istnieją wielkości odwieczne, wszechludzkie, które, lekceważone, mszczą się za to na ludziach niepowrotnemi stratami... Zrozumiała, że, aby sprowadzić ku sobie szczęśliwe *jutro*, trzeba wzrok badawczy zapuścić w to, co *dziś* z sobą przynosi. Ona, wsłuchana w głosy, które dźwięczały nad własną jéj kolebką, nie dawała baczenia na te, które ozwały się wtedy, gdy urodziły się i wzrastały jéj córki... Nie zarzuciła na oczy ich, na wzór innych matek, ślepoty zupełnéj, ale uczyniła je jednookiemi; nie zakryła przed niemi świata i zjawisk jego grubą oponą dziecięcéj niewiadomości, ale ukazała im drobną część jego... oślepiona i głucha w połowie, rozminęła się z najwyższym, najdroższym celem swego życia, i sama, sama sprawiła, że istoty, za których szczęście oddała-by z ochotą wiekuistą szczęśliwość swéj duszy, rozminęły się ze szczęściem... Postawa jéj objawiała głęboką, głęboką pokorę, i wydawała się na pozór spokojną.

Dwie pary ramion oplatały jéj kibić, dwie twarze blade pochylały się nad jéj głową z wyrazami

pieszczoty i prośby o przebaczenie; ale ona nie odpowiadała im, nie słyszała ich może w téj chwili. Nieruchoma i osłupiała, pogrążyła się całkiem w ciemnych przepaściach rozmyślań, pełnych żalów zapóźnych, wyrzutów sumienia okrutnych i bezsilnéj rozpaczy.

Dwie siostry patrzały na siebie z trwogą i zawstydzeniem.

— Dlaczegośmy powiedziały jéj wszystko? —szepnęła Teofila.

— Dlaczego nie milczałam dłużéj? — powtórzyła Helena.

Dlaczego nie milczały? dlaczego mówiły? można-ż dziwić się słabym, że nie mają siły, albo zapytywać rozpieszczone dzieci, dlaczego zranione nie kryją łez swych, i nie tłumią swych jęków?

Po długiéj chwili milczenia, Teofila powstała i powolnym krokiem udała się w głąb' mieszkania. Nieprzeparta siła pociągu wiodła ją do tego pokoju, w którym upłynęło kilka najpiękniejszych, najszlachetniejszych może chwil jéj życia. Był to pokój, w którym niegdyś widywała Stefana. Teraz panował tu gruby zmrok wieczoru, rozświecony tylko smugami jaskrawego światła ulicznych latarni, wpływającemi przez dwa szerokie okna. Młoda kobieta, z pochyloną głową, z załamanemi dłońmi, stanęła śród migocących tych świateł i łzawemi oczyma rozglądała się wkoło. Tutaj upłynął krótki, lecz jedyny roz-

dział życia jéj, w którym dojrzała szczęście prawdziwe, gorące, rozumne i ludzkie, aby wyrzec się go dobrowolnie; tu z ust *jego* do jéj głowy przeszło tych myśli kilka nowych dla niéj, które wprawiły ją w zdumienie naprzód, potém w zachwycenie; tu z oczu *jego* wniknęły do piersi jéj te płomienie uczucia, o których myślała, że zgasną prędko, a które jednak nie zgasły dotąd. Obraz Stefana, który, wśród szarego światła i prozaicznych widoków sklepu, pomiędzy któremi widziała go po raz ostatni, zaćmił się i zeszpetniał w wyobraźni jéj na czas jakiś, powstał teraz przed nią wyraźniejszy i piękniejszy, niż kiedy. Ujrzała go takim zupełnie, jakim widziała go po raz ostatni, z czołem uznojoném, w odzieniu noszącém ślady grubéj i prozaicznéj roboty, z rękoma opylonemi i zmęczonemi ciężkiém narzędziem pracy. Ale od obrazu tego nie odwróciła oczu z niesmakiem i rozczarowaniem, jak wtedy, gdy ujrzała go w rzeczywistości.

Teraz człowiek ten, mężny i pracowity, pełen sił cierpliwych i wytrwałych, z surowém czołem pracownika, które jednak bladło nieraz wzruszeniem pod blaskiem jéj źrenic, z zimnemi na pozór oczyma, na których dnie płonął jednak żar serca niesteranego, teraz, człowiek ten, pomimo swych rąk uznojonych i prozaicznych widoków, które go otaczały, stanął przed wzrokiem jéj wyobraźni, jak uosobienie niepojętego szczęścia, wzniosłéj, promienistéj, gorącéj poe-

zyi życia... Teraz do obrazu człowieka tego wyciągnęła ręce z rozpacznym, bo zapóźnym żalem, z tęsknotą straszną, która, ostrzem niewymownego bólu, przenikając do głębi całą jéj istotę, falę łez gwałtowną i palącą rzuciła do piersi jéj i oczu...

Nigdy potém nie umiała zdać sobie sprawy z tego, kiedy ugięły się jéj kolana i jakim sposobem przyszła do ukorzenia się tak głębokiego, że sama przed sobą, ona, świetna zawsze i królująca, przyznała się do dziecięcéj słabości i do dziecięcego bezrozumu, do ślepoty grubéj, która nie pozwalała dojrzéć jéj za brzydkiemi obsłonami ukrytéj prawdziwéj piękności, i do pychy bezmiernéj, która wtrąciła ją w nizką rolę kobiety-niewolnicy. Nigdy potém nie zdała sobie sprawy z tego, jak ciężko tam cierpiała w tym ciemnym pokoju, w którym promienisty i upragniony stał przed nią obraz Stefana; jak łamała ręce w tęsknocie i żalu; dlaczego mówiła mu ze łkaniem:—przebacz! przebacz! przebacz!—choć wiedziała dobrze, że on jéj nie usłyszy; ile razy wchodziła myślą do szarego sklepu i podawała mu obie dłonie, mówiąc z radością i dumą:

— Widzisz! mam odwagę, przychodzę i już nie odejdę!

Nie pamiętała potém nigdy i nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wiele wtedy łez wylała i jak długo klęczała tam sama jedna, wśród przeszywającéj ciemność pokoju czerwonéj smugi ulicznych latarni,

z twarzą ukrytą w dłoniach i schyloną nizko w pokorze bez granic, w żalu bez nadziei.

W progu pokoju stanęła pani Natalska.

— Tośko! — wymówiła z cicha — czy jesteś tu, moje dziecię?

Na głos matki, Teofila podniosła się z ciężkością i, jak upojona, chwiejąc się, postąpiła kilka kroków. Pani Natalska ujęła ją za rękę i, prowadząc ku roztwartym drzwiom obficie oświetlonego pokoju, powoli i z powagą wyrzekła:

— Trzeba, ukochana moja, abyś wracała...

— Dokąd, mamo?

— Do domu twego męża. Cokolwiek stało się, stało się nieodwołalnie. Nie możesz i nie powinnaś pozostać u mnie. Pójdź! ułóż na nowo włosy i suknię. Powóz będzie gotów za chwilę... odwiozę cię sama do domu męża, do jedynego domu, w którym pozostawać powinnaś!

Teofila słuchała matki w milczeniu i ze schyloną głową.

— Dobrze, mamo — rzekła bardzo cicho — pojadę... wrócę...

W głosie jéj i postawie była boleść niema i pokora głęboka.

VII. Spóźnione odkrycia.

Była godzina wieczorna przeszło dziewiąta, gdy Jan Brochwicz, niespokojny o syna, zgryziony odjazdem synowéj, nie wiedząc sam, co myśléć i czego się po tém, tak rychło zaszłém, młodego małżeństwa nieporozumieniu spodziewać, wyszedł na miasto. Zaszedł najprzód do mieszkania Darzyca ojca. Pora nie była jeszcze tak spóźnioną, aby przybycie jego zadziwić mogło kogokolwiek tam, dokąd ochotnicy bawienia się przy zielonych stolikach przybywali we wszelkich porach i zawsze mile witanymi bywali. Wprawdzie pan Jan do ochotników takich nie należał, niemniéj jednak zaproszono go z pośpiechem do zajęcia miejsca przy jednym ze stołów. Odmówił uczestnictwa w grze, co zresztą czynił zawsze prawie, i pokrywając zmartwienie swe i niepokój machinalnie prowadzoną rozmową, rozejrzał się po obszernym pokoju, napełnionym dość licznem gronem mężczyzn. Maryana tam nie było. Brochwicz zauważył, iż w zebraniu tém nieobecni byli także obaj synowie gospodarza domu, obaj bracia Natalscy i inni młodzi ludzie, którzy jednak dość zwykle uczęszczali do téj szkoły dostyngowanego poziewania i honorowego zabijania czasu.

— Cała młodzież kędyś emigrowała, a więc i Maryan z nią jest zapewne! —pomyślał Brochwicz, i nie-

znacznie wymknął się z mieszkania Darzyca. Przeszedł potém parę głównych ulic miasta, bardziéj jeszcze, niż wprzódy, markotny i niepewny, co czynić, gdy, nagle, mijając ściany największego i najwytworniejszego z miejskich hoteli, został uderzony myślą, że ktoś z młodych panów przyjechał może ze wsi i zaprosił do siebie rówieśną, w mieście bawiącą, młodzież. Wszedł do rzęsiście oświetlonéj sieni hotelowéj i zwrócił się do znajomego sobie dobrze szwajcara:

— Nie wiész przypadkiem, kochanku, czy syn mój nie znajduje się tu u kogo z przyjezdnych? mam do niego pilny interes!

— I owszem, Jaśnie Panie! — zrywając z głowy galonową czapkę, z wielkiém uszanowaniem odparł odźwierny — Jaśnie Pan Brochwicz młody od kilku godzin już bawi u nas w hotelu.

— U kogo? pod którym numerem?

— W restauracyi, Jaśnie Panie!

Brochwicz stał parę sekund nieruchomy, jakby własnym uszom wierzyć nie chciał. Prędko jednak przypomniał sobie odźwiernego, który na niego patrzył i, podziękowawszy mu za udzieloną wiadomość z uprzejmością, którą zazwyczaj niższym od siebie okazywał, wstąpił po szerokich wschodach na piérwsze piętro hotelu i znanemi sobie kurytarzami podążył ku wskazanemu miejscu. Przestał już być niespokojnym o zdrowie i całość syna, ale natomiast czuł

się srodze rozgniewanym i bardziéj jeszcze, niż wprzódy, zgryzionym.

— Od kilku godzin w restauracyi! — myślał, idąc — a więc to zabawa jakaś być musi, hulanka, obiad proszony, czy cóś podobnego! W porę się z tém wybrał, niéma co powiedziéć! I wierz-że tu młodości! Tak nie lubił zazwyczaj podobnych wybryków! tak od nich stronił! a teraz ni ztąd, ni zowąd... Piérwszy raz w życiu będę zmuszony zmyć mu głowę porządnie! Miał dotąd we mnie przyjaciela, bo zasługiwał na to, teraz powinienem pokazać się ojcem!...

Restauracya największego hotelu w mieście składała się z jednéj sali obszernéj, ale dość skromnie urządzonéj, i drugiéj mniejszéj znacznie, lecz bardzo wytwornéj, na wzór gabinetów, przystrajających tego rodzaju zakłady w stolicach, od złoceń, aksamitów, malowideł na ścianach i alabastrowych lamp przybranéj. Pomiędzy dwiema salami znajdował się rozdzielający je mały pokoik, rodzaj kurytarzyka, pozbawionego wszelkich sprzętów, a ozdobionego tylko roślinami kwitnącemi w wazonach przy ogromném oknie, jednę ze ścian całkiém prawie zajmującém. Brochwicz, nie zdejmując paltota i z kapeluszem w ręku, śpiesznym krokiem, niecierpliwie pokręcając siwiejącego wąsa, przebył piérwszą salę, zupełnie w téj chwili bezludną. Wchodząc do środkowego pokoiku, słabo oświetlonego odblaskiem lamp, wnikają-

cym do niego z sal sąsiednich, Brochwicz usłyszał wesoły gwar głosów męzkich, rozmawiających i śmiejących się, a wśród nich wyróżniający się głos Maryana.

Był to głos donośny, donośniejszy, metaliczniéj brzmiący, niż ten, jakim młody Brochwicz zwykł był przemawiać. Opowiadał o czémś, czy téż przemawiał do towarzyszy, z nadzwyczajną werwą i ożywieniem, aż zapanował nad ich głosami, i mówił przez chwilę sam jeden, a oni wybuchali tylko od czasu do czasu śmiechem, lub pochwalnemi widocznie i uwielbiającemi wymowę, czy dowcip jego, wykrzykami. Ktoś nawet klasnął raz w dłonie, i w sali restauracyjnéj zabrzmiało, jak w teatrze, huczne brawo. Na Brochwiczu hulaszcze te odgłosy, którym przewodniczył głos jego syna, niemiłe sprawiły wrażenie. Ze zsuniętą brwią postąpił parę kroków i zatrzymał się przed progiem. W widokach takich, jak ten, który przedstawił się teraz oczom jego, nie lubował się nigdy, ale od pewnego czasu, to jest odkąd nastało chmurne *dziś* ze wszystkiemi swemi bolesnemi widokami, ciężkiemi przejściami i dręczącemi niepewnościami, był on widoków podobnych formalnym i stanowczym nieprzyjacielem.

Pośrodku sali stał stół obszerny, wytworną, lecz zmiętą już i poplamioną, bielizną okryty, dwuramienną lampą rzęsiście z góry oświetlony, zastawiony pełnemi, napoczętemi, lub na-pół wypróżnionemi już

butelkami, i różnych kształtów i wielkości licznemi kielichami. Z niedbale i wygodnie rozpostartych na krzesłach postaci młodych ludzi, którzy stół ten obsiadali, i z gęstych kłębów dymu, unoszączch się z cygar, które palili, poznać można było, że był to już koniec uczty długiéj, obfitéj i wesołéj.

Wśród błękitnawéj mgły tytuniowéj, która coraz gęściéj napełniała salę, tworząc w niéj atmosferę duszną i odurzającą, wyraźnie jednak ukazywały się bujnemi wąsami ozdobione twarze i zamaszyste postacie dwóch braci Natalskich, na-pół wyłysiała i ze zwojów ciepłego szala wynurzająca się, głowa Adama Darzyca, poważniejsze nieco od innych, chociaż rozweselone także, rysy Artura, pulchne i rumiane policzki słynnego z gastronomii i nad wiek otyłego, młodego Ignacego Wirskiego, i mniéj już znane Brochwiczowi, twarze i postacie dwóch czy trzech innych młodych mężczyzn. Brochwicz całe zebranie to orzucił szybkiém spójrzeniem, aż długo, bacznie i niespokojnie zatrzymał wzrok na twarzy syna.

Maryan przewodniczył zabawie; było to widoczném z honorowego i najwydatniejszego miejsca, jakie zajmował przy stole, i ze zwróconych ku niemu wszystkich spójrzeń. Rzucony na krzesło w niedbałéj postawie, siedział z głową podniesioną, z ciemnemi rumieńcami na bladych policzkach, ze sztucznie rozbudzonym blaskiem w oczach, ruchliwych w téj chwili i niespokojnych. W ręce, wyciągniętéj i o stół opar-

téj, trzymał kielich, napełniony złotawym płynem, niósł co chwila do ust, ale zamiast pić, jak inni, maczał w nim tylko brzegi warg.

Wtedy właśnie, gdy Jan Brochwicz zatrzymał się przed progiem sali i długie spójrzenie zatopił w twarzy syna, gwar, panujący wkoło biesiadnego stołu, umilkł na chwilę; po hucznych oklaskach, udzielonych gospodarzowi, a jak widać było, i bohaterowi zabawy, nastała cisza. Przerwał ją bardzo prędko starszy z Natalskich.

— Jak honor kocham! — zawołał, jednym haustem wypróżniając trzymany w ręku kielich —od dzisiejszego dnia zadaję kłamstwo całemu światu! Co tam takiego mówią i śpiewają o wilku, który, ożeniwszy się, uszy opuszcza! Patrzcie! on ożenił się, a jaki chwat!

— Nigdy jeszcze takim nie był! — poparł zdanie brata młodszy Natalski — hej! hej! szwagierku! teraz to już mam nadzieję, że wciągniemy cię przecież do naszych Natalińskich lasów na polowanko! furda wszystkie miejskie bale! tam-to dopiéro hece! niech dyabli wezmą!...

— Słuchaj, Marysiu! — zaszeplenił czerwony, jak burak, Ignaś Wirski — czyś ty dziś sam dysponował ten obiad! Wiész co? pasztet był wyborniutkim, a takiéj *Charlotte glacée* i mój *Jerôme* nie zrobi...

— *Au nom du ciel,* Ignasiu, *tais-toi* z twojemi ga-

stronomicznemi uwagami — wydobył się z angielskiego szala cienki dyszkant Adama Darzyca — ja wszystkie pasztety i szarloty oddał-bym za tę wyborną anegdotę, którą nam Maryan tylko co opowiedział!

— Wyborna anegdota! niech dyabli wezmą! — wybuchnęli bracia Natalscy.

— I kto-by to powiedział, że on podobnych anegdot świadom!

— Taki był zawsze skromny!

— Jak honor kocham! złajał mnie jak niebozkie stworzenie, gdy niedawno, pamiętacie, opowiadałem wam o tém wydarzeniu w Natalinie, co to Zośka praczka i...

— Wiemy! wiemy! słyszeliśmy już nieraz początek jego i koniec! Maryś daleko zgrabniéj opowiada! słuchaj! a cóż się potém stało z tą Mamzelle Luizą? nie wiész?

Artur Darzyc uczynił niecierpliwe trochę poruszenie.

— Dajcie pokój! — zawołał — mamy już dość tego, co powiedział! Na co wywoływać koniec; jam go przynajmniéj nieciekawy! *ça sent la boue!*

— O, boś ty także skromny, Arturku, poczekaj! ożeń się, a może odmienisz się tak, jak Maryś!

Artur Darzyc niechętnie wzruszył ramionami i zaczął od niechcenia gwizdać, jakby mu rozmowa, którą prowadzono, niezbyt przyjemną była. Ma-

ryan zato, milczący od kilku minut, oparł się teraz obu łokciami na stole i z żartobliwym uśmiechem rzekł:

— Podziwiacie panowie nowo odkryte we mnie zalety, a nie wiecie, jaką erę życia mego obchodzę dziś z wami!

— Jakąż? jakąż? — zapytano chórem.

— Erę przyjścia do rozumu — odpowiedział Maryan.

Śmiech wybuchnął.

— A to dobre, jak honor kocham! czy ci się, Marysiu, dziś lub wczoraj ząb mądrości wykłuł?

— Nie! on ma na myśli swoje ożenienie się!

— Ani jedno, ani drugie! — zawołał młody Brochwicz — zobaczyłem tylko, jak na dłoni, swoję i waszę przyszłość...

— Przyszłość! — wykrzyknęli młodzi ludzie ze śmiechem — czy wywróżyła ci ją jaka stara cyganka?

— Zobaczyłem, jak na dłoni, swoję i waszę przyszłość, i przekonałem się, że na nic-by się nie zdało płynąć przeciwko wodzie! oto, co nazywam przyjściem do rozumu.

— Dobrze! dobrze! ale ciekawi jesteśmy doprawdy wiedziéć coś o twojéj i naszéj przyszłości! powiedz nam coś o niéj, kiedyś taki mądry!

— Cyt! cyt! powié nam znowu co zabawnego!

— A może to tajemnica, Marysiu?

— Bynajmniéj! — rzekł Maryan — oto trzymam w ręku horoskop i czytam! Kto chce piérwszy posłuchać o sobie?

— Ja chcę — zawołał starszy Natalski — nigdy sam nie myślałem nad tém, co ze mną być może, to i ciekawy jestem, jak honor kocham!

— I mnie przeczytaj tam co, szwagierku! — dodał brat młodszy — tylko co dobrego, bo złych proroków niech dyabli biorą!

Maryan uśmiechał się wciąż i z wolna popijał z kielicha.

— Nie lękajcie się! — zawołał — na horoskopie waszym powstają przed memi oczyma obrazy piękne i takie, jakie lubicie! Trąby myśliwskie grają, psy naszczekują, szare koty zrywają się z miedz i uciekają co siła! huź ha! tam stado sarn zerwało się z gęstwiny, strzelcy w zielonych kurtach szykują się w zaroślach, na czele ich wy, Nemrody litewskie, nieustraszeni pogromcy czworonożnych, dmiecie w rogi rozgłośne, aż las Nataliński drży w swych posadach, a echa sąsiednich wzgórzy od krańca do krańca parafii chwałę waszę głoszą... tu strzał i tam strzał... zabite ofiary sterczą na tryumfalnych wozach; wrzawa, trąbienie, szczekanie, krzyczenie! Zajeżdżacie pod dach ojczysty, kędy stoły uginają się pod obfitą zastawą, na którą w wielkiéj części złożyły się dzieła rąk i nóg waszych niezmordowanych... Posiłek to, po którym, wzmocnieni snem pokrzepiającym, wsta-

niecie do nowych czynów, na nowe, coraz świetniejsze wyprawy! a co? czy nie radzi jesteście z obrazu?

Natalscy zachodzili się od śmiechu.

— Piękny! piękny! i taki właśnie, jaki lubimy! Ale to teraźniejszość, szwagierku. Czy zawsze tak będzie?

— Co potém będzie? — zawołał ktoś z towarzystwa.

— Potém — śmiejąc się i patrząc na młodych szwagrów, wyrzekł Maryan — potém weźmiecie moi drodzy nogi za pas i sami uciekać będziecie, jak zające...

— Uciekać! niech dyabli biorą! od kogo?

— Od wierzycieli!

— *Fi*, jak honor kocham! horoskop brzydko mówi, ale nie powiem, aby kłamał zupełnie! Jest tam już podobno za piętami naszemi jakaś sfora tych przebrzydłych chartów...

— Będzie ich więcéj, będzie! i nic na to nie poradzicie, bo tak już zapisano w księdze przeznaczeń waszych!

— Wiara w przeznaczenie to przesąd! — zaśmiał się inny z młodych ludzi.

— Nie! nie! — zawołał Adam — wiara w przeznaczenie ślepe, przyczyny żadnéj niemające, to przesąd!

— Prawda! ale... Czy który z was czytał Szylle-

ra? Artur czytał go pewnie, a i Adam może w ubiegłych dawno, przedparyzkich czasach... Owóż Wallenstein, panowie, a raczéj Szyller w tragedyi nazwę tę noszącéj mówi: — „we własnéj piersi nosisz gwiazdę twych przeznaczeń!” Mam pretensyą mędrszym dziś być od Wallensteina i od Szyllera, bo powiadam: przeznaczenie nasze, panowie, nosimy nietylko w głowach naszych i w piersi naszéj, ale w nerwach naszych, a nawet i w naszych żołądkach.

Przy ostatnim wyrazie Maryana, wybuchnęły żartobliwe wykrzyki i śmiechy.

— Śmiejcie się, panowie! — zawołał Maryan — i ja śmieję się także! Zebrania takie, jak nasze, tém właśnie zbawienne są i błogie, że pozwalają śmiać się ze wszystkiego! Z tém wszystkiém dowiodę wam, żem powiedział prawdę! Spójrzcie na naszego poczciwego Ignasia... cóż? w czém nosi on gwiazdę swych przeznaczeń, jeżeli nie w swym żołądku?...

Otyły i rumiany młodzieniec poruszył się niespokojnie na swém krześle.

— Proszę cię, Marysiu — wybełkotał—nie bierz mnie tylko za przedmiot do swoich żartów!

— Żartów! — powtórzył Maryan — daj-że pokój! czytam przecież przyszłość was wszystkich z wieszczego horoskopu! A twoja, Ignalku, jakąż być może? oto nie inną, jak taką: przez długie, długie lata będziesz z *Jérômem* i następcami jego obmyślał naj-

lepsze sposoby wykonywania arcydzieł kulinarnéj sztuki; dom twój słynąć będzie na wsze strony, jako zakład gastronomiczny piérwszego rzędu; ożenisz się i utuczysz żonę twoję tak, iż nie będzie ona potrzebowała krynoliny, aby żadne drzwi pomieścić nie mogły jéj wdzięków; urodzą ci się dzieci, a ty gwiazdy ich przeznaczeń powkładasz im w żołądki; majątku nie stracisz zapewne, bo trudniéj go przejeść, niż przepolować, ale natomiast, zjadłszy pewnego pięknego poranku „uwitych w cieście kołdunów dwieście”, przeniesiesz się do wieczności, gdzie w cichym grobie spoczniesz dopóty: „aż głos anioła: wstawaj! — zawoła, bo już gotowa, pieczeń wołowa!”

Wśród Homerycznego śmiechu, który powstał po tém przemówieniu, Maryan wychylił kielich swój do dna i zwrócił się do Adama Darzyca:

— A ty, biedny Adasiu, który chorą gwiazdę swych losów nosisz w tym materacyku, przyłożonym od fluxyi, i w tym szalu angielskim, chroniącym od zetknięcia się z atmosferą delikatne twe gardło, jak jaskółka ulecisz wkrótce z pod bladego nieba, pod którém antenaci twoi rośli jak dęby, i nad brzegami Brenty, lub Adryatyku, oddychać będziesz, dopóki wola Boża, prawém swém płucem, bo kawałka lewego już podobno braknie ci teraz!...

— *Fi donc!* — zawołał na-pół śmiejąc się, na-pół gniewając Adam Darzyc — *quelles idées baroques, mon cher!*

Ale inni współtowarzysze zawołali chórem:

— A ty, Marysiu? dlaczegoż nic o sobie samym nie mówisz? żartujesz z nas, żartuj téż i z siebie!

— Zaczekajcie! — odparł Maryan — posiadamy jeszcze pomiędzy sobą jednego, który cicho siedzi i o nic nie pyta. Oto jest Artur Darzyc. Znacie go wszyscy, nie prawdaż? *Ecce homo!* nikt z nas nie godzien rozwiązać rzemyka u obuwia jego. Taki statysta, taki sensat, skromny, jak dziewica, świadom wszystkiego, jak dykcyonarz encyklopedyczny. Wyście, panowie, polowali i obiadowali, on czytał; dzierżawca chwat, w odsiewy mu grunta sieje — on czyta; stodoła mu się rozwala — on czyta; Kwiecin pójdzie z dymem — on...

— Będzie czytał! — dokończył sam Artur Darzyc i zaśmiał się, ale z przymusem jakoś i nieszczerze.— A ty, Marysiu? — zawołał

— A ty? a ty? — powtórzyli chórem młodzi ludzie.

— Ja? — rzekł Maryan — na honor, widzicie mnie w kłopocie niepospolitym! nie obrałem sobie jeszcze specyalności żadnéj! Ale, wszak znacie wszyscy ciocię Rózię Cieciórkową? Otóż, jak powiada ciocia Rózia: zdrowie i dobry humor przedewszystkiém! niech żyje filozofia cioci Rózi! Niech żyją i przyświecają nam, jak mogą, chore gwiazdy przeznaczeń naszych!

Jednę rękę z pustym kielichem wyciągnął ku to-

18*

warzyszom, przed którymi stało parę niewypróżnionych jeszcze całkiem butelek, drugą wstrząsnął dzwonek i zawołał:

— Służba! wina!

Na odgłos gwałtownie rozlegającego się dzwonka, dwóch lokajów z tacami, pełnemi różnokształtnych butelek, rzuciło się z przedpokoju do drzwi sali. Jan Brochwicz, stojący wciąż przed progiem w nieruchomości kamiennéj, usunął się nieco na stronę, ale służba, zajęta wykonaniem rozkazu, nie spostrzegła-by go i bez tego, gdyż był otoczony zmrokiem nieoświetlonego pokoju i mgłą dymu, rozchodzącą się w przestrzeni coraz grubszemi kłęby. Zdawało się, że żadna siła nie mogła-by usunąć Jana Brochwicza z tego miejsca, na którém stojąc, wlepiał on w syna swego wzrok uważny naprzód i gniewny, coraz bardziéj zdumiony potém i osłupiały. Nie widział on nigdy, ani w wyobraźni swéj nie mógł nawet przedstawić sobie Maryana takiego, jakim go ujrzał w téj chwili. Na białych i delikatnych policzkach młodego człowieka rozpościerały się coraz gorętsze, ciemniejsze rumieńce; błękitne oczy jego, tak łagodne zwykle, wyrazem swym znamionujące naturę bardziéj zda się, do marzeń i rozwagi, niż do wybuchów i jakiegokolwiek szału skłonną, rzucały teraz ostre, przenikające połyski. W słowach jego, płynących z ust szybko i tłumnie, w podniesionym głosie i bezładności poruszeń, czuć było tę posępną, wymuszoną wesołość, któ-

rą ludzie, zarówno jak trunkiem, tłumić niekiedy usiłują pracującą w nich moc wspomnień, lub zgryzot...

Wśród gwaru, powstałego pomiędzy młodymi ludźmi, przy nowém napełnianiu kielichów, podniósł się znowu i zapanował nad innemi głosami dźwięczny głos Maryana.

— Tak, panowie! pomimo protestacyi waszych, które zresztą, jestem pewny, iż czynicie więcéj żartem, niż seryo, powtarzam i utrzymuję wyrażenie moje: chore są gwiazdy przeznaczeń naszych! Nic nie szkodzi! przy suchotniczym blasku ich, możemy jeszcze czas jakiś bawić się wesoło. Gdzieindziéj ludzie spierają się tylko o wybór pomiędzy przeróżnemi gwiazdami, które świecą nad drogami ich życia, to wyżéj, to niżéj, lecz zawsze ciągną ich za sobą, jak ongi słup ognia i dymu ciągnął ku nowéj ojczyźnie lud Izraela. Naprzód ideał, potém mamona!— wołają jedni. Przez mamonę do ideału! — odpowiadają drudzy. Co nam do tych sprzeczek? Ideał mieszka wysoko, mamona wzrasta nizko. Nie sposób-że nam piąć się po górach na wzór olbrzymów, gdy w piersi naszéj tchu mamy tyle, co karły, albo pochylić się ku ziemi nakształt nędznego plebsu, gdyśmy przecie patrycyusze i głowy nieść musimy wysoko! Więc hasło nasze: bez ideału i bez mamony! Z czarą przy ustach, wśród woni pasztetów, poziewając i śmiejąc się, śmiejąc się i poziewając na-

przemian, bez niepotrzebnych ciężarów, ni próżnych ambicyi, wesoło lub sennie, lecz przedewszystkiém dumnie i hucznie, jak dumnych i sławnych przodków potomkom przystało, żyjmy, panowie, nim w nas i wkoło nas, jak mówią Niemcy, wielki *krach* nie nastąpi...

— Co ci się stało, szwagierku? — zawołał jeden z Natalskich — niech mnie dyabli wezmą, jeśli cię choć trochę rozumiem!

— Wpadasz w melodramat, *mon cher!*—ozwał się dyszkant Adama Darzyca.

Artur pochylił się nieco ku mówiącemu, i dotykając jego ręki, rzekł półgłosem:

— Słuchaj, Maryanie! tyś nie wesoły dziś, ale— zrozpaczony!

Ten, do którego wszystkie słowa te zwróconemi były, nie słyszał ich, lub słyszéć nie chciał. Przepełniała go nawskróś i porywała werwa niezdrowa, ze wzburzonych uczuć, z rozdrażnionych nerwów, z wyobraźni trunkiem i ciemnemi myślami rozognionéj powstała.

— Mam przyjaciela, który... — wymówił powolniéj nieco, zatrzymał się, i po chwili dopiéro zaczął znowu: — Miałem przyjaciela... nie mam go już teraz... On pnie się ku ideałom i zbiera mamonę... ja chciałem czynić tak, jak on, i żyliśmy w przyjaźni wielkiéj... dziś z rana, zobaczywszy go z dala na ulicy, rzuciłem się w bok... nie chciałem, aby mnie wi-

dział... uciekłem od niego, i znalazłem się wśród was, moi drodzy... Przyjaźń była rzeczą piękną, i oto, jak piękne rzeczy kończą się na świecie... ale, mniejsza o to! przebaczcie to małe zboczenie... ze wszystkich darów Ducha Świętego, o których uczyliśmy się w katechizmie, a któremi są: rozum, wola i pamięć, pamięć jest najupartszą... w nas szczególniéj, których rozum ma życie motyle, a wola, skoro kieliszek ze stołu do ust i od ust na stół przeniesie, zmęczoną czuje się i usypia... Ale do rzeczy! przyjaciel ów mój... dawny... mówił mi dnia pewnego: — „Na świecie burze huczą, stare gmachy w gruzy padają, pod ruinami jęczy ciał i dusz tysiące, co wam do tego?” Tak! co nam do tego! a raczéj cóż na to wszystko poradzić możemy? Któż z was, panowie, porwie się do roli Atlasa, na barkach swych świat dźwigającego, lub Herkulesa zwyciężającego smoka? Żaden, nie prawdaż? i jak ziemica nasza szeroka i długa, i jak herbarz nasz szlachecki ciężki i gruby, nie znajdzie wśród nas żaden Atlas, żaden pogromca smoków! Impotencya, panowie, zupełna impotencya! Uderzmy się w piersi raz, a dobrze, i skończmy z przeklętą pamięcią, która szepce nam jeszcze do ucha te i owe imiona, te i owe słowa! Nie taki dyabeł straszny, jak go malują! nie takie smoki krwiożercze, jak powiadają nam ci, którzy chcą, abyśmy rozpoczęli z niemi Herkulesową walkę! Milsze nad walkę jest przymierze pokoju! Proponuję, panowie, przy-

mierze ze smokami! *Modus vivendi! Modus vivendi!* ze wszystkiém, co oburzało i nękało nas dotąd: z niesprawiedliwością i brutalną siłą, z bankructwem serc naszych i głów, i z ruinami ojczystych domów naszych! Wielki *krach* przyjdzie kiedyś, ale wprzódy nabawimy się do syta i wyśpimy do woli! *Après nous le déluge!* powiadają Francuzi, a niech nikt nam nie mówi, że nie mamy przed sobą *jutra*, bo, dla zaprzeczenia mu w téj chwili właśnie, zapraszam was znowu, panowie, tu w to samo miejsce, nie na obiad, jak dziś, ale na kolacyą, która wesołe nasze *jutro* długo nam przeciągnie!...

Przestał mówić, i znowu do dna wychylił trzymany w ręku kielich. Niewysłowiona gorycz szyderstwa, zmieszana ze sztucznie obudzonym i podniecanym szałem wesołości, dźwięczała w uprzednich słowach jego, cisnących mu się na usta bezładnie i tłumnie. Gdy postawił na stole wypróżniony kielich, śmiejące się usta jego drgały, w rozpłomienionym wzroku błyskały zimne i ostre światła, znamionujące piérwsze urodziny cynizmu, tego owocu zwątpienia o sobie i innych, głębokiego uznania własnéj niemocy, zrzeczenia się praw do wszystkiego, co trudne, wielkie, wysokie. Wkoło stołu rozległy się znowu rozmowy i wykrzyki, niechętne uwagi i niedbałe śmiechy; ale Jan Brochwicz nic już więcéj nie słyszał i nie widział. Z wysileniem niezmierném oderwał on wzrok od twarzy syna, i bardzo powolnym

krokiem wyszedł do pustéj, obszernéj sali. Po twarzy jego bladéj, okrytéj wyrazem niezmiernego przerażenia i głębokiéj boleści, toczyła się gruba i ciężka łza.

* * *

W pół godziny potém, Jan Brochwicz siedział w bawialnym salonie mieszkania swego, zamyślony i znękany; zdawało się, że przez ten wieczór postarzał o lat kilka, tyle bruzd fałdowało mu czoło, tak głęboka, gryząca troska napełniała mu oczy. Pani Herminia przechadzała się po salonie, blada także, z brwią ściągniętą i wzrokiem wbitym w ziemię. Pan Jan opowiedział żonie biesiadną scenę w hotelowéj sali, rolę, jaką pośród niéj odgrywał Maryan, i dziwne, pełne bolesnego znaczenia, jego słowa.

— A! — zawołał po chwilowém milczeniu—zkąd mu ten szał nagły, ta niepojęta jakaś rozpacz, to szyderstwo i zwątpienie straszne, nietylko o sobie samym, ale o wszystkiém, co czcić i kochać uczyliśmy go od dzieciństwa?

Powiódł dłonią po czole, ale nie już zwyczajnym sobie giestem, znudzenie i zmęczenie codziennemi kłopotami życia objawiającym, ale ze smutkiem, obawą i niezwykłą sobie gwałtownością. Pani Herminia usiadła obok męża, a gdy umilkł szelest jedwabnéj

jéj sukni, w salonie, oświetlonym jedną lampą, zapanowała cisza zupełna.

— Mój Boże! — zawołał pan Jan po długiém milczeniu — taki byłem zawsze dumny z tego syna! tak ufny w charakter jego i przymioty! Wydawał się zawsze tak dobrym, statecznym, poważnie myślącym i czującym człowiekiem... W nim złożyłem najpiękniejsze nadzieje moje, a ile razy dręczyły mnie osobiste troski i obawy, ile razy widok nieszczęść i upadków ogólnych serce mi rozdzierał, myśląc o nim i patrząc na niego, pocieszałem się nadzieją, że dzieci nasze naprawią to, czegośmy dźwignąć nie zdołali... że będą one szczęśliwsze od nas... I cóżem dziś zobaczył? cóżem posłyszał?

Pochylił twarz na obie dłonie i milczał znowu.

Pani Herminia siedziała téż w milczeniu z pochyloną twarzą i wzrokiem wlepionym w ziemię. Po pustym, cichym i na-pół ciemnym salonie, miarowy i wyraźny rozchodził się tentent zegara.

Brochwicz podniósł głowę i, nie patrząc na żonę, z oczyma szklisto wpatrzonemi w przestrzeń, wymówił z wolna:

— Bóg świadkiem moim, że czyniłem dla niego wszystko, co mogłem i umiałem? Ale... musiałem coś zaniedbać, o czémś zapomniéć... Nie zepsuli go, jak bywa z innymi, ludzie i okoliczności... nie! nie! po dwuletniém oddaleniu i pobycie w wielkich ogniskach życia i zepsucia, wrócił do nas poczciwy, rozważny,

kochający, i teraz dopiéro... przy piérwszym kroku, uczynionym w życiu praktycznóm i samodzielném, opanował go szał jakiś dziwny, zniechęcenie, zwątpienie... Czyż-by nie umiał żyć i działać?... Dlaczego? Kto temu winien?

Ostatnie wyrazy wymówił cicho, ale z taką boleścią, z taką trwogą w głosie, że pani Herminia podniosła na męża wzrok pełen żalu i przywiązania.

— Janie! — rzekła z niezwykłym sobie zapałem — jeśli dotknie nas w tym względzie nieszczęście jakie, ty przynajmniéj nie będziesz miał nic do wyrzucenia sobie... Wychowałeś syna jak najlepiéj i jak najstaranniéj... wpoiłeś w niego zasady te same, które twojém życiem rządziły, usiłowałeś uczynić z niego człowieka takiego, jakim sam byłeś i jesteś... a jednak byłeś i jesteś bez skazy, ni plamy; czyniłeś zawsze dla rodziny swéj, dla ogółu, wszystko, co tylko w mocy twéj było!

Umilkła, i ze łzą szczerego uczucia w oku, patrzała na męża. Pan Jan milczał także długą chwilę, aż zwracając na żonę wzrok, omglony głębokiém, pełném pytań i trwog zamyśleniem, stłumionym głosem wymówił:

— Tak, Herminio, tak! ale... inne czasy... inne okoliczności... ludzie śród nich potrzebują może sił innych... więcéj...

Pani Herminia pochyliła znowu głowę na rękę i milczała.

— *Jean* — ozwała się po chwili cicho i z wahaniem — nie chciała-bym, doprawdy, bardziéj jeszcze martwić cię w téj chwili, ale tak niespokojna jestem o Żancię, że nie mogę... nie powinnam milczéć o tém przed tobą...

— Cóż tam? — pochłonięty wciąż jedną myślą, z roztargnieniem zapytał pan Jan — czy Żancia chora?

— Trochę niedomaga... ból głowy miała dziś silny, i przed zmrokiem jeszcze położyła się do łóżka... ale to nic jeszcze. Lekka słabość przejdzie...

— Cóż więcéj? — z baczniejszą już uwagą zapytał mąż.

— Dziecko wydaje mi się dziwnie niespokojném i rozgorączkowaném od dni kilku... Dziś szczególniéj, spostrzegłam w niéj jakąś tłumioną exaltacyą, jakiś niby żal ukrywany, który zadziwia mnie i niepokoi... Widziałam dobrze, że, szyjąc w krosienkach, miała na twarzy wypieczone rumieńce, a ile razy spotkała się z moim wzrokiem, oczy jéj zachodziły łzami... Nad wieczór prosiła, abym jéj pozwoliła położyć się do łóżka, a kiedym w pół godziny potém poszła zobaczyć ją, na górę, leżała z zamkniętemi oczyma... Nachyliłam się nad nią, myśląc, że usnęła; nagle otworzyła oczy, pochwyciła moje ręce i zaczęła

całować je z takiém uniesieniem, że zlękłam się, czy nie utraciła przytomności. Drżała cała, jak w febrze, a usta i twarz miała rozpalone, jak w gorączce. Dałam jéj zaraz kropel laurowych dla uspokojenia nerwów, i wygderałam trochę za to, że przypuszcza snadź sobie do głowy niepotrzebne jakieś myśli, i poddaje się uniesieniom, wcale dla młodéj panny niewłaściwym. Uspokoiła się zaraz pod wpływem moich uwag, i zdaje się, że po kilku minutach usnęła. Niemniéj jednak jestem o nią bardzo niespokojną... czy tylko czasem...

Zawahała się chwilę, potém dokończyła:

— Jak myślisz, Janie? czy tylko czasem nie czuje ona formalnego wstrętu do pana Artura? Dziecko uległe jest i nieśmiałe... nie ma odwagi powiedziéć nam tego, nie chce sprzeciwiać się naszym życzeniom. Spostrzegłam przecież, że od tych zaręczyn właśnie zmienił się układ jéj, sposób mówienia i obchodzenia się, dźwięk głosu nawet... co myślisz o tém, Janie?

Pan Jan, słuchając słów żony, myślał o owém zwierzeniu, które niedawno uczyniła mu Żancia, a które wydało mu się tak dziecinném i zabawném. Teraz rodzić się poczęły w umyśle jego niejakie wątpliwości, co do znaczenia owéj, powierzonéj mu, tajemnicy. Wprawdzie, przypomniawszy sobie, że szło tam o Romana Gotarda Brunona, pomimo całego smutku chwili, uśmiechnął się z razu; było to prze-

cież jedno mgnienie oka, po którém, stroskany już o syna, zatroskał się i o córkę. Wierny danemu przyrzeczeniu, nie wspomniał przed panią Herminią o zwierzeniu się Żanci, ale rzekł z zamyśleniem i smutkiem:

— Bardzo być może, bardzo to być może, *Hermence*, że Artur nie podoba się jéj wcale... Trzeba, abyś wybadała ją o to i otrzymała od niéj całą prawdę... Jeżeli czuje do niego wstręt i nie może go pokochać... no, zmuszać jéj przecież nie będziemy... Dyable przykra to wprawdzie wywiąże się z tego sprawa... słowo dane... zaręczyny publicznie ogłoszone... ale cóż robić? dlaczegośmy wprzódy nie zbadali jéj uczuć i usposobień?

— *Jean!* — przerwała z żywością pani Herminia — jakie uczucia i usposobienia objawiać może w takich wypadkach młoda panna, która o własném sercu, o ludziach, o małżeństwie, najmniejszego nie ma wyobrażenia? Pan Artur powinien był podobać się jéj ze wszech względów, a jeżeli uczuła do niego wstręt jakiś szczególny, jest to już traf, którego przewidziéć było mi nie podobna...

Milczała chwilę, potém mówiła daléj:

— Pamiętam przecież, że i ja także byłam kiedyś tak nieśmiałą, niewinną, nieświadomą wszystkiego, jak ona... stosowałam się we wszystkiém do woli matki, pokochałam człowieka, który z jéj pozwolenia piérwszy starał się o moję rękę, to jest ciebie, *Jean*...

I nie wyszłam źle na tém... w późniejszym czasie... powoli nauczyłam się znać świat, życie i obowiązki małżeńskie, nabrałam własnéj woli i rozwagi, byłam zresztą, jak pochlebiam sobie, dobrą żoną i matką, a przytém kobietą tak szczęśliwą, o ile szczęśliwym można być na tym biednym świecie... Dlaczegóż-by więc z córką moją tak samo być nie miało, jak było ze mną?...

Gdy pani Herminia to mówiła, pan Jan patrzał w ziemię z wielkiém zamyśleniem.

— Tak, Herminio! — rzekł po chwili — tak, tylko, że inny to może charakter, niż twój, inny temperament, bujniejsza wyobraźnia od twojéj, energiczniejsza i samowolniejsza natura...

Mówił to, przerywając sobie, z wahaniem i niepewnością w głosie. Znać było, że odkrywał w téj chwili nowe dla siebie światy, a przytém nagłém pokazywaniem ich nie chciał urazić żony. Ale pani Herminia wpatrzyła się w męża szeroko roztwartemi oczyma.

— Co? — zawołała — Żancia ma miéć bujną wyobraźnią, energiczny i samowolny charakter! co téż ty mówisz, Janie? dziecko tak uległe, proste, ciche...

— Kto wié?—w zamyśleniu wyrzekł pan Jan — kto wié?

— A gdyby i tak było — mówiła w rozdrażnieniu wielkiém matka Żanci — gdyby na nieszczęście

i miała ona w sobie to, co ty nazywasz bujną wyobraźnią i energiczną naturą, w czémże-by to mogło zmienić mój sposób postępowania z nią?

Pan Jan przeciągnął dłoń po ciężko schmurzoném czole.

— A! — rzekł — prawią tam coś i piszą teraz, że należy stosować do charakteru i w ogóle usposobień dzieci sposób postępowania z niemi..

Pani Herminia lekceważąco wzruszyła ramionami i niechętnie rzuciła ręką.

— Ja bo tam we wszystkie nowości te wcale a wcale nie wierzę...

Brochwicz westchnął ciężko.

— A ja uwierzył-bym może, gdybym je był poznał lepiéj... bliżéj...

Wziął rękę żony, i w pobladłą twarzą jéj patrząc z czułością i żalem, rzekł:

— Kochaliśmy się wzajem, droga Herminio, i nad życie własne kochaliśmy dzieci nasze; ale kto wié... czy nie zaspaliśmy czegoś ważnego, wielkiego, co dziś właśnie budzi nas z błogich nadziei i marzeń o szczęśliwém jutrze...

W téj chwili zabrzmiał w przedpokoju dźwięk silnie targniętego dzwonka, i w sali jadalnéj ozwały się szybkie męzkie kroki. Maryan wszedł do salonu z kapeluszem w ręku, z rozrzuconemi nad czołem włosami i ciemnemi rumieńcami na policzkach. Rzucił kapelusz na sprzęt najbliszszy, pocałował w rękę matkę,

która, milcząca i surowa, zmierzyła go badawczém spójrzeniem, i zwrócił się ku ojcu.

— Służący oddał mi twoję kartkę, ojcze, którą, jak mówił, napisałeś w hotelu. Rozkazałeś mi, ojcze, abym natychmiast wracał do domu. Czy jestem na co potrzebny? dlaczego, ojcze, przychodziłeś do hotelu?

Mówiąc to, silił się na spokój, ale bezładność mowy, blask oczu i niepokój poruszeń, okazywały w nim sztuczne i niezdrowe podniecenie, będące skutkiem tak nadmiernego użycia trunku, jak i kilku godzin, spędzonych w gorączce i szale hulaszczéj zabawy.

Pani Herminia zsunęła brwi, w sposób, który, objawiał boleść i zarazem gniewną urazę.

— Nie spodziewałam się, Marysiu — wyrzekła z dumą i wyrzutem — abyś ośmielił się kiedykolwiek stanąć przed rodzicami twymi, przed matką twoją, w stanie takim, w jaki wprawiła cię wesoła zabawa, któréj dziś byłeś uczestnikiem i nawet przewodnikiem.

Na te słowa matki, Maryan spuścił wzrok i przygryzł z lekka drżącą wargę. Ozwały się w nim przyzwyczajenia całego życia i dały mu pojąć, że w istocie stan, w jakim się znajdował, musiał dotkliwie razić oczy jego matki. Zmieszanie jego przecież trwało bardzo krótko.

— Nie pojmuję, kochana mamo — odparł, podnosząc głowę — co jest tak bardzo złego w tém, żem kilka godzin przepędził z przyjaciółmi... prosta zabawa, nic więcéj...

Pan Jan powstał żywo z krzesła i położył rękę na ramieniu syna.

— Nie, Maryanie — rzekł stanowczym głosem— nie była to, jak mówisz, prosta zabawa... tyś takich zabaw nie lubił nigdy.. słyszałem wszystko, coś mówił do towarzyszy swoich...

W rozognionyn i nie zupełnie przytomnym wzroku Maryana odmalowało się jednak żywe niezadowolenie.

— Słyszałeś, ojcze — rzekł cichszym, niż wprzódy, głosem — nie chciałem tego doprawdy... ale... cóż robić? mówiłem to, co myślę i czuję...

— A więc błędnie myślisz i źle czujesz! —z uniesieniem zawołał Brochwicz.— I źle téż czynisz, wchodząc na drogę hulanek i niezdrowych upojeń, wtedy właśnie, gdyś się ożenił, gdyś wziął w swe ręce kierunek spraw majątkowych, gdy ci najwięcéj trzeba powagi, porządku, trzeźwości... Nigdy zresztą wprzódy nie czułeś tak, nie myślałeś i nie czyniłeś. Rządziłeś się zasadami moralności, które ja i matka twoja wpajaliśmy w ciebie od dzieciństwa, nie wyrzekałeś się miłości tego, co kochać i czcić uczyliśmy cię słowem i przykładem...

Maryanowi oczy żywiéj jeszcze, niż wprzódy, za-

świeciły. Słowa ojca dotknęły snadź najdotkliwszego miejsca téj rany, którą nosił w sobie.

Instynktowo i z przyzwyczajenia hamując ogarniające go wzburzenie, ze źle ukrytą jednak popędliwością, wymówił:

— Lepiéj, mój ojcze, nie mówić wcale o tém wszystkiém! Cóż z tych zasad i z tych miłości, skoro poprzéć ich i dowieść czynem nie można!

Zdawać się mogło, że wykrzyk ten młodego człowieka obudzi gniew w jego ojcu, wywoła mu na usta słowa wyrzutów i surowych napomnień. A jednak, usłyszawszy go, Brochwicz pochylił głowę i milczał zamyślony, znękany.

— A więc — rzekł po chwili, smutny, badawczy wzrok topiąc w twarzy syna — a więc powiedz mi przynajmniéj, co tak głęboko rozdarło ci serce? jaka wina tak ciężko przytłacza twoje sumienie?

Maryan przeciągnął dłoń po rozpaloném czole i, odwróciwszy się od ojca, szybkim krokiem przeszedł się po pokoju. Widać było, że wrzał wewnętrznie, że wzburzone uczucia, zmącone myśli, trunek nakoniec, odbierały mu krew zimną i władzę nad sobą. A jednak powstrzymywał się chwilę.

— Po co mówić o tém? —rzekł—po co już o tém mówić, mój ojcze!

Ale postawa Brochwicza była w téj chwili surową i stanowczą, jak nigdy. Usta i ręce jego drża-

ły, ale głos rozkazującym był niemal, gdy wyrzekł:

— Mów! chcę wiedzieć, co się z tobą stało?... mów! proszę cię o to, jak przyjaciel, i rozkazuję, jak ojciec.

Maryan zatrzymał się nagle i stanął jak wryty na miejscu.

— Mój ojcze! — zaczął szybko — wolał-bym o tém nie mówić, ale... ponieważ rozkazujesz... Co się ze mną stało? Nic doprawdy nadzwyczajnego! stało się to, co staje się codziennie z dziesiątkami takich młodych ludzi, jak ja... kochałem jednę kobietę, a ożeniłem się z drugą... ale to mniejsza... bagatelna sprawa serca, rzecz sentymentów, którym poddałem się był przecież jak student... o tém zapomnę, ale... o czém zapomnieć trudniéj, to, że mieniem niekochanéj przeze mnie kobiety podparłem się, jak żebrak kijem, cudzemi rękoma wystruganym... poprostu ukradłem mienie to, aby mieć bez trudu i walki pieczone gołąbki... O tém nie zapomnę, bo dało mi to miarę samego siebie i wszystkiego, do czego jestem zdatny, bo stanęło w sprzeczności z temi pięknemi zasadami, o których mówiłeś przed chwilą, mój ojcze, i nauczyło mnie smutnéj prawdy, że, znając wszystkie te zasady, lecz nie mając dość sił do rządzenia się niemi, można zostać takim samym łotrem, jakimi bywają ci, którzy ich wcale nie znają... można... pogardzić sobą i zwątpić o wszystkiém, co

nie jest poduszką miękką, pianą szampana i śmiechem towarzyszy...

Maryan nie skończył jeszcze mówić, gdy pani Herminia porwała się z kanapy, i wzrok pełen przerażenia wlepiła w drzwi od sąsiedniéj sali.

Pan Jan także, zamiast odpowiedziéć synowi, stał nieruchomy, oniemiały, w te same drzwi wpatrzony. Na progu sali jadalnéj wyprostowana, blada, z oczyma ciskającemi błyskawice z pod brwi ściągniętych, stała pani Natalska. Przybycia jéj nikt nie usłyszał, niepostrzeżona przebyła ciemny pokój, i od kilku chwil już była świadkiem toczącéj się pomiędzy rodzicami i synem rozmowy. Teraz nie zwróciła najmniejszéj uwagi na obojga małżonków, pojawieniem się jéj spiorunowanych, ale, budząc się jakby ze skamieniałości, w jaką wtrąciło ją z razu to, co usłyszała, postąpiła ku zięciowi. Za nią blada téż bardzo, z rękoma obwisłemi na suknią i z pochyloną głową, ukazała się Teofila. Pani Natalskiéj usta drgały, otwierały się i zamykały znowu, nie mogła odrazu zdobyć się na głos i słowa, zapierane w jéj piersi boleścią i oburzeniem.

— A więc — wybuchnęła nakoniec, drżąca cała i prawie nieprzytomna — a więc kochałeś pan inną kobietę, a ożeniłeś się z moją córką! podparłeś się jéj mieniem, jak żebrak kijem, który mu podano. I na trzeci dzień po ślubie uznałeś za stosowne opuścić ją... okazać jéj obojętność swoję... wzgardę niemal... Czyś

pan nie myślał o tém, że kradniesz jéj więcéj, niż mienie, bo szczęście całego życia... O! jakże to nikczemnie... o! jakże słusznie wyrzekłeś pan o sobie, że jesteś...

Urwała nagle, bo rękę jéj, z giestem gniewu i złorzeczenia, wyciągniętą ku Maryanowi, ujęła miękka i gorąca dłoń Teofili. Młoda kobieta stała pomiędzy matką a mężem, z głową pochyloną, jak wprzódy, na twarz jéj tylko i czoło wstępował, aż po uploty jasnych włosów, głęboki rumieniec.

— Matko! — wymówiła głosem cichym, brzmiącym prośbą i pokorą — nie mam prawa czynić jemu wyrzutów! ja także, zaślubiając go, kochałam innego!

Pani Natalska, przerażona słowami temi, wpatrzyła się w córkę z najwyższém zdumieniem, pani Herminia jęknęła i rozpacznie załamała dłonie, ale Maryan podniósł nagle głowę, którą pochylił był przed wyrzutami i wzrokiem pani Natalskiéj. Na twarzy jego odmalowały się dwa uczucia: urazy i zadowolenia. Rad był, że nie sam jeden popełnił winę, która go tłoczyła, ale zarazem czuł się obrażonym i zranionym srodze. Sam wprawdzie dopuścił się względem kobiety téj fałszu i zdrady, ale... był mężczyzną, a mężczyzna oszukany czyż nie posiada sto razy więcéj praw do gniewu i urazy, niż oszukana kobieta?

Podniósł wysoko zrumienione czoło i, zimne, nie-

chętne spójrzenie topiąc w pochylonéj wciąż twarzy swéj żony, wyrzekł:

— A więc...

Nie dokończył swéj myśli, bo Teofila podniosła także głowę, i z dumą, która wróciła na twarz jéj, z błyskiem tajemnéj radości jakiéjś w oku, powtórzyła:

— A więc...

Spójrzenia ich mierzyły się chwilę, nie mogąc nic odkryć w sobie, prócz głębokiéj niechęci, wzajemnéj urazy i mrożącego chłodu.

— A więc — wymówili w jednéj chwili — rozstańmy się!

Wyrazem tym, tak jednomyślnie przez oboje małżonków wymówionym, z osłupienia i przerażenia wyrwane obie matki, poskoczyły z miejsc swych, i kiedy pani Herminia chwyciła rękę syna, pani Natalska z gorączkowym pośpiechem obejmowała ramieniem kibić córki.

— Co ty powiedziałeś, Maryanie! —zawołała pani Herminia.

— Coś ty wyrzekła, Teofilo! — ściskając córkę w objęciach, mówiła pani Natalska.

— Czyś pomyślał o tém, jaki-by to był skandal rozgłos, wstyd...

— Zapomniałaś pomyśléć o tém, moje dziecko, co ludzie powiedzą!...

— Bądź co bądź, przysiągłeś w obliczu Boga, i nie powinieneś łamać swéj przysięgi!...

— Jesteś kobietą i powinnaś dbać o swoję opinią...

— Jesteście młodzi... przebaczcie sobie wzajem, przywykniecie do siebie, pokochacie się...

— A choć-byś, droga moja, najwięcéj cierpiéć miała, wszystko lepszém jest dla kobiety i znośniejszém, niż złe języki ludzkie, strata opinii... fałszywe położenie w świecie!...

— Postąpiłaś pani względem syna naszego źle i nieszczerze, ale nie powinnaś zmuszać go przynajmniéj do zrywania świętych związków rodzinnych!

— Odebrałeś pan córce mojéj szczęście całego życia, ochroń-że przynajmniéj spokój jéj i sławę!...

Wśród téj nawałnicy słów i wykrzyków obydwóch matek, Maryan i Teofila stali na-pół gniewni, na-pół zgnębieni i zrozpaczeni, nie mogąc długo ani uwolnić się ze ściskających ich macierzyńskich objęć, ani znaléźć słowa, którém odpowiedziéć-by mogli na zwrócone ku nim trwożne napomnienia i błagalne zaklęcia.

— Jakto! — piérwszy zawołał Maryan — popełniłem winę wielką! nie powinien-żem myśléć o jéj naprawieniu?

— Zbłądziłam ciężko! — drżącemi usty wymó-

wiła Teofila — nie powinnam-że błędu mego okupić największém choć-by cierpieniem?

— Zawiedziono mnie! nie mam-że prawa cofnąć się ze związku, opartego na kłamstwie?

— Wzięto mnie dla mienia mego, nie dla mojéj osoby! nie mogęż odebrać saméj siebie od tego, który posiadać mnie nie chciał i nie chce?

— Nie powinniście, nie możecie, nie macie prawa! — zawołały jednogłośnie dwie matki.

— Co Bóg sam związał, tego ludzie rozwiązać nie mogą!

— Co ludzie uznają za zdrożne i hańbiące, tego, mianowicie kobieta, strzedz się winna, jak ognia!

— A zresztą — zawołały znowu jednogłośnie — prawa kościelne na rozłączenie się wasze nie pozwolą! Możecie rozstać się i żyć z dala od siebie, ale niezależności waszéj nie odzyskacie nigdy, nie wynagrodzicie sobie wyrządzonéj wzajem krzywdy, nie odbudujecie rodzinnego ogniska!

— Więc sprobujcie przynajmniéj żyć ze sobą!

— Czas was pogodzi! młodość was pocieszy! dzieci was połączą!

Wśród całego tego gwaru, jeden tylko Jan Brochwicz pozostał milczącym. Nie połączył się on z dwiema kobietami, aby prośbą i namową napominać do zgody zwaśnioną parę. Jako mężczyzna i czło wiek myślący, sceptyczniéj nieco zapatrywał się on tak na sądy i opinią świata, jak na doskonałość i nie-

naruszalność pewnych ustaw. Wiedział on dobrze, iż wszystko, co powstaje z fałszu i nieuczciwości, nie może w następstwie swém zrodzić nic innego, prócz nowych nieuczciwości i fałszów; że przysięga nieszczera, przed ołtarzem złożona, nic nie zabezpiecza; że w małżeństwie takiém, jak to, które miał przed oczyma, młodość — to tylko jeden więcéj czynnik cierpienia, czas — to różne tylko fazy nieszczęścia i stopnie zepsucia, dzieci — to tylko przedłużenie na pokolenia rodzicielskich nieszczęść i win. Wiedział o tém, więc ani jedném słowem nie poparł prośb i namów dwóch kobiet, ale téż i nie sprzeciwiał się im ani jedném słowem. Wiedział, że sprawa to ze wszech stron przegrana. Wiedział, że wina, popełniona przez dwoje ludzi tych, była tą właśnie, któréj naprawieniu sprzeciwiają się tak ustawy, jak obyczaje; że nieszczęście, które oni ściągnęli na swe głowy, było takiém, przeciw któremu nic mocy nie ma, oprócz jednéj śmierci. Nie mówił: pozostańcie z sobą, ale i nie powiedział także: rozstańcie się, bo o ile naprawienie związku tego, występnego w swych podstawach, uważał niepodobném, o tyle był pewnym, że rozerwanie go w sposób logiczuy, i jedynie zbawiający, bo stanowczy, było tak trudném, że także niepodobném prawie. Milczał więc, i tylko patrząc na dwoje tych ludzi, tak młodych, pięknych, a tak srodze i nieodwołalnie uwikłanych w sieci własnych swych błędów i niedołęźności, z niewyłowio-

nym bólem wołał w myśli swéj: jakże ciemne, burzliwe i jałowe, pełne próżnych smutków i niebezpiecznych pokus, będzie ich jutro!...

Nagle dał się słyszéć odgłos gwałtownego zbiegania ze wschodów, potém w głębi mieszkania dwoje czy troje drzwi otworzyło się i zatrzasnęło z łoskotem, w sąsiedniéj sali jadalnéj zaszumiały niby skrzydła olbrzymiego ptaka, niby krochmalne suknie kobiece, i do bawialnege salonu, z twarzą śmiertelnie bladą, z czepkiem wykrzywionym na rozrzuconych bezładnie włosach, wpadła Drylska. Szeroko rozwarte, na-pół w téj chwili obłąkane, oczy staréj sługi Brochwiczów, nie widziały snadź przed sobą nic i nikogo, machinalnie tylko uczuła ona, że znajduje się w obecności swych państwa, i zanim ktokolwiek miał czas opamiętać się i jedne choćby słowo przemówić, z wielkim szelestem krochmalów upadła na klęezki wśród pokoju, i w całéj długości rozpościerając ramiona, zawołała:

— Bijcie mnie, zabijcie, ukrzyżujcie, zamordujcie! ja temu nie winna! ja tego nie chciałam! ja do tego nie należałam! ja nie wiem, jak się to stało!

— Co stało się! mów! — zawołał pan Jan, przystępując ku klęczącéj kobiecie.

— Nie wiem! nie wiem! —jęczała, a raczéj krzyczała Drylska — położyła się i zasnęła... Ta... ta... żeby jéj Pan Bóg był nigdy do nas nie przynosił...

Cieciórkowa mówi do mnie: brat twój, ksiądz proboszcz, przyjechał do Wilna, widziałam go na ulicy, ale nie wiem, gdzie mieszka... pewno w którymś hotelu! — Święty człowiek! poszłam go szukać... Państwo wypili już herbatę... pani nie prędko spać pójdzie... poszłam go szukać!.. rozstąp się ziemio, nigdzie go niéma... zbiegałam wszystkie hotele... rozstąp się ziemio... Matko Ty Najświętsza! powracam co tchu... wchodzę do pokoju panienki... patrzę — na łóżeczku niéma... i téj... i téj... Panie Jezu Chryste... zełgała... zełgała... brata proboszcza nie widziała, a tylko mnie tak z domu wyprawiła.., i jéj niéma...

— Niéma! córki mojéj niéma! — krzyknęła pani Herminia, i chciała rzucić się ku drzwiom, ale pan Jan, z bladą śmiertelnie twarzą, otoczył ją ramieniem i przyciągnął ku sobie.

— Cóż? cóż? — wołał do Drylskiéj, która oprzytomniała już nieco, ale ciągle w klęczącéj postawie jęczała, szlochała, i ściśniętą pięścią biła się w piersi. Zdobyła się nakoniec znowu na głos i mowę i, wylewając strumień łez, wybełkotała:

— Niéma! niéma! patrzę, aż tu na poduszeczce papierek, złożony we czworo... rany Chrystusa Pana mego, zlitujcie się na grzeszną duszą moją... nie wytrzymałam i spójrzałam... święci Aniołowie...

W téj chwili pan Jan, jedném ramieniem podtrzymując chwiejącą się żonę, drugą ręką pochwycił ściśnioną pięść na-pół nieprzytomnéj duegny, i wydo-

był z niéj zmiętą kartkę papieru. Zbliżył się do lampy, i zniżonym, przerywanym głosem, przeczytał następujące, bezładne, trzęsącą się snadź ręką skreślone, słowa:

— „Ojcze mój! mamo! przebaczcie!.. przebaczcie! nie mogę uczynić inaczéj... Jadę z panem Romanem... nic nas rozłączyć nie może... sam Bóg dusze nasze stworzył dla siebie... on taki nieszczęśliwy... poświęcam się dla niego... on tak mnie kocha... nie chcę, ażeby zastrzelił się przeze mnie... przebaczcie! przebaczcie!.. serce mnie tak boli... umrę pewno wkrótce... Wyjeżdżamy koleją żelazną... jakiś ksiądz, przyjaciel cioci, jutro rano obiecał nam ślub dać... ciocia pozwala nam mieszkać w Cieciórkowszczyźnie... ach! jaka ja jestem nieszczęśliwa!... jak was kocham!... ale nic mnie z panem Romanem nie rozłączy, bo to mój ideał... Ojcze! mamo! żegnam was! może nie przebaczycie mi nigdy... ale ja wkrótce umrę... przyjedźcie wtedy do Cieciorkowszczyzny, i przyjdźcie na moję mogiłę... może ja rozkwitnę po śmierci jaką lilią, albo różą białą... pan Roman przeczuje, że to ja, ale ja go poproszę, aby zawiózł lilią do Brochowa, i posadził ją w tym szpalerze, w którym bawiłam się najczęściéj z braćmi, kiedyśmy wszyscy byli jeszcze dziećmi... ja nigdy już nie zobaczę Brochowa, ani braci... nigdy... nigdy..."

Po tych wyrazach następowało jeszcze kilkanaście innych, ale z oczu piszącéj upadło na nie tyle łez, że

stały się zupełnie do wyczytania niepodobnemi. Pan Jan nie skończył jeszcze czytania, gdy Maryan, zapominając o wszystkich, doznanych przed chwilą, osobistych wrażeniach i uczuciach, drżący cały od gniewu i bólu, rzucił się ku drzwiom.

— Dokąd idziesz? — stłumionym głosem rzekł pan Jan—pociągu kolei żelaznéj nie dopędzisz, a nim jutro w południe odjedzie inny, oni będą już po ślubie.

Zwrócił się nagle ku żonie i, rzucając spójrzenie na syna, zawołał:

— Doktora!

Pani Herminia nie wydała najlżejszego okrzyku nie wymówiła ani jednego słowa, ale zemdlona upadła w objęcia męża.

Zakończenie.

Cztery lata minęło, i był to już dziesiątek bieżącego stulecia ósmy.

W pogodną, lecz późną jesień, roku tysiąc ośmset siedmdziesiątego drugiego, po ogołoconych ze zbóż polach, jednéj z najrozleglejszych i najmniéj zaludnionych równin lidzkiego powiatu, rozpościerały się i nad żółtą ściernią ulatywały srebrne nici pajęczyn;

na miedzach samotne grusze polne stały, zróżowione ostatniemi promieńmi słońca, staczającego się za jaskrawy szlak obłoków; gdzieniegdzie szarzały śród widnokręgu zarośle karłowatéj choiny; krzywe wierzby, rozłożyste leszczyny i giętkie łozy, ocieniały pośród łąk zżółkłych szyby wód mętnych i stojących; gromadki nizkich krzyży wznosiły się nad cmentarzami wiejskiemi. Pora i miejsce smutne były, lubo nie pozbawione pewnego melancholijnego wdzięku, przywiązanego do barw, widoków i odgłosów jesieni, do jednostajności równin i ciszy miejsc samotnych. Rzadkie wsie, z nielicznych nizkich i szarych chat złożone, i rzadsze jeszcze od nich dwory szlacheckie, bardzo mało przyczyniały się do rozweselenia i urozmaicenia okolicy téj, po któréj, z odgłosem pocztowych dzwonków, czterema końmi ciągnięty, posuwał się szybko lekki powóz Jana Brochwicza. Posuwał się on ku małemu dworkowi, samotnie śród żółtéj równiny rzuconemu, przyozdobionemu kilku włoskiemi topolami i niewielkim sadem owocowym, tworzącym dla starego domku, o czterech frontowych okienkach, tło w lecie zielone, teraz złociste od zeschłego na drzewach liścia. Przed domkiem był dziedzińczyk niewielki, na-pół walącym się płotem opasany, parę budowli gospodarskich, mocno zachwianych na sile i zdrowiu, kilka grządek kwiatowych, okrytych zeschłemi badylami oddawna przekwitłych aster i georginii, parę ławek drewnianych, ustawionych z obu

stron progu i osłonionych od słońca lub deszczu wystającym okapem słomianego dachu. Ze wszystkich stron i kątów dworku tego wyglądała mierność, zbliżająca się do niedostatku, nie tyle z braku środków materyalnych powstała, jak z panującego tu widocznie bezładu i zaniedbania.

I z tego zakątka wiejskiego, jak z każdéj wogóle wioski, któréj niebo i ziemia dają światło, niczém nie przyćmione, powietrze niezmącone, barwy i wonie natury — pilne i umiejętne starania mogły-by uczynić miejsce nie pozbawione piękności i uroku; ale starań tych dokładać nikt tu nie umiał snadź, czy nie chciał. Zakąt ten był Cieciorkowszczyzną, folwarkiem, będącym od lat kilkudziesięciu szczupłą i wiecznie zaniedbywaną posiadłością pani Róży z Brochwiczów Cieciorkowéj.

Zaledwie Jan Brochwicz wysiadł z powozu, gdy z ogrodu wybiegła młoda kobieta, i z okrzykiem, w którym brzmiała wielka radość i wdzięczność, rzuciła się ku przybyłemu, całując ręce jego i tuląc się do jego piersi. Po chwili znaleźli się oboje w pokoju, nieobszernym wcale i z wielką prostotą urządzonym, bo posiadającym belkowany sufit, prostą i przybrudną podłogę; sprzęty, które niegdyś były może dość nawet wytworne, ale teraz staroświeckie niezmiernie i nieco uszkodzone, wyglądały, jak źle przechowane archeologiczne zabytki.

Jan Brochwicz powiódł młodą kobietę ku oknu,

i patrzał na nią długo, z czułym, litośnym jakby wyrazem na twarzy. Byłaż-to naprawdę Żancia, owa przed czterema laty młodziuchna panienka, ów pączek zaledwie rozkwitający, ubierany, czesany, poruszający się i mówiący wedle ścisłych reguł, panny dobrze wychowane obowiązujących? Tak, była to ona, ale jakże się zmieniła! Miała teraz dwadzieścia dwa lata, ale wyglądała nierównie starzéj. Szczupła zawsze i delikatna, stała się jeszcze szczuplejszą i powiewniejszą; twarz jéj, bledziuchna dawniéj, lecz gładka jak listek białéj lilii, zwiędła, ogorzała nieco i zgrubiała; na młodém czole wyryły się ciężkich myśli ślady, a w oczach wielkich, zapadłych trochę, podkrążonych, widać było częstą obecność łez i ciągłe przebywanie chorobliwych, niczém nieuleczonych marzeń. Ubraną była w perkalową suknią, dość czystą, ale nieozdobną wcale, z niedbałością widoczną uszytą i włożoną; czarne włosy jéj, zawsze równie obfite i jedwabiste, niegdyś tak prawidłowo układane, teraz dwoma prostemi i potarganemi warkoczami otaczały kształtną jéj głowę.

W obu dłoniach ściskała ręce ojca i patrzała mu w twarz spłakanemi, rozmarzonemi oczyma, z miłością i wdzięcznością.

— Ojcze! a mama? bracia moi?

— Mama dość zdrowa, o innych... potém... pokaż mi teraz twego syna!

Nie domówił jeszcze tych wyrazów, gdy w progu ukazała się pani Róża, z dwuletniém dzieckiem na ręku. Dawna młoda staruszka srodze posunęła się przez te lat kilka; nie była już młodą staruszką, ale poprostu staruszką. Na głowie jéj piętrzył się wprawdzie uczerniony warkocz, a na warkoczu sterczała jakaś naprędce przypięta kokarda, i naprędce téż przywdziana mantylka z frendzlą okrywała ramiona; ale cóż z tego, skoro poniżéj warkocza czoło sfałdowało się w mnóztwo zmarszczek, czerstwość twarzy znikła bez śladu, a pod mantylką plecy przygarbiły się, cała wspaniała niegdyś postać, spokorniała jakby i zmalała. Na domiar złego, jeden z policzków, obrzękły nieco od fluxyi, przykryty był materacykiem z wonnemi ziołami i obwiązany białą chustką. Z dzieckiem na ręku stanęła w progu, i bystrém, jak dawniéj, ale zmieszaném i nieśmiałém spójrzeniem zmierzyła pana Jana. Prędko jednak namyśliła się i, postępując żywo ku przybyłemu, zaczęła:

— Daruj, kuzynciu! na miłość Boga daruj!... wybacz! ot widzisz, szalona pałka była zawsze ze mnie, toć i pokutuję za to na starość...

Pan Jan z widoczną przykrością ujrzał starą swą krewną, spostrzegłszy jednak błagalny wzrok córki, powitał ją z przymuszoną grzecznością.

— A! — rzekł — cóż zrobić? Ciężko przeciw nam zgrzeszyłaś, kuzynko, ale... któż z nas bez grzechu? Przytém obojgu nam do grobu niedaleko... nie

idźmy z urazą w sercu tam, gdzie wszyscy przebaczenia bardzo potrzebować będziemy...

Smutny był, gdy to mówił, ale rozweselił go wnet uśmiech i szczebiot pucołowatego dzieciaka, który, krzywiąc się z razu i przybierając do płaczu, na głos i pieszczotę matki uśmiechnął się i wyciągnął ku dziadkowi pulchne rączki.

— Wyrósł twój chłopak od czasu, jak go nie widziałem — rzekł pan Jan, zwracając się do córki, i biorąc dziecko z rąk pani Róży.

Blada i chuda twarz młodéj kobiety rozjaśniła się promieniem radości.

— O! wyrósł znacznie i wyładniał, nie prawdaż? ale cóż dziwnego! Wszak to już rok upłynął w przeszłym miesiącu od czasu, gdyś tu był, ojcze!

Słowa te oznajmiały, że pan Jan nie po raz piérwszy już odwiedzał córkę. Tak było w istocie. Przez cały rok, upłyniony po ucieczce Żanci z rodzicielskiego domu, państwo Brochwiczowie byli nieprzebłagani, nie odpisywali nawet na liczne listy, które ona pisywała do nich, błagając o przebaczenie. Po roku pan Jan odpisał na list jeden, potém nieco pani Herminia przypisała się do listu męża; po roku jeszcze wezwali córkę, aby przybyła do nich, a gdy po dwóch tygodniach pobytu u rodziców, Żancia odjeżdżała, trzymając u piersi małe niemowlę, pan Jan przyrzekł jéj swą bytność w Cieciorkowszczyznie i dotrzymał słowa. Teraz przybywał tam po raz drugi.

Pani Róża, ośmielona pobłażliwemi słowy, jakiemi powitał ją Brochwicz, z dawną zywością, połączoną przecież z niejakim smutkiem, zagadała:

— Posunęłam się bardzo, Jasiuniu, przez te cztery lata... zestarzałam... poszkapiałam... nie prawdaż? był-byś mnie może nie poznał, gdybyś mnie był spotkał gdzieindziéj i dokumentnie już nie wiedział, że to ja... A trzymałam się jednakże długo i dobrze, ale niéma rady... przyszła kryska na Matyska... zębiska potraciłam, a te, co zostały, bolą i dokuczają... i sił już takich nie mam, jak wprzódy; skoro tylko wieczór, to nie do zabawy mi, jak bywało, ale kości bolą i do łóżka ciągnie...

— A jednak — przerwała Żancia — ile razy dziecko moje w nocy zapłacze, zrywasz się, ciociu, na równe rogi i biegniesz do niego, a całe dnie nosisz je, lub kołyszesz...

Pani Róża mrugnęła oczyma z dawną figlarnością, którą jednak, jak się zdawało, chciała tylko pokryć rozczulenie.

— A bo to aniołeczek, kupidynek, nie dziecko!— zawołała, biorąc znowu chłopca na ręce — ot, swoich dzieci nigdy nie miałam, to miło na starość taką ślicznotkę polulać i popieścić... Człowiekowi zresztą lżéj na sercu, kiedy, przed grobem stojąc, pomyśli sobie, że choć odrobinką jaką może przysłużyć się Panu Bogu i ludziom!

— Nie poznaję cię, kuzynko! — rzekł pan Jan —

mówisz o starości, o grobie, siedzisz w domu i pielęgnujesz dzieci... Czyliż zupełnie już zaniedbałaś dawnych swych podróży i wycieczek do krewnych i znajomych...

— A zaniedbałam, Jasiuniu, zaniedbałam... ostatni raz wyjeżdżałam rok temu, wtedy właśnie, gdyś tu był, do Wojszyłłów na chrzciny... bawiłam tam dwa tygodnie... bardzo mili i gościnni ludzie... ale cóż z tego? świat już nie ten, co był, kochańciu! oj! nie tak, nie tak bywało za naszych czasów, Jasiulku...

— Czy świat o tyle ciemniejszym stał się, jak utrzymujesz, kuzynko, czy może tylko my smutniejszemi patrzymy na niego oczyma? — z uśmiechem zagadnął pan Jan.

Pani Róża, zdziwiona z razu tém przypuszczeniem, które snadź nigdy na myśl jéj nie przyszło, pokiwała potém głową.

— Być może, Jasiulku, być może... ale, ot ja tu z tobą gwarzę, nie pomnąc, że macie pewno z córką kupę rzeczy do mówienia... a i Anteczek spać już chce... pójdę położyć robaczka, a Drylską tu przyślę, aby wam herbatę urządziła, i na kominku ogień roznieciła, bo zimno dziś jakoś w naszéj chacie..

Zimno było w istocie w biednéj izbie starego domku i nieporządnie, nieprzytulnie. Na ścianach deszcz, przeciekający przez dach dziurawy, utworzył sine i popielate plamy i szlaki; powierzchnią staroświec-

kich sprzętów okrywała warstwa pyłu; firanki, niezupełnie czyste i niedbale zawieszone, więcéj szpeciły, niż ozdabiały małe okna z przepalonemi i mętnemi szybami. A jednak nie wielkich trzeba było kosztów, ale trochę tylko starań i czynnego zajęcia, aby miejsce to uczynić, jeśli już nie ładném, to porządném, wygodném i czystém... Gospodynią w miejscu tém była kobieta, przyzwyczajona od kolebki do ładu, wdzięku, wytworności, dlaczegoż nieprzyozdabiała ona, nie porządkowała przynajmniéj skromnego swego siedliska? Aby znaléźć na to odpowiedź, dość było spójrzéć na powolne, senne jakby jéj ruchy, w głębokie, marzące jéj oczy. Rzeczywistość musiała nie istniéć dla niéj, gardziła nią ona, lub nawet może nie spostrzegała jéj zjawisk i niedostatków.

Drylska, rumiana i okrągła, jak dawniéj, w mniéj tylko krochmalnych sukniach, wniosła na staréj tacy przyrządy do herbaty, rozpłakała się przy powitaniu z panem Janem i, przyklęknąwszy przed wielkim staroświeckim kominem, rozniecіła ogień, którego połyski ożywiły, ogrzały nieco smutną i chłodną izbę. Stara sługa Brochwiczów od lat już trzech zamieszkiwała w Cieciorkowszczyznie, a stało się to następującym sposobem. W porze, w któréj państwo Brochwiczowie okazywali się jeszcze względem córki nieprzebłaganymi, i na listy jéj nawet odpowiedzi żadnéj nie dawali, pani Herminia przywoła-

ła pewnego dnia dawną duegnę Żanci i rzekła do niéj:

— Panna Drylska nie może dłużéj w domu naszym pozostawać...

Dryskiéj oczy napełniły się łzami, splotła jednak ręce z giestem rezygnacyi i odrzekła w pokorze:

— Spodziewałam się oddawna, że pani mi to powié, a jednak klnę się na rany Chrystusa, żem temu nieszczęściu winną nie była...

— Proszę o tém nie wspominać przede mną — zsuwając brwi, przerwała pani Brochwiczowa — sądziłam, że pannie Drylskiéj przyjemnie będzie spędzić koniec życia w ulubionym jéj lidzkim powiecie?...

Stara sługa, nie mogąc powstrzymać się daléj, zalała się łzami.

— A tak — rzekła — cóż robić? pójdę na starość tułać się po braterskich kątach... może mnie siostra na łaskawy chleb przyjmie, albo brat proboszcz...

— Panna Drylska jest jeszcze w sile wieku i mogła-by przydać się bardzo komuś... komuś, zostającemu w przykrém położeniu... jakiéj młodéj mężatce naprzykład, która pannę zna od dzieciństwa i miała do niéj zawsze wielkie zaufanie...

Pani Herminia powiedziała to takim tonem, że Drylska wytrzeszczyła szeroko oschłe nagle z łez oczy,

i niepewna, czy ukryty sens mowy swéj pani dobrze wyrozumiała, jąkając się, zawołała:

— Pani moja! królowo moja! czy to być może! czy pani mnie pośle naprawdę do téj gołąbeczki naszéj kochanéj... do téj dzieciny naszéj opłakanéj...

Pani Herminia powstała ze sztywną postawą i surową twarzą.

— Proszę przede mną o tém nie wspominać... — rzekła sucho — niech panna Drylska jedzie do swego ulubionego lidzkiego powiatu, a jeżeli tam za jéj usługi nie będą mogli słusznie wynagrodzić, znajdziesz to panna u mnie...

Żadne drgnięcie nie poruszyło twarzą pani Brochwiczowéj, gdy mówiła te słowa, łza nie zwilżyła jéj oka, głos nie zadrżał. Raz jeszcze dała ona dowód takiego powściągania i ukrywania swych uczuć, jakie poważnéj i dystyngowanéj damie przystoi, gdy, nie pozwalając wspominać przed sobą imienia córki, z suchém okiem i zimną twarzą, posyłała przecież córce téj starą i wierną sługę, aby była dla niéj pomocnicą w nowém położeniu, i pocieszycielką w przypuszczalnych strapieniach. Drylska tedy przybyła do Cieciorkowszczyzny przed trzema przeszło laty, i powitana przez Żancię z niewypowiedzianą czułością, pozostała przy swéj, jak wyrażała się, ukochanéj i opłakanéj dziecinie. Zupełny brak przysmaków zastępowało jéj, niedalekie sąsiedztwo okolicy Dry-

liszek, dokąd często udawała się dla odwiedzenia swych krewnych i brata proboszcza „Świętego człowieka!”

Kiedy Drylska, rozłożywszy ogień na kominie i umieściwszy przed nim stolik, herbatę i dwa stare poręczowe krzesła, ucałowała raz jeszcze z wylaniem ręce pana Jana i odeszła, Brochwicz, po chwilowém widoczném wahaniu, zwrócił się do córki:

— Gdzież jest twój mąż? — zapytał.

Żancia bez najlżejszego wahania ani zmieszania, tak zupełnie, jakby mówić miała o rzeczy najzwyczajniejszéj i najnaturalniejszéj, odrzekła:

— Roman, mój ojcze, od tygodnia bawi z matką swoją w Lidzie... wczoraj właśnie dawał tam koncert...

— Koncert! a więc zawsze te nieszczęśliwe koncerta! — mimowoli jakby zawołał pan Jan.

Żancia zarumieniła się trochę. Niechętny i pogardliwy wykrzyk ojca zmartwił ją i, jak widać było, uraził nieco.

— Tak, mój ojcze — odrzekła łagodnie — lecz z niejakim zapałem, — Roman nie ostygł wcale w miłości swéj dla sztuki... gdybyś widział, jak on pracuje nad muzyką! Grywa, exercytuje się, probuje komponować, po całych niekiedy dniach i nocach...

— Ależ na Boga! — przerwał Brochwicz — czyliż może on spodziewać się jeszcze, że dopro-

wadzi go to do czegokolwiek moralnie lub materyalnie?...

Żancia, stawiając przed ojcem świeżo nalaną szklankę herbaty, odpowiedziała z zupełnym spokojem:

— Dlaczegoż-by nie? mój ojcze. Wierzy on głęboko w talent swój i wyższe natchnienie, i ja w zupełności wiarę jego podzielam... Być może, iż świat pozna się na nim kiedykolwiek... jeżeli zaś nie nastąpi to nigdy, pomnoży on liczbę męczenników, wzgardzonych przez ludzi, którzy zrozumiéć ich nie są zdolni. W każdym razie, mój ojcze, jest to przeznaczenie wyższe, którém Roman słusznie chlubić się może...

— Zapóźno było-by sprzeczać się o tém z tobą— z westchnieniem odparł Brochwicz — uczynię tylko jednę uwagę. W czasie, gdy mąż twój, z niezachwianą wiarą w swe wyższe przeznaczenie, szuka po świecie sławy, która unika go tak uparcie, ty, moje dziecko, ciągle prawie samotną jesteś, w tym zapadłym kącie, z dwiema staremi kobietami... Wszak téj zimy twój mąż przez parę miesięcy dobijał się laurów w różnych miastach i miasteczkach, a ty zostawałaś tutaj...

— To prawda! — rzekła Żancia — nie chciał mnie wziąć ze sobą, bo znajduje, że nie potrafiłabym akompaniować tak dobrze, jak pani Wąsikowska...

— Jakto! — zawołał Brochwicz — ty, moja córko, nie wahała-byś się wystąpić na koncertową estradę, aby akompaniować w koncercie, na który ludzie idą z litości tylko, lub dla pośmiania się...

Żancia podniosła czoło, oblane rumieńcem.

— Mój ojcze! — zawołała — czegoż-bym ja nie uczyniła dla niego! Kiedym postanowiła zostać jego żoną — mówiła daléj — wiedziałam, że poświęcam się, że wiele przenieść będę musiała... to téż teraz bynajmniéj na mój los nie wyrzekam, i gdyby nie to wspomnienie, żem postępkiem moim tak srodze zmartwiła was i uraziła, była-bym z losu mego dumną i zupełnie, zupełnie szczęśliwą!...

Nie znać było szczęścia na wychudłéj i zwiędłéj jéj twarzy, ani w oczach przygasłych i w inne jakby światy wpatrzonych, ani w ubraniu jéj ubogiém i zaniedbaném, ani w otoczeniu zimném i brzydkiém. Ale skrytą była, upartą i rozmarzoną. Przez skrytość nie przyznawała się do swych cierpień, przez upór wmawiała w siebie szczęście, którego nie czuła; dzięki umysłowi sfałszowanemu w zarodzie, bo obcemu wszelkiemu duchowi rozbioru i krytyki, posiadała zawsze ideał swój w postaci człowieka, którego raz umieściła była na piedestale, paliła przed nim kadzidła czci i poświęceń i, upojona ich dymem, szła przez świat, jak senna, albo lunatyczka.

Brochwicz nie odpowiedział nic na pełne zapału i stanowczości słowa córki; po srogich doświad-

czeniach, doszedł on może do lepszego, niż dawniéj, rozumienia istotnych usposobień swych dzieci; wiedział, że słowa żadne pomódz nie mogą tam, gdzie bezwładnemi okazywały się najoczywistsze fakta, najdobitniejsze dowody i najdotkliwsze cierpienia.

Żancia odsunęła stół z wypróżnionym już herbacianym przyrządem, i usiadła u kolan ojca.

— Ojcze! opowiédz mi co o domu naszym, o braciach moich, krewnych, znajomych!...

Na prośbę tę Brochwicz nie zaraz odpowiedział; na twarzy jego, postarzałéj nad lata, głębokiemi bróżdami zoranéj, osiadło zamyślenie ciężkie. Gdy nareszcie przerwać zdołał wątek smutnych swych myśli i mówić zaczął, nie wiedziéć dlaczego pomijał w mowie swéj wieści i o rodzinnym domu Żanci, i o jéj braciach, a mówił z razu tylko o dalszych przedmiotach i osobach.

Od roku zresztą, to jest od ostatniego widzenia się z córką, w kole dawnych jéj znajomości zaszło zmian niewiele. Powiedział jéj, że pani Natalska przebywała we Włoszech, gdzie dogorywała na suchoty starsza jéj córka; że panowie Natalscy polują wciąż z jednostajném upodobaniem, ale prawdopodobnie utracą wkrótce możność tak przyjemnego bawienia się, bo na majątku ich długów zbiera się coraz więcéj, i za lat parę najdaléj, będą zmuszeni sprzedać go, jeśli piérwéj nie pożenią się bogato, co zre-

sztą odwlecze tylko katastrofę na czas pewien; że Darzyc ojciec grywa zawsze w preferansa, i grywać zapewne będzie do śmierci, gdyż czasu, majątku i chętnych sąsiadów, wystarczy mu do grobu; że nakoniec Artur Darzyc zamyśla wciąż stale wziąć się do gospodarstwa w Kwiecinie, tymczasem jednak odnowił kontrakt z dzierżawcą, i zamknięty, jak pustelnik, w swym ustronnym, wiejskim domu, odczytuje codziennie po kilka tomów książek, których zresztą bardzo piękną zbiera kolekcyą. Nie ożenił się dotąd, i nietylko, że nie ożenił się, ale od czterech lat okazuje wyraźną niechęć i wzgardę względem płci pięknéj, mówiąc otwarcie każdemu, kto go tylko chce słuchać, że nie wierzy w niewinność, ani żadną inną cnotę niewieścią. Sceptycyzm ten dawny narzeczony Żanci posunął do tego stopnia, iż, jak wieść niesie, napisał i wkrótce podać ma do druku książkę, którą jak na dłoni dowiedzie światu, że kobieta jest z natury swéj fałszywą, najgorszemi instynktami obdarzoną istotą, i że mężczyzna, ceniący godność swą i spokój, nie powinien nigdy przywiązywać do niéj więcéj wartości, niż do puchu, ładnego, lecz marnego, kwiatu, wonnego, lecz truciznę kryjącego w swém łonie, ozdoby życia lub domu, miłéj i koniecznéj poniekąd, lecz kruchéj jak szkło, podstępnéj jak obłuda, z postacią anioła, a duszą — nie szatańską nawet, bo — żadną.

Żancia słuchała wieści tych dość obojętnie, przy

ostatniéj uśmiechnęła się na-pół smutnie, na-pół wzgardliwie, a gdy ojciec jéj mówić przestał, zapytała go znowu o Brochów i braci.

— Czy dom jéj rodzinny — pytała — zawsze tak jasny i ciepły w zimie, tak mile odwiecznemi drzewami ocieniony w lecie? Czy w Brochowskim ogrodzie zawsze tak wiele kwiatów, jak dawniéj bywało? a duży staw za ogrodem, czy zawsze tak przezroczysty, a o zachodzie słońca różowy i błyszczący? Czy Maryś i Tośka bardzo są szczęśliwi, że w tém pięknéni, ukochaném miejscu mieszkają? czy rodzice często przyjeżdżają do nich z Radlina?

Nadaremnie zadawała wszystkie pytania te, z twarzą podniesioną ku twarzy ojca, z oczyma rozpromienionemi niezapomnianém nigdy wspomnieniem lat dziecięcych, miejsc rodzinnych, z niecierpliwą ciekawością w głosie. Brochwicz milczał, nie patrzał nawet na córkę. Po chwili dopiéro uczynił nad sobą wysilenie widoczne i, tłumiąc głębokie westchnienie, rzekł z cicha:

— Brochów sprzedany!...

W tych dwóch krótkich słowach, cichym i ciężkim wymówionych szeptem, było tyle bezdennego żalu, upokorzenia, rozpaczy, że więcéj ich zdradzić-by się nie mogło w wykrzyku najrozgłośniejszym.

Żancia wielkiemi oczyma wpatrzyła się w ojca.

— Brochów sprzedany! — zawołała z żalem

i zdumieniem — któż go sprzedał? czy ty, mój ojcze?

— Nie — odrzekł Brochwicz — wszystkie prawa do majątku tego przelałem na Maryana... i on-to wydał w ręce obce ten piękny kawał ziemi, z którym wiązały nas najdroższe uczucia i najświętsze obowiązki.

Oczy młodéj kobiety nabiegły łzami. Uczucia i myśli, mające związek z ogółem i „najświętszemi obowiązkami”, te uczucia i myśli, które najwięcéj przyczyniały jéj ojcu wyrzutów, zgryzot i zawstydzenia, zaledwie jéj były zrozumiałemi; ale żałowała rodzinnego miejsca swego, „wydanego w ręce obce”.

— Niedobry Maryś! — zawołała — pocóż on to uczynił.

— Jesteś już mężatką i przebyłaś koleje, które powinny były uczynić cię kobietą dojrzałą — z powagą zaczął Brochwicz — wyrządził-bym ci więc krzywdę, gdybym taił przed tobą smutne nasze sprawy rodzinne... Maryan sprzedał Brochów, bo nie umiał, czy nie chciał pracować nad utrzymaniem przy sobie majątku tego, bo zapragnął nieograniczonéj swobody, bo nakoniec... jest on na złéj, na bardzo złéj drodze!

Ostatnie słowa wymówił znowu cichym głosem. Być może, iż po raz piérwszy wymawiał je przed kimkolwiek, ale przed sobą samym musiał już je nieraz,

nieraz powtórzyć, i były one tą tajoną zapewne przed ludźmi, lecz wiecznie jątrzącą się raną, od któréj włosy pobielały mu nad czołem i cała postać, młoda jeszcze przed kilku laty, przyoblokła się w piętna starości. Po chwili milczenia, mówił daléj złamanym głosem:

— Zapytywałaś mnie, czy Maryan i Teofila mieszkają w Brochowie, czy często ja i matka twoja bywamy u nich? Nie mieliśmy nigdy téj pociechy... Brochów sprzedanym został wprawdzie przed dwoma zaledwie miesiącami, ale dzieci nasze nigdy prawie tam nie mieszkały... Niepojęty niepokój jakiś, wieczne ze wszystkiego niezadowolenie, nuda nieuleczona niczém, wypędzała ich nieustannie z miejsca tego, tak hojnie jednak obdarzonego przez naturę żyznością i pięknością, tak pełnego pamiątek rodzinnych... Wyjeżdżali parę razy za granicę, dwie zimy przepędzili w Wilnie, a ostatnią w Warszawie. Maryan brał się kilka razy do wznoszenia fantastycznych budowli jakichś; przerabiał i powiększał dom, i bez tego, jak wiész, dość obszerny, ozdobiony i wygodny; wzniósł do połowy olbrzymi jakiś śpichrz murowany; zbudował dwie cieplarnie, w których nigdy żadna nie postała roślina; któregoś roku zapalił się był do sprowadzania bydła poprawnéj rasy, które jednak, źle doglądane, wyginęło ze szczętem; rozpoczynał mnóztwo robót, a nie skończył żadnéj... Pieniędzy tym-

czasem rozrzucił dużo i,o ile wiem, z sumy posagowéj Teofili nic już nie zostało.

— Mój Boże! — zawołała Żancia —jakże oni tak prędko stracić mogli tyle pieniędzy?

— A! — rzekł Brochwicz -- różnemi sposoby... długo nie chciałem temu uwierzyć, ale przekonały mnie fakta i dowody, że Maryan polubił to wesołe życie, od którego dawniéj zdawał się być tak dalekim... Teofila trwoni téż ze swéj strony na stroje i zabawy... Ostatniéj zimy dawali w Warszawie tygodniowe wieczory i rauty... oprócz tego kawalerskie zabawy, urządzane przez Maryana, posiadały tam tyleż sławy, ile zyskały jéj wieczorne przyjęcia Teofili .. Teraz znowu Maryan zapalił się do wielce problematycznéj i podejrzanéj spekulacyi jakiéjś, mającéj na celu budowanie drogi żelaznéj, czy téż kopanie jakiegoś kanału... Daj Boże, abym się mylił, ale zdaje mi się, że popadł w ręce przebiegłych i wytrawnych oszustów... obiecują mu oni złote góry... aby więc módz wziąć udział w tém zagadkowém przedsiębierstwie, sprzedał Brochów... jeżeli spekulacya nie uda się, ma zamiar wyjechać za granicę i oddać się grze giełdowéj... Oto są smutne prawdy o najstarszym bracie twoim, droga moja! co do młodszych, nie można jeszcze z pewnością powiedziéć teraz, czém i jakimi oni będą... Leon bardzo podobny ze wszech względów do Maryana, nie takiego, jakim teraz on

jest, ale takiego, jakim był. W przeszłym roku doszedł do pełnoletności, i pojechał za granicę na wolnego słuchacza przy jednym z tamtejszych uniwersytetów. Jarosława, jak wiész już o tém, dwa lata temu wysłałem do politechnicznéj szkoły... prowadzi się on porządnie... lubi naukę, i w nim jednym cała teraz nadzieja nasza.

— Mój ojcze — szepnęła nieśmiało — dlaczegoż pozwoliłeś Marysiowi sprzedać Brochów?

— Alboż myślisz — rzekł Brochwicz — że Maryś jest tak kochającym i dobrym synem, jak był dawniéj?

— O, Boże! — zawołała młoda kobieta, załamując ręce—dlaczegoż nie mam wiele, wiele pieniędzy... oddała-bym ci je, mój ojcze, abyś mógł Brochów odkupić!...

Brochwicz uśmiechnął się z goryczą i położył dłoń na jéj głowie.

— Znać, moje dziecko, żeś nigdy nie zastanowiła się nad pewnemi rzeczami. Alboż nie wiész o tém, że najmniejszéj piędzi ziemi, raz utraconéj, *nikt z nas odzyskać już nie może!*

Żancia westchnęła i pochyliła głowę. Ostatnie słowa ojca, dały jéj dopiéro przebłysk pojęcia o tém, co w smutnym fakcie utraty ojczystego gruntu zasmucało go najwięcéj, w czém było główne źródło boleści serca jego i wyrzutów sumienia.

— Co się tycze pieniędzy—zaczął po chwili Bro-

chwicz — przyjechałem tym razem do ciebie przeważnie w interesie pieniężnym. Sprzedając Brochów, Maryan złożył w moje ręce sumę, którą ja i twoja matka przeznaczyliśmy dla ciebie...

— Mój ojcze! — przerwała Żancia — ja nic od was nie wymagam, niczego nie żądam; wszak nietylko zwróciliście mi serce swoje, ale i osypujecie mnie od lat trzech swemi dobrodziejstwy...

— Jesteś naszém dzieckiem, cokolwiekbądź więc stało się, nie możemy cię opuścić, pragniemy byt twój polepszyć i przyozdobić. Ale zastanów się sama nad tém, w jaki-by sposób najłatwiéj i najskuteczniéj tego dokonać. O oddaniu bowiem funduszu twego w ręce twego męża i myśléć nie możemy.

Żancia zarumieniła się znowu głęboko i chciała przerwać ojcu, ale on mówił daléj:

— Od trzech lat przesyłamy ci corocznie procent od twéj posagowéj sumy. W cóż się on obraca? Nie znać materyalnych tych środków, ani w tym dziurawym dachu, ani na tych ścianach nagich i sprzętach odwiecznych, ani w twém ubogiém ubraniu. Jako ojciec twój, powiem ci znowu, że nie jest mi wcale tajemném, iż mąż twój traci w podróżach, cukierniach i hotelach miejskich wszystko, co posiadasz, ciebie pozostawiając w zupełném niemal ogołoceniu.

— Mój ojcze! — ze łzami w oczach przerwała młoda kobieta — nie mów tak! o, proszę cię, nie mów

tak o moim mężu! ja mu sama dobrowolnie oddaję wszystko, co otrzymuję od was! Albożnie potrzebuje on środków materyalnych, dla nadania wyższego polotu duchowi swemu? alboż nie należy się mu wynagrodzenie jakieś za poświęcenie się jego dla sztuki, za niesłuszne upokorzenia, jakich doświadcza od świata?

— Nie o to idzie — z lekkiém zniecierpliwieniem rzekł pan Jan — chciał-bym tylko, żebyś zastanowiła się dobrze nad tém, co ci powiem. Warunkami materyalnemi życia bezwzględnie pogardzać nie należy. Znosisz teraz ubóztwo z cierpliwością, ale czy cierpliwości téj na długo ci wystarczy?...

— Potrzebuję bardzo mało, mój ojcze. Byle-bym mogła marzyć swobodnie, miéć moje dziecko przy sobie...

— A więc dla miłości i przyszłości dziecka twego, powinnaś wziąć fundusze swe pod własny swój zarząd. Przypuśćmy, że widząc wyraźne niebezpieczeństwo, nie oddamy wam kapitału, majątek twój stanowiącego, dopóki żyć będziemy... ale myśmy, dziecko moje, starsi i sterani, a gdy nas zabraknie, któż stanie na straży własności twéj, jeśli nie ty sama? Któż, oprócz ciebie, będzie mógł położyć jakąś tamę rozrzutności twego męża...

Żancia żywo podniosła głowę. Oczy jéj zaświeci-

ły zdwojonym blaskiem, na twarzy odmalował się wyraz energicznego oporu.

— Ja tamy téj nie położę z pewnością, mój ojcze! ja Romanowi nie sprzeciwię się w niczém nigdy! Wychodząc za niego, postanowiłam nieść mu zawsze pociechę i ulgę, wycierpiéć raczéj wszystko, niż sprawić mu choć-by chwilę zmartwienia. Czyż nie dość, że upokarzają go ciągle świat i ludzie, abym ja jeszcze miała okazywać mu nieufność, wątpliwość o prawości jego charakteru i dobroci jego serca? Nie, mój ojcze! przebacz mi, ale nie uczynię tego nigdy! O byt dziecka mego spokojną jestem. Ciocia Rózia kocha je, jak swoje, i zapisała mu już ten kawałek ziemi, który zawsze dać może jaki taki kęs chleba. Ze mną niech co chce będzie! Nietylko nie odmówiła-bym nigdy mężowi memu środków, których wy mi udzielacie, ale gdybym mogła, umiała, pracowała-bym w pocie czoła, aby mu je powiększyć, aby z ich pomocą przynieść mu choć chwilę pociechy i przyjemności, aby przekonywać go ciągle, że nie dbam o materyalne dobro tego świata, ale pragnę tylko być jego aniołem pocieszycielem, że nie omylił się on, gdy niegdyś ujrzał we mnie ideał swój, to jest serce, mogące zrozumiéć go i ocenić wyższego jego ducha!

Ileż w uczuciach, które córce Brochwicza podyktowały słowa te, było dobroci serca, zapału, wspaniałomyślności! ale jakże zarazem niepraktyczną by-

ła ta jéj dobroć! jakież płonne urojenie rozniecało jéj zapał! na jaki przedmiot niegodny, na jaki grunt jałowy łzy swe i ognie przelewała jéj wspaniałomyślność! Z całą biernością swą z jednéj strony, a w upór przerodzoną energią z drugiéj, z marzycielstwem swém i nieznaniem wszelkiéj rzeczywistości, a wrodzoną skłonnością do uczuć szlachetnych i gorących, córka Brochwicza pomnażała sobą zbyt liczny zastęp kobiet, które, jak powietrza, potrzebują do życia oddawania czci bożyszczu jakiemuś, mniejsza o to z jakiego kruszczu urobionemu; bo nietylko zimny marmur, ale nędzną glinę, błoto nawet samo, wyobraźnia ich rozbujała, niewiadomość ich, prawdy od fałszu rozróżnić nieumiejąca, przetapiają na czyste złoto, na blaski tęczowe, na promienie księżycowe, lub słoneczne.

Pomnożyć ona miała sobą zbyt liczny zastęp niewiast, których zaparcie się, poświęcenie, męczeństwo, świat, niewnikający w grunt i wartość zjawiska, podziwia i wysławia, a które w saméj istocie rzeczy, mistycznemi są pogadankami i rozgorączkowanemi dziećmi. U stóp fetyszów rozrzucają one nadarmo najpiękniejsze skarby serc swoich. Rozbijają swe piersi o opoki zbudowane z piasku, zużywają siły na dzieło niegodne jednego ich spójrzenia, przyjmują z radością rolę owiec, ogałacanych z wełny, gęsi (grzeczniéj gołębic) oskubywanych z pierza, dlatego tylko, aby w wełnę ich owinąć się mogły wygodnie

głupia pycha i występne wyzyskiwanie, aby na pierzu, zdjętém z ich ciała, miękko spać mogły próżniactwo i wszelkie grzechy. Męczennice to są zapewne, ale gdzie potrzeba męczeństwa ich i w czém jego pożytek?

Przed domem zaturkotały koła, Żancia zerwała się na równe nogi.

— To pewno Roman przyjechał! — zawołała, i na-pół rozpromieniona, na-pół szczególnym jakimś niepokojem zjęta, wybiegła z pokoju. Na dworze ciemno już było zupełnie; Żancia, przysłaniając dłonią świecę, którą niosła w ręku, wyszła na próg domu, przed którym stała bryczka, w parę mizernych ledwie koni zaprzężona. Z bryczki wysiadł mężczyzna w fantastycznym płaszczu, pod którym niósł starannie duże podługowate pudło, i kobieta w watowéj salopce, mała, szczupła, z białemi włosami, wysuwającemi się z pod kapturka. Mężczyzna, przywitawszy córkę Brochwicza parą niezrozumiałych wyrazów, i przelotnie rzuconym jéj pocałunkiem, udał się w głąb' domu, kobieta przystanęła w sieni.

— Cóż, mamo — pośpiesznie zapytała Żancia — jakże się udało?

Stara kobieta łzy miała w oczach, i z giestem głębękiego zniechęcenia odparła:

— A cóż? jak zawsze! stracił tylko pieniądze i nabrał się wstydu.

Słowa te dwie kobiety zamieniły pomiędzy sobą

spiesznie i cicho, poczém rozeszły się w dwie strony domu. Żancia weszła do małéj izdebki, po któréj gwałtownemi kroki przechadzał się Roman Gotard. Przez kilka lat ubiegłych nie zaszła w nim zmiana najlżejsza. Był to zawsze wysoki, chudy, śniady mężczyzna, z oczyma błyszczącemi, jak żużle, i z czarną, śpiczastą bródką. Jak dawniéj po izbie zajezdnego domu, tak teraz po izdebce starego dworku rzucał się i szamotał, niby zraniony ptak w klatce. Ubranie jego nie było już takie, jak dawniéj, zniszczone i siłą macierzyńskich starań odnawiane.

Owszem, wszystko, co było na nim, tchnęło wykwintem. Tużurek sporządzony był modnym krojem i z cienkiego sukna, bielizna oślepiała białością, z włosów długich i batystowéj chustki, którą miał w dłoni, ulatywały wonie perfum i pomad, jeśli nie zupełnie zgodne z dobrym smakiem, to z pewnością kosztowne. Jakże ubogiemi wydały się, przy tém ubraniu ubóztwionego fetysza, perkalowa wązka suknia, płócienny kołnierz i grube obuwie jego czcicielki!

Żancia powoli i z uśmiechem na ustach zbliżyła się do męża, i probowała wziąć jego rękę.

— Dajże mi pokój! — zawołał Roman Gotard — mnie dziś nie do czułości wcale... Otwórz mój tłómok i zaściel mi łóżko, bo spać chcę...

Polarna gwiazda pochyliła się i rozpięła parę sprzączek u rzemiennych pasów tłómoka.

— Romusiu! mój ojciec przyjechał... jest tu od kilku...

Roman Gotard stanął nagle na środku pokoju.

— Przyjechał! i pocóż to? czy dlatego, aby urągać naszemu ubóztwu! Dobry ojciec!

Kobieta milczała chwilę.

— Czy nie zobaczysz się dziś z moim ojcem? — zapytała, wyjmując z tłómoka poduszki i kładąc je na łóżku.

— Ja? — odparł Roman Gotard — pocóż to? czy chcesz może, abym poszedł i pokłonił się mu aż do stóp? Spać mi się chce! powiédz, żem zmęczony! na powitanie jutro dość czasu będzie!

Zdawało się, że słowa te sprawiły na młodéj kobiecie wrażenie pewnéj ulgi. Obawiała się spotkania tych dwóch ludzi, dziś szczególniéj... dziś... kiedy od piérwszego spójrzenia na męża, od piérwszych wyrazów, przez niego wymówionych, poznała, że... nie był on zupełnie przytomnym, że w oczach jego palił się, a w głowie szumiał trunek. Roman Gotard zaczął rozbierać się.

— Cóż? — rzekł po chwili — nie pytasz o powodzenie moje? zebrałem naprawdę wiele laurów i skarbów... cha, cha, cha...

— Mama mówiła mi...— nieśmiało wtrąciła młoda kobieta.

— Mówiła? więc już wiész i pośpieszysz zapewne powiedziéć o wszystkiém swemu ojcu... aby naśmie-

wał się z zapoznanego artysty! O! ten zmateryalizowany bogacz!

Na twarz Żanci wystąpił rumieniec. Uczuła się na chwilę córką.

— Nie mów tak, Romusiu— rzekła głosem mniéj trochę nieśmiałym, niż wprzódy — mój ojciec nie jest już wcale bogatym, a kiedy i był nim, nie był nigdy zmateryalizowanym...

— Nie był! nie był! a dlaczegoż nie oddaje ci twego posagu?

Młoda kobieta pochyliła głowę i milczała.

— Weź skrzypce z pod okna — ozwał się mąż— deszcz może padać w nocy, a w téj przeklętéj dziurze ze wszystkich okien przecieka.

Żancia spełniła rozkaz. Roman Gotard spoczywał już pod ciepłą i ozdobną kołdrą.

— I cóż? — zawołał z niecierpliwością — dlaczegoż mi nie kładziesz przy łóżku szlafroka.... wiész dobrze, że gdy uczuję śród nocy natchnienie, wstaję i gram...

Jakto! więc ta młoda, pełna wewnętrznych i powierzchownych uroków, kobieta, ta córka szlacheckiego starego rodu, mogła w milczeniu przyjmować i wykonywać grubiańskie rozkazy wyciągniętego wygodnie pod kołdrą, za jéj pieniądze nabytą, napół obłąkanego zawsze, dziś na-pół pijanego, człowieka? Nie zbudziłaż się w niéj duma człowiecza? godność niewiasty, wytworność szlacheckiéj córki,

nie krzyknęła-ż w niéj wstrętem i oburzeniem? Bynajmniéj, milcząca i korna, z łagodnym uśmiechem na białych ustach, wyjęła ona z tłómoka szlafrok z miękkiéj i kosztownéj materyi, i zawiesiła go na krześle, które wprzódy postawiła u nóg wygodnego posłania swego męża. Nie był-że on jéj fetyszem? nie nawykłaż od kolebki do pokory, bierności i ślepego posłuszeństwa?

— Może chcesz, Romusiu, abym ci urządziła herbatę?

— Bardzo dziękuję — sarknął mąż — po przysmakach, któremi nasyciła mnie szanowna publiczność w Lidzie, ani jeść, ani pić już nie chcę!

Zaprawdę! pił już dosyć w sąsiedniéj snadź jakiéjś, na drodze stojącéj, oberży!

Żancia wzięła świecę ze stołu i odchodziła ze schyloną głową, na palcach. Była już we drzwiach, gdy z pod kołdry ozwał się za nią głos Romana Gotarda.

— Chodź tu!

Zwróciła się i szybko postąpiła ku łóżku.

— Dobranoc! — łagodniéj nieco, niż wprzódy, ozwał się mąż.

Kobieta z pośpiechem podaną sobie dłoń pochwyciła.

— Dobranoc, drogi mój, dobranoc! — szepnęła z czułością — proszę cię — dodała błagalnie — nie myśl bardzo o tém, co cię spotkało... nie martw

się... przyjdzie z pewnością czas, w którym ludzie zrozumieją cię nakoniec... ocenią lepiéj... sądzę — dodała ciszéj — że ojciec mój przywiózł nam trochę pieniędzy...

— No! no! dobrze już, dobrze! jesteś zawsze moim aniołem pocieszycielem! pocałuj mnie!

Niebiańska radość oblała twarz młodéj kobiety, gdy usłyszała z ust męża zaręczenie, że jest zawsze ideałem jego i aniołem pocieszycielem. Trudno zresztą zaręczyć, czy Roman Gotard, który i dawniéj w staraniu się o jéj serce złożył niejeden dowód przebiegłości, wyrazów tych nie używał często, jako talizmanów, czyniących z młodéj żony jego bez granic uległą niewolnicę, przynoszącą mu w kornéj dani skarby swych wdzięków, słodycz swych pieszczot i złote runo swego posagu.

Wyszła z sypialni męża pocieszona, rozpromieniona niemal, dumna tém, że uśmierzyła zgryzotę jego, i na usta jego, wykrzywione goryczą, przywołać zdołała uśmiech i łagodne słowo. Znalazła ojca, siedzącego w bawialnéj izbie, na uprzedniém miejscu.

— Mój ojcze! — rzekła — Romuś przeprasza cię bardzo, że dziś cię powitać nie może; ale biedny przyjechał tak zmęczony drogą i cierpiący, że zaraz położyć się musiał do łóżka.

Brochwicz uczynił ręką giest taki, jakby chciał powiedziéć, że niegrzeczność ta zięcia nie obchodzi go

wcale, i że od człowieka takiego, jak on, nic innego spodziewać się nie mógł.

Siedzieli znowu oboje przed dogasającém ogniskiem: córka z głową pochyloną na kolanach ojca, ojciec pogrążony w głębokiéj, posępnéj zadumie. Kwadrans upływał po kwadransie, cisza głęboka panowała w starym dworku i wokoło. Ciszę tę przerwał raz odzywający się w przyległéj izbie płacz dziecka. Żancia uczyniła poruszenie, jakby powstać i biedz chciała, ale jednocześnie dało się słyszéć śpieszące dreptanie jakichś stóp, w stare pantofle naprędce obutych, a po chwili z płaczem dziecka zmieszał się miarowy stuk poruszanych biegunów kolebki i usiłujący nucić ochrypły głos kobiecy...

— To ciocia Rózia usypia moje dziecko! — szepnęła Żancia.

Była to w istocie pani Róża, która tam w na-pół ciemnym pokoju siedziała przy kolebce dziecka i, obu rękoma otulając je starannie od chłodu, usiłowała zanucić nad niém którą z tych piosnek, jakiemi piastunki usypiają zwykle niemowlęta. Żadna jednak z łagodnych i prostych melodyi tych nie przybywała ku niéj, a natomiast do ust jéj i pamięci tłoczyły się, niby echa przeszłości całéj, nuty i słowa czułych i romansowych pieśni. Daremnie walczyła z natrętnemi temi echami, daremnie siliła się na naśladowanie monotonnych, przeciągłych tonów,

któremi chciała przywołać sen na niewinne oczy niemowlęcia; drżący i stary głos jéj starą wciąż pieśń zawodził o Filonie i gaiku, o czułém *kochańskwie* przy świetle księżyca. Dziecię zasnęło, ukołysane raczéj ruchem kolebki, niż drżącym, złamanym głosem, wyśpiewującym mimowoli odwieczne pieśni miłosne; ale stara niewiasta, z garstką siwych włosów nad zmarszczoném czołem, westchnęła ciężko, pokiwała głową i otarła łzę, która ze zgasłego oka staczała się za materacyk, ochraniający twarz, od fluxyi obrzękłą.

Z innéj znowu strony starego domu ozwały się po chwili dźwięki skrzypiec. Księżyc świecił na dworze, a srebrne promienie jego, wnikając do izby sypialnéj Romana Gotarda, przypomniały przebudzonemu wędrownemu artyście, ściśle dotąd spełniany, obowiązek patrzania na tę gwiazdę nocną, ilekroć ukazywała się na niebie. Patrzał tedy na księżyc, błyszczący za małemi szybami, i usnąć już nie mógł... Srebrny promień padał na podługowate pudło, w którém mieściły się skrzypce... wiatr jesienny szumiał z cicha za ścianami domu... gałęzie wzrastającéj pod oknem topoli drżały w osrebrzoném powietrzu, szemrząc opuszczającém je zwiędłém liściem... Roman Gotard porwał się z posłania i, wysoką postać swą owinąwszy szlafrokiem, ze skrzypcami w ręku, stanął przy oknie... Kto wié? dziś może właśnie, śród nocy téj szemrzącéj i sre-

brnéj, nadeszła chwila błogosławiona, w któréj powstanie wielka kompozycya jego, owo dzieło, na które oczekiwał od tak dawna... Pociągnął zmyczkiem po strunach i... probował komponować arcydzieło, do którego, jak myślał, wszystkie materyały spoczywały już gotowe w głowie jego i piersi, rozpalonéj *wyższym ogniem*...

Śpieszne, tłumne, bezładne tony, dochodziły długo do bawialnéj izby starego dworku; stawały się z razu coraz gwałtowniejszemi, wydawały krzyki niesforne i jęki wrzaskliwe, potém uciszać się i milknąć zaczęły, aż oderwane tony zdradziły rękę bezowocnie znużoną, żal bezwładny, silenie się nadaremne, zwątpienie i rozpacz...

Żancia, usłyszawszy muzykę męża, podniosła głowę z nadzieją i tryumfem.

— Jak on pracuje nad sztuką, mój ojcze! — szepnęła — grywa tak często prawie po całych nocach!

Brochwicz uśmiechnął się z nietajoną goryczą i wzgardą, ale ona nie widziała uśmiechu tego; cała dusza jéj wsłuchana była w to gwałtowne i zarazem niedołężne zbiorowisko tonów, z których co chwila (oczekiwała tego z drżącą i namiętną nadzieją), wypłynąć mogła pieśń potężna, genialna, uwiekopomnić mająca imię jéj ubóztwianego fetysza. Zamiast jednak upragnionego arcydzieła tego, rozległ się stuk

rzuconego na sprzęt jakiś instrumentu, i wszystko umilkło.

Młoda kobieta smutnie znowu pochyliła głowę.

— Zmęczony dziś był zanadto... — wymówiła po chwili — nie miał dość natchnienia, ale przyjdzie chwila...

Zamknęła oczy i, trzymając w obu rękach dłoń ojca, z głową złożoną na jego kolanach, usnęła, czy marzyła. Oblana różowym blaskiem żaru, wyglądała teraz, jak istota z duszą zachwyconą wiecznie, z ciałem słabém i omdlałém, z ustami niewinnego dziecka i czołem znużonéj, zwiędłéj kobiety.

Jan Brochwicz patrzał na ten uroczy niegdyś, dziś tak smętny i marnie więdnący kwiat jego domu. Jego domu! cóż stało się z tym domem, także tak drogim mu, w poświęconéj ziemi chroniącym spopielałe zwłoki wielu pokoleń przodków jego, z tym domem, w którym wypiastowała go na ręku swych troskliwych matka najlepsza, w którym stały niegdyś kolebki dzieci jego, otoczone z serc rodzicielskich wysnutą przędzą złocistych nadziei? Mieszkali w domu tym przybysze obcy, rozlegała się w ścianach jego mowa, przodkom jego nieznana... Cóż stało się z pierworodnym synem jego, z tym młodzieńcem o białém czole, łagodném oku, który chlubą jego był niegdyś, radością, nadzieją?

Oto czoło jego nie było już białém, ani oko łagodném. Na piérwszém wystąpiła niejedna już skaza i plama,

drugie płonęło ciemnym ogniem występnych zwątpień i złych namiętności. Wydał on rękom obcym ściany ojczyste i bóztwa domowe, a sam poszedł na wędrówkę po świecie, u któréj końca stała może nędza i hańba.

I przypomniał sobie Jan Brochwicz owe wieczory letnie, w których, obciążony nieznanemi dawniéj troskami, rozrzewniony do głębi widokiem ogólnych nieszczęść i upadków, spoglądał na rodzinny kraj-obraz z miłością bez granic, a uczuwając się synem téj ziemi, ogarniętéj urokiem posępnym, i ojcem młodych istot, których jutro kryło się jeszcze w mgle tajemnicy, ze łzą zapieraną w głąb' piersi, z błaganiem słaném do groźnego nieba, szeptał drżącemi usty:

— Może dzieci nasze...

Więc zawiodła go ta ostatnia, najwyższa nadzieja! A iluż ojców zawiedzionych podobnie widział dokoła! i ileż domów, podobnie zaprzedanych, stało w smutku i ruinie śród rodzinnych rozłogów! ilu młodzieńców tułało się po świecie, na wzór syna jego, z głową oszalałą, piersią pustą i rękoma bezczynnemi, lub... występnemi! ileż niewiast, tak, jak córka jego, marnowało życie i siły bez pożytku ni szczęścia, w zalotnych uśmiechach, lub płonnych marzeniach!

Straszne to były myśli i obrazy! To téż z ser-

cem zakrwawioném i sumieniem, którém miotał niepokój srogi, Brochwicz ukrył czoło w dłoniach, a po twarzy jego, zoranéj i bladéj, toczyły się ciężkie, palące łzy.

KONIEC.